



# WÓW SZEPTEM

*Samotni z wyboru.  
Nie wiedzieli, że potrzebują siebie nawzajem.*



*Agnieszka Olejnik*



# MÓW SZEPTEM

*Agnieszka Olejnik*



# 1

# W

mieście od dawna już nie pojawił się nikt tak barwny. Zupełnie jakby w stado szaroburych wróbli wleciał nagle koliber albo egzotyczna, cudnie upierzona papuga. Nie chodziło nawet o pszeniczne włosy, długie i w artystycznym nieładzie, ani o intensywnie niebieskie oczy, których morski odcień podkreślał dodatkowo umiejętnie zrobiony makijaż. Chyba najbardziej rzucał się w oczy jej strój – zwariowany, kolorowy, kompletnie niedzisiejszy, jakby wyjęty z żurnala sprzed kilkudziesięciu lat.

Była połowa września. Kiedy Magda pierwszy raz przyszła do nowej szkoły, miała na sobie czerwoną spódniczkę mini w szkocką kratę z odcieniami zieleni i granatu, a do tego bardzo obcisłą czarną bluzkę z ciasnym golfem. Jej nogi wydawały się cienkie jak patyki w czarnych rajstopach i zielonych, lakierowanych martensach. Zresztą cała wyglądała na drobną i niepozorną – a jednak to właśnie ona przyciągała wzrok wszystkich chłopaków w szkole, znacznie bardziej niż wszystkie te podobne do siebie wydekoltowane laski z pępkami na wierzchu.

Pierwszego dnia nie rozmawiała z nikim. Chodziła zamyślona i oglądała wszystko tak, jak ogląda się eksponaty w muzeum – kolekcję pucharów na korytarzu, zdjęcia laureatów olimpiad, tabliczki na salach lekcyjnych i nawet witrynę szkolnego sklepiku, w którym od jakiegoś czasu sprzedawano tylko

wodę mineralną, chusteczki do nosa oraz śmieszne niby-chipsy z buraków i jabłek.

Na jej ramieniu dyndała wielka torba z imitacji rudego zamszu. Co jakiś czas Magda sięgała do niej i wyciągała telefon, sprawdzała coś, po czym chowała go z powrotem. Ma chłopaka, mówili półgłosem chłopcy, przyglądający się nowej i omawiający w rozrehotanych grupkach szczegóły jej wyglądu. Ma chłopaka, szeptały dziewczyny, które robiły to samo, ale znacznie dyskretniej, udając, że w ogóle nie zauważyły, że w szkole jest jakaś nowa.

Na lekcjach siadała tam, gdzie kazali jej nauczyciele, ale na sąsiadki z ławki nie zwracała szczególnej uwagi – poza tym, że mówiła „cześć, jestem Magda”, nie ciągnęła rozmowy. Zapytana, skąd przyjechała, odpowiedziała, że wrócili z zagranicy, nie wyjaśniła jednak, gdzie i jak długo mieszkali. Nie było nawet wiadomo, kim są właściwie ci „oni” – czy to cała rodzina, czy tylko Magda z ojcem lub z matką.

Na angielskim wzbudziła powszechną sensację, kiedy okazało się, że po pierwsze w rzeczywistości nosi brytyjskie imię i nazwisko: Madelaine Robson, a po drugie, że mówi w tym języku lepiej niż nauczyciel. Za to niemieckiego nie znała wcale i germanistka z kwaśną miną zasugerowała, że przydałyby się jej jakieś korepetycje. Magda jedynie pokiwała głową, lecz jednocześnie wzruszenie ramionami dowodziło, że tak naprawdę ma to gdzieś.

Po lekcjach od razu poszła do domu – a w zasadzie pojechała, bo dopiero teraz co wnikliwsi obserwatorzy zauważyli, że przyjechała rowerem, który przypięła do barierki pod pobliską budką z kebabem. Rower był tak samo niedzisiejszy jak plisowana spódnica w kratę: czerwony z wielkimi kołami i wygiętą kierownicą, trochę jakby retro.

Kiedy Magda zniknęła z pola widzenia, rozmowy nagle się ożywiły. Męska część towarzystwa odważyła się na komentarze bardziej sprośne niż pochlebne; dziewczyny zaś plotkowały na całego, nie krępując się tym, że ich złośliwe uwagi mogą zostać odebrane jako przejaw zazdrości.

Jak zwykle nikt nie zwracał uwagi na Wita Malczyka, który pokręcił się trochę przy budce z kebabem, a potem po prostu ruszył w tę stronę, w którą pojechała nowa, kompletnie nie przejmując się faktem, że po raz kolejny daje nogę z fizyki.

Skrócił sobie drogę, przechodząc wąskimi uliczkami w miejsce, gdzie – jak się spodziewał – pojawi się dziewczyna, jeśli wybierze drogę zgodną z przepisami. W miasteczku nie było ścieżek rowerowych, a ruch uliczny w centrum zorganizowano w irytujący sposób: niemal wszystkie drogi oznakowano jako jednokierunkowe. Aby dotrzeć spod kościoła do pobliskiego marketu Eko, należało okrążyć rynek i jeszcze przejechać dwa razy brukowaną ulicą. Witek nie był kierowcą, ale miał doskonałą pamięć i wiedział, gdzie stoi jaki znak.

Odgadł bezbłędnie. Kiedy stanął na rogu sklepu elektrycznego, nowa dziewczyna właśnie wyjeżdżała zza ratusza. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy, a spódniczka podniosła się nieco, pokazując szczupłe uda. Witek nigdy dotąd nie zwracał uwagi na dziewczęce sylwetki, zresztą rzadko podnosił wzrok także na twarze. Nie tylko dziewczęce. Po prostu unikał patrzenia w oczy. Jednak w tej nowej było coś, co jednocześnie niepokoiło go i ciekawiło. Nie wiedział, co by to mogło być. Kolory? Nie lubił intensywnych odcieni, ponieważ były rozedrgane i wprawiały go w niepokój. Pani psycholog mówiła zawsze, że powinien się z nimi oswajać, ale jak oswoić się z czymś, co miga i wrzeszczy? Witek słyszał kolory i wyczuwał ich temperaturę, podobnie jak widział barwę i czuł fakturę niektórych słów.

– Magda – powiedział, kiedy nowa zniknęła mu z oczu. – Magda, Magda – powtórzył.

Nie znał dotąd tego imienia. To znaczy oczywiście znał w tym sensie, że wiedział o jego istnieniu, ale nigdy go nie wypowiadał. Chciał poczuć je na języku i między wargami. Samo słowo zawierało w sobie ciepło skorupki orzecha laskowego, ale też jej twardość; zabawnie stukało o podniebienie. Miało

łagodnie brązową barwę, nie krzykliwą jak młode kasztany, lecz kojącą. Pszeniczny blond na głowie tej nowej także nie był tak głośny, jak sztucznie żółtawy kolor włosów innych dziewczyn. Witek domyślał się, że to nie jest naturalny odcień, jednak miał pewność, że Magda musi być z natury jasnowłosa.

Zawrócił i przez chwilę kręcił się bez celu po rynku. Miał do wyboru spóźnić się na fizykę i nudzić się do końca lekcji, powłóczyć się po mieście w nadziei, że jakimś cudem odkryje, gdzie mieszka Magda, albo wrócić do domu i słuchać zrzędzenia babci, która na pewno już zajrzała do dziennika elektronicznego i wie, że poszedł na wagary, nie mówiąc już o tym, że rano zwiął z WF-u.

Wybrał to trzecie, ponieważ był głodny. Zrzęczenie nie jest takie złe, można się do niego przyzwyczaić i Witek właśnie zdążył przywyknąć. Babcia zrzędziła całymi dniami, właściwie była to jedyna znana jej forma komunikowania się z bliźnimi. Z kolei jedną z jej nielicznych zalet było to, że dobrze i obficie karmiła, w każdym razie w porównaniu z tym, czego Witek zaznał w domu dziecka.

## 2

# W

ygłąda na lekko stukniętą – oceniła Martyna, przewodnicząca samorządu szkolnego i jedna z najpopularniejszych dziewczyn w szkole. – Widziałyście, jak wszystko oglądała? Jakby zwiedzała jakiś pieprzony zabytek albo co najmniej muzeum.

– To jest reakcja obronna – odezwała się Gośka, która zwykle we wszystkim doszukiwała się drugiego dna. – Wyobrażam sobie, że to musi być trudne, znaleźć się w nowej szkole, nikogo nie znać...

– W takiej sytuacji podchodzisz do kogoś z twojej klasy i próbujesz pogadać.

– Może jest nieśmiała.

– Naprawdę uważasz, że wygląda na nieśmiałą? – wtrąciła trzecia z przyjaciółek, Olka. – Według mnie jest typem osoby, która ma wszystko w dupie.

Dziewczyny rozmawiały w takim tonie jeszcze przez kilkanaście minut, bo tyle zajęła im droga do domu. Pierwsza odłączyła się Gośka, która mieszkała nad apteką w rynku. Olka miała najdalej, więc odprowadziła Martynę pod blok z czerwonej cegły.

– Zauważyłaś, że ilekroć pojawia się ktoś nowy, coś się psuje? – zapytała. – Sama nie wiem... Zupełnie jakby ludzie się od razu zmieniali.

– Nie zmieniają się, tylko chcą się pokazać z innej strony – odpowiedziała

Martyna. – I nie zawsze. Pamiętasz, jak do naszej klasy doszedł Witek?

– Witek? Masz na myśli Przypała? Och, to zupełnie inna historia.

– Nie mów na niego „Przypał”. Nie lubię tego. Witek jest całkiem sympatyczny.

– Okej, jak zwał, tak zwał. W każdym razie ja mówię o normalnych ludziach. Na przykład Michał z biol.-chemu. Przecież Wiktor i Zuzka były najlepszymi kumpelami, a kiedy on się pojawił, wszystko zaczęło się psuć.

– Głupie dziunie – podsumowała Martyna. – Nigdy nie pozwoliłabym, żeby jakikolwiek chłopak stanął między nami. Przyjaźń to przyjaźń.

Olka cmoknęła ją w policzek.

– Za to cię kocham – powiedziała. – Dobra, lecę, bo muszę wyprowadzić psa, zanim zasika dywan. Pa.



Przypał, czyli Witek, przysłuchiwał się tej rozmowie zza ciężkich, drewnianych drzwi prowadzących do jego klatki schodowej. Wychodził właśnie po śmietanę do babcinej zupy ogórkowej, kiedy zobaczył dziewczyny ze swojej klasy i odruchowo cofnął się, żeby nie musieć się z nimi przywitać. Mówienie „cześć” tym wiecznie rozchichotanym istotom sprawiało mu ogromną trudność, nie mówiąc już o tym, że zawsze wyczuwał politowanie, a może nawet pogardę w ich głosach. Cokolwiek do niego mówiły, było beżowe i chropowate, nierówne, drażniące, jakby obgryziony paznokieć zahaczał o wełnę. Nie były szczere, kiedy modulowały głos tak, aby brzmiał miło.

Martyna mieszkała w sąsiedniej klatce schodowej zabytkowego bloku z cegły, który uważano za lokalne arcydzieło architektury przedwojennej – a to z powodu braku innych interesujących budynków w miasteczku o nazwie Stawy.

Witek początkowo trochę się jej bał. Była wysoka, zawsze intensywnie umalowana, ubrana w róże i turkusy, głośna. Na swój sposób kradła przestrzeń – wypełniała ją sobą, gdziekolwiek się znalazła. Zwłaszcza w klasie, gdzie



rządziła niepodzielnie.

Potem jednak oswoił się z tym. Martyna kilka razy przyszła mu z pomocą, kiedy wpakował się w kłopoty. A pakował się w nie często. Na przykład odwracał się, gdy ktoś do niego mówił i kiedy właśnie należało patrzeć w stronę mówiącego. Minęło sporo czasu, zanim Witek nauczył się, że w takich sytuacjach ludzie oczekują kontaktu wzrokowego. Uważał to za absurdalne – skoro do słuchania służą uszy, to jakie ma znaczenie, gdzie on patrzy?

Przez cały pierwszy rok liceum miał ogromne problemy z ocenami. Właśnie z ocenami, nie z nauką. Początkowo mieszkał w domu dziecka, ponieważ po wypadku, w którym zginęli rodzice, jedyną jego bliską krewną była babcia, przebywająca wówczas w szpitalu po operacji biodra. Sąd rodzinny uznał, że nie ma innego wyjścia – chłopak musi przeczekać w placówce opiekuńczej, a gdy starsza pani wydobrzeje, zdecyduje, czy podejmie się wychowywania wnuka.

Mama Witka była nauczycielką w zielonogórskim gimnazjum, do którego chodził chłopak. Zdołała wytłumaczyć większości nauczycieli, że jej syn różni się od wszystkich uczniów, z jakimi dotychczas pracowali. Że ma znakomitą pamięć, ale nie potrafi zapominać, dlatego na pytanie: „Napisz, co wiesz o Adamie Mickiewiczu” udzielił odpowiedzi zbyt obszernej, na kilkanaście stron, zawierającej zarówno informacje istotne, jak i dziesiątki całkowicie nieważnych detali. W przypadku testu z polskiego chłopcu zabraknie wówczas czasu na pozostałe pytania.

Co jeszcze mama wyjaśniła nauczycielom? Że Witek jest bardzo sprawny fizycznie, ale nie zagra w żadną grę zespołową, bo za wszelką cenę będzie próbował uniknąć niechcianego dotyku, hałasu, tłoku oraz agresji. Że nie rozumie żartów i sam nie żartuje. Że rozwiąże w pamięci każde zadanie matematyczne, ale nie zapisze obliczeń, bo na ogół nie wie, jak doszedł do wyniku. Że robi to intuicyjnie. Że potrafi namalować, wyrzeźbić, upleść i zrobić z rozmaitych materiałów wszystko to, co już widział, natomiast nie stworzy niczego „z głowy”. Że napisanie opowiadania twórczego to zadanie, które

całkowicie przekracza jego możliwości pojmowania – już nawet nie w tym sensie, że nie potrafi (zresztą rzeczywiście nie potrafił), ale w tym, że nie rozumie polecenia. Co właściwie ma zrobić? Napisać opowiadanie? Ale co miałby w nim napisać? Mógł opowiedzieć o czymś, co rzeczywiście się zdarzyło, mógł napisać pamiętnik albo drobiazgowo opisać wygląd kogoś lub czegoś. Jednak nie umiał wymyślać. Wymyślanie uważał za kłamstwo.

Choć z oporami, pedagodzy przyjęli w końcu do wiadomości, że kiedy Witek chowa podczas lekcji twarz w dłoniach albo schyla się i kryje głowę pod ławką, to nie wygłupia się i nie przestaje słuchać, tylko ogranicza nadmiar bodźców i informacji – w przeciwnym razie bowiem zapamięta zarówno treść wykładu, jak i to, co miała na sobie nauczycielka, na której powiece rozmazał się jej tusz i który paznokieć u której dłoni miał leciutko odprysnięty lakier, a także jakiego koloru był ten lakier i czy był błyszczący, metaliczny, z brokatem czy matowy. Chłopak kodował w pamięci rozpięte guziki, pojedyncze siwe włosy, brodawki na czole, pryszcze i krzywo wyskubane brwi. Oraz dziesiątki innych, kompletnie nieistotnych szczegółów. Wszystko, co zobaczył, usłyszał i poczuł.

Śmierć rodziców zbiegła się w czasie z końcem jednej, a początkiem kolejnej szkoły. W dodatku decyzją sądu Witek został umieszczony w domu dziecka w Stawach, miejscu zamieszkania babci, gdzie nikogo nie znał. Tak więc tym razem nie było nikogo, kto porozmawiałby z pedagogami i wyjaśnił im sytuację Wita Malczyka. Dlatego przez całą pierwszą klasę liceum chłopak zbierał głównie jedynki – za wszystko: za to, że nie patrzył na nauczyciela, że zatykał uszy albo zamykał oczy, że odmawiał gry w koszykówkę na WF-ie, ponieważ nie mógł znieść dotyku spoconych ciał, że nawet nie podjął próby napisania opowiadania grozy oraz że nie przepisał notatki z chemii, ponieważ została napisana na tablicy ukośnie, a nie poziomo. Powodów było aż nadto.

W drugim półroczu, kiedy babcia wyszła już ze szpitala i wzięła wnuka do siebie, wychowawca wezwał ją do szkoły i zasugerował, aby przeniosła Wita do

ochotniczego hufca pracy, ponieważ jego iloraz inteligencji zwyczajnie uniemożliwia mu naukę w szkole ogólnokształcącej. Babcia, która była osobą niezwykle wojowniczą, w wiecznej kontrze wobec świata, zażądała przeprowadzenia wiarygodnych testów – co też uczyniono przy współpracy z lokalną poradnią psychologiczno-pedagogiczną. W ten oto sposób stały się dwie rzeczy, które znacząco wpłynęły na sytuację chłopaka: po pierwsze testy udowodniły, że jest nie tylko wystarczająco, ale wręcz nieprzeciętnie inteligentny, a po drugie trafił pod skrzydła pani psycholog Beaty Kremczuk.

Tak czy owak, chłopak musiał powtarzać pierwszą klasę liceum. Nie przejął się tym, co więcej – potraktował to jako błogosławieństwo, ponieważ uwolnił się dzięki temu od kilku klasowych prześladowców, którzy nadali mu ksywkę Przypał i lubili urządzać sobie zabawę jego kosztem. W nowej klasie trafił na Martynę, która znała go z widzenia, bo odkąd chłopaka przygarnęła babcia, mieszkali w tym samym budynku. Martyna musiała widocznie znać smutną historię jego sieroctwa, bo od początku objęła go czymś w rodzaju koleżeńskiej opieki. Może wiedziała też, że babcia pije, a ponieważ sama była córką samotnego ojca alkoholika, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda takie życie.

Witek nie miał pojęcia, czy ją lubi. W ogóle nie bardzo wiedział, co znaczy lubić. Nigdy nie miał przyjaciół, nawet w przedszkolu bawił się sam. Przedtem, w poprzednim życiu, kochał jedynie mamę i może troszkę tatę – i wtedy wiedział na pewno, co znaczy kochać. Teraz już zapomniał.

### 3

**P**

rzyjdz koniecznie! – mówiła Olka, ciągnąc Magdę za rękaw obszernego swetra w wielokolorowe pasy. – Imprezy u Wielkiego Boba zawsze są świetne! Jego starzy wyjeżdżają na cały weekend, więc w sobotę się bawimy, a w niedzielę sprzątamy. Jest czas, żeby wypić, odchorować swoje i wytrzeźwieć. Mówię ci, super!

Witek obserwował całą scenę z kąta korytarza. Magda kiwała głową i uśmiechała się przyjaźnie, ale nic nie wskazywało na to, żeby miała zamiar skorzystać z zaproszenia. Olka na wszelki wypadek opisała dokładnie, jak trafić do Roberta, zwanego przez wszystkich Wielkim Bobem z powodu potężnych mięśni, które wypracował sobie oficjalnie dzięki regularnym treningom na siłowni, nieoficjalnie zaś – dzięki sterydom.

Mijały dwa miesiące od dnia, kiedy Magda po raz pierwszy przekroczyła mury tutejszego liceum. Nie zaprzyjaźniła się z nikim, zachowywała dystans, ale wobec wszystkich była miła; wyglądało na to, że wciąż patrzy na otoczenie z jakimś dziwnym namysłem. Nikt – poza Witkiem, który czasem ją śledził – nie znał jej adresu i nikt nie miał pojęcia, że dziewczyna mieszka sama.

Na imprezę do Wielkiego Boba nie poszła. Witek pokręcił się pod jego domem w nadziei, że ją zobaczy – choć tak naprawdę liczył na to, że ona rzeczywiście nie przyjdzie. Nie miał pojęcia, dlaczego wciąż o niej myśli.

Oczywiście znał teorię: umiałby powiedzieć, co ludzie nazywają „zakochaniem”, czytał o objawach i wiedział nawet, że stan ten wpisano na listę chorób psychicznych. Nie był jednak świadom, że to, co właśnie go dopadło, jest niczym innym jak pierwszą miłością – tą, którą będzie pamiętał przez całe życie i do której przyjdzie mu porównywać wszystkie kolejne. O ile jakieś kolejne w ogóle będą.

Wzruszały go jej chude jak patyki nogi w martensach, które wydawały się za duże. Dziewczyna nie nosiła innych butów. Rzadko też chodziła w spodniach. Jeśli już, to w takich, jakich nie założyłaby żadna inna dziewczyna – w kratę, pepitkę, prążek albo jodełkę; dziwnych, za krótkich, za szerokich albo właśnie bardzo wąskich. Podwijiała nogawki, dobierała do nich długie kolorowe skarpety albo przeciwnie – świeciła gołymi łydkami. Zakładała też ręcznie dziergane, fantazyjne golfy w niesamowite wzory; zawsze nosiła swetry pod samą szyję albo koszule zapięte na ostatni guzik, a do nich krawat. Nie ulegało wątpliwości, że używała stroju, by wyróżnić się z tłumu, zupełnie jakby bała się być niewidzialna. Jakaś część jej ubioru była zawsze jaskrawa, na przykład do czarnego swetra zakładała musztardowe rurki, zaś do czarnej spódniczki – purpurowy golf. Jak gdyby za wszelką cenę usiłowała odróżnić się od wszystkich. Dla Witka, który inaczej niż rówieśnicy reagował na kolory, te jej barwne ubrania były krzykiem. Nie był tylko pewien, czy ona krzyczy z entuzjazmu, bólu czy ze strachu. A może woła o pomoc? Albo o uwagę? Miał wiele różnych interpretacji, ale żadnej z nich nie był pewien; nigdy nie był w tym dobry.

Przez ostatnie dwa miesiące cierpliwie śledził Magdę i coraz lepiej ją poznawał. Wiedział, że wychodzi do szkoły na ostatnią chwilę (z jakiegoś powodu przestała jeździć rowerem), przez co on również spóźniał się na pierwszą lekcję. Wiedział, że po drodze wstępuje do sklepu spożywczego i kupuje sok pomidorowy oraz suchą bułkę. Połowę bułki zjadała w drodze do szkoły, drugą połowę zaś skubała po trochu na przerwach. Sok wypijała dopiero

koło pierwszej – najwyraźniej była przyzwyczajona, że w porze lunchu żołądek potrzebuje czegoś więcej niż kilku kęsów pieczywa. To pasowało do opowieści, które o niej krążyły: że przyjechała z Irlandii (albo z Anglii, tu poszczególne wersje różniły się nieco), że miała tam chłopaka, przeżyła wielki zawód miłosny, zaszła w ciążę, poroniła albo usunęła (ewentualnie oddała dziecko do adopcji) i dlatego rodzice przywieźli ją do Polski. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ktoś, kto wraca z zagranicy, wybiera zapyziałe miasteczko Stawy pod zachodnią granicą. Dlaczego nie Poznań, Wrocław albo choćby Gorzów, a właśnie Stawy – miejsce, o którym świat nigdy nie słyszał? I jeszcze jedno rozgrzewało do czerwoności wyobraźnię licealistów: jakim cudem ta dziewczyna nie istnieje w internecie? Nie było jej ani na Facebooku, ani na Instagramie, ani w ogóle nigdzie. Jakby Madelaine Robson nie istniała.

Kiedy Witek odkrył, że Magda mieszka na pierwszym piętrze jednego z niskich bloków na osiedlu Norwida, zaczął obserwować budynek i kręcił się po okolicy tak długo, aż ustalił, że jej okna wychodzą na ulicę. Rozpracował rozkład mieszkań: po lewej znajdują się kawalerki, po prawej mieszkania dwupokojowe, z drugiej strony bloku zaś – trzypokojowe. Wydedukował, że Magda zajmuje kawalerkę. Wkrótce znalazł sposób, by móc zaglądać jej w okna. Po przeciwnej stronie ulicy stała zaniedbana ponemiecka kamienica. Na parterze funkcjonowało pogotowie weterynaryjne, naprzeciwko sklep zoologiczno-wędkarski, na poddaszu zaś znajdowały się dwa mieszkania. Jedno z nich wyglądało na opuszczone, w każdym razie tak wywnioskował chłopak, obserwując przez kilka wieczorów kolejno zapalające się w budynku światła. Pamiętał z jakiegoś głupiego filmu, jak otwiera się zamki. Na dzikim wysypisku śmieci za miastem wygrzebał odpowiedni drut, spróbował raz, drugi, trzeci i po kilku próbach znalazł się w pustym, śmierdzącym stęchlizną mieszkaniu.

Magda nie miała rolet ani zasłon, tylko niezbyt gęste firanki. Witek czekał cierpliwie. Z dnia na dzień coraz wcześniej zapadał zmrok, przez co wcześniej zapalała światło. Chłopak pożerał ją wzrokiem, kiedy przechodziła z pokoju do

kuchni i gotowała sobie coś przy kuchence. Chciwie patrzył, jak jadła, szykowała ubrania na kolejny dzień i wreszcie kładła się spać. Rozbierała się w łazience, która znajdowała się w głębi mieszkania – do sypialni zawsze przychodziła w koszuli nocnej; czasem w duże turkusowe serca, a czasem w łożki. Na noc splatała jasne włosy w luźny warkocz.

Zanim się położyła, sprawdzała coś w telefonie, a wtedy serce Witka ścisnęło się boleśnie, ponieważ przypominały mu się komentarze rówieśników: ona musi mieć chłopaka, na pewno zostawiła w tej Anglii wielką miłość. Dziewczyna nie gasiła od razu światła, robiła coś poza zasięgiem jego wzroku – lubił wyobrażać sobie, że czyta te same książki co on.

Co jeszcze o niej wiedział? Niewiele. Właściwie tylko tyle, że musi mieć problemy finansowe, bo poza poranną bułką i sokiem pomidorowym kupowała jedynie makaron albo ryż i jakieś mrożone warzywa. Chłopak snuł się za nią po markecie i zaglądał, co wkłada do koszyka: zwykle łądowała tam fasolka szparagowa lub brokuły. Sporadycznie kupowała także kawę albo tanią herbatę, co jakiś czas środki czystości, niedrogie książki i czasopisma, kosmetyki i bieliznę. Raz w tygodniu pozwalała sobie na słodycze.

Po szkole nigdy nigdzie nie wychodziła. Inna sprawa, że w Stawach nic się nie działo, nie było nawet kina, bo zamknięto je jakiś czas temu. Pozostał po nim smutny, szary budynek, w którym czasem urządzali sobie libacje miejscowi żule. Witek widział, jak Magda kilka razy poszła w to miejsce i nawet próbowała dostać się do środka, ale ostatecznie zrezygnowała. Był bardzo ciekaw, czego tam szukała.

Pewnego listopadowego dnia zobaczył, jak dziewczyna rozwiesza na słupach ogłoszenia: *Korepetycje z angielskiego. Przygotowanie do egzaminów, konwersacje, pomoc w lekcjach.* Nie podpisała ich imieniem, podała tylko numer telefonu. Oderwał jedną z małych karteczek i nosił ją przez kilka dni w kieszeni, aż w końcu wpisał sobie numer do komórki. Od tamtego dnia zaczęły się ich dziwne wieczorne rozmowy.





## 4

*Kochana Mamo!*

*Dwa storczyki przestały mi kwitnąć, ale pozostałe mają łodygi aż ciężkie od kwiatów. Spodobałyby Ci się.*

*Pani Beata pytała, czy piszę do Ciebie systematycznie, bo to podobno bardzo ważne. Mówi, że tylko w ten sposób nauczę się formułować myśli i dzięki temu będę w stanie zdać maturę. Ale mówiąc szczerze, mam gdzieś maturę. Wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć, a kiedy chcę poznać coś nowego, po prostu o tym czytam i już staje się to zrozumiałe. Czy muszę to potwierdzać egzaminami? Babcia też ciągle powtarza, że studia nie są mi do niczego potrzebne, bo system edukacji jest do bani; zresztą ona psioczy na wszystko.*

*Jednak wiem też, że jeżeli nie pójdę na studia, będę musiał zacząć na siebie zarabiać, a nie wiem, jak się za to zabrać. Czym miałbym się zająć?*

*Pani Beata mówi, że nie mogę co chwila zmieniać tematu i pisać wszystkiego, co mi przychodzi do głowy, tylko trzeba ukierunkować wywód. Spróbuję. Bo chcę Ci opowiedzieć o czymś ważnym.*

*Babcia ostatnio sporo pije, nawet na grób dziadka poszła pijana. Wiem, że Ciebie by to zmartwiło, ale mnie trochę nawet pasuje, bo dzięki*

temu mogę do późna być poza domem, a kiedy wracam, ona już śpi.

Miałem ukierunkować.

Coś ważnego, o czym chcę Ci napisać, to dziewczyna o imieniu Madelaine. Przedstawia się jako Magda. Oba te imiona mają przyjemny odcień, trochę jak kapelusz prawdziwka. Wiesz, że lubię ten kolor.

Jest wielobarwna i wprawdzie jej barwy są głośne, ale nie muszę zaciskać oczu, bo nie wrzeszczą tak, jak te w reklamach i sklepach. Czasami myślę, że Magda chce coś nimi powiedzieć. Tym, że rozjaśnia włosy i zmienia ich odcienie i że maluje usta na czerwono. Widziałem ją przez okno bez szminki, a wtedy wyglądała bardzo smutno cicho i miękko. Z czerwonymi ustami jest wprawdzie twardsza i głośniejsza, ale jeszcze smutniejsza.

Przyjechała do Stawów w połowie września. Nikt nie wie, skąd i po co. Dlaczego tu? Dlaczego teraz? Została zapisana do drugiej klasy. Twierdzi, że mieszkała dotąd za granicą – nie ma powodu, żeby jej nie wierzyć, bo podobno świetnie mówi po angielsku. Ja nie jestem z nią w jednej klasie, ale słucham, co mówią ci, którzy są.

Magda udziela korepetycji – patrzyłem, jak rozwieszała ogłoszenia. Lubię czasem przyglądać się jej z ukrycia. Nie robię nic złego, tylko patrzę. Jak na razie na to ogłoszenie zareagowały trzy osoby. Tak więc Magda chodzi na sąsiednią ulicę do chłopczyka w wieku przedszkolnym, do dziewczyny (chyba z siódmej klasy) z osiedla Łużyckiego, a ostatnio zaczęła też uczyć młodego biznesmena, Karola Filipiuka, który otworzył dwa salony gier, pizzerię i lokal z kebabem. Skoro chce się uczyć języka, pewnie wybiera się za granicę. Ludzie mówią, że to cwaniak i że ma na sumieniu dużo brudnych sprawek. Ja sam widziałem go tylko raz i wydał mi się czarny w środku.

Dzięki temu, że Magda rozwiesiła ogłoszenia w sprawie korepetycji, zdobyłem jej numer telefonu. Oderwałem go dzisiaj. Nie powinienem był

*tego robić, bo te karteczki są dla tych, którzy chcą się uczyć, a ja nie chcę, bo przecież znam angielski. Myślę jednak, że do niej zadzwonię. Tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. To znaczy słyszałem go oczywiście wiele razy, bo umiem przyglądać się i przysłuchiwać w taki sposób, że sam pozostaję w ukryciu. Ale chciałbym, żeby raz powiedziała coś do mnie. Myślisz, że to bardzo złe, Mamo?*

Babcia piła wino wiśniowe, więc Witek schował zeszyt z listami do matki i bez najmniejszych problemów wymknął się z domu. Poszedł na osiedle Norwida, trochę pogapił się w okno na pierwszym piętrze, a potem cicho jak mysz przemknął na poddasze nad pogotowiem weterynaryjnym i stanął przy strasznie zakurzonej parapecie. Magda była w kuchni, chyba coś mieszała w garnku. Witkowi drżały ręce, gdy szukał kontaktu w telefonie. Obserwował, jak dziewczyna wychodzi z kuchni. Przez chwilę jej nie widział, potem pojawiła się w sypialni, ale widocznie usiadła albo nawet położyła się na łóżku, bo znów stracił ją z oczu.

– Słucham. – Kiedy usłyszał głos w słuchawce, zabrakło mu tchu. Nie odpowiedział, ponieważ nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Zresztą nie miał przecież zamiaru z nią rozmawiać, chciał tylko słuchać.

– Halo! – odezwała się znowu niecierpliwie, a może z niepokojem. – Słucham!

– Halo. – Tym razem odpowiedział, ponieważ zdjął go nagły lęk, że jeśli tego nie zrobi, ona się rozłączy.

– W sprawie korepetycji? – zapytała.

Witek milczał przez chwilę, zbierając myśli.

– Nie – wykrztusił wreszcie. – W sprawie rozmowy. Albo samotności. Na jedno wychodzi.

Teraz z kolei ona zamilkła. Na długo. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle. Miętko. Miał jasnożółty kolor.

– Kto mówi?

Witek nie miał pojęcia, co powiedzieć. Podać imię? Przecież go nie znała. Ksywkę? O Przypale słyszała na pewno. Pytanie brzmiało: czy chciałaby rozmawiać z Przypalem? Nie, na pewno nie. Natychmiast odłożyłaby słuchawkę.

– To ja – powiedział głupio. – Po prostu ja. Chciałem tylko... pogadać.

– Okej – odparła Magda z namysłem. – Powiedz mi, czy się znamy. Skąd masz mój numer?

– Nie znamy się. Zerwałem karteczkę z ogłoszenia.

– Więc jednak zainteresowały cię korepetycje...

– Nie – przerwał. Nie umiał kłamać. – Po prostu potrzebowałem rozmowy.

Pojawiła się znowu – wstała i podeszła do okna. Witek zadrżał, bo przez chwilę czuł się tak, jakby patrzyła mu prosto w oczy. To było tak intensywne, że aż zabolalo, ale chciał, żeby zrobiła to jeszcze raz. Tymczasem ona oparła czoło o szybę i zamknęła oczy albo może patrzyła w dół, na ulicę – w każdym razie widział jej opuszczone powieki.

– Powiesz mi, jak masz na imię? – zapytała, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wycofała się z tego. – Nie, nie mów. Lepiej, żebyśmy się nie znali. Będę do ciebie mówiła... Czy jest jakieś imię, które lubisz?

– Nie wiem – wykrztusił.

– Będę mówiła: Adam. A ja dla ciebie będę Ewą. Dobrze? Adam i Ewa, mężczyzna i kobieta, tak symbolicznie. Teraz powiedz, o czym chciałeś porozmawiać.

– Nie wiem.

Przecież naprawdę nie wiedział. Nie umiał nic wymyślić. Jednak przy całym swoim braku zrozumienia ludzkich reakcji i zachowań wyczuwał, że nie zareagowałaby dobrze, gdyby wyznał, że chciał posłuchać jej głosu.

– Czasami jest taki wieczór – szepnęła Magda, odwróciła się i osunęła w dół. Domyślił się, że usiadła na podłodze, plecami oparta o kaloryfer. – Czasem są

takie dni i tygodnie, że chce się z kimś porozmawiać, ale człowiek nie ma pojęcia, o czym. Kiedy coś jest źle, coś brzmi fałszywie, ale nie możemy wyłapać tego jednego tonu, który psuje melodię. Na pozór wszystko jest w porządku. Tyle tylko, że dół, na którego dnie mieszkamy, staje się jakby głębszy i jest w nim coraz ciemniej. Też tak masz?

– Nie wiem – odrzekł. – Nie umiem tak mówić.

– Ale czujesz coś podobnego?

– Czuję, że jestem sam.

– Ja też jestem sama. Ale z wyboru, wiesz?

– Dlaczego?

– Bo tak jest bezpieczniej.

Nie rozumiał. W dzieciństwie mama zawsze mu tłumaczyła, że właśnie bezpieczniejszy jest w grupie. Zabraniała chodzić samemu po lesie i bawić się samotnie nad wodą. Może Magdzie chodzi o szkołę. On też wolał być sam, bo w grupie mu dokuczano, jego obecność prowokowała do docinków. Niby nic, do głupich żartów już przywykł, nie bał się ich, ale niektóre były paskudne, słowa miały wstrętny kolor i brzmiały bardzo zimno. Dlatego wolał ich unikać.

Nagle zobaczył, jak dziewczyna wstaje i z telefonem w ręce wybiega z pokoju. Pojawiła się w kuchni.

– Spaliłam cebulę – powiedziała z wyrzutem. – O rany, przepraszam cię, muszę kończyć. Usiłowałam zrobić sobie sos do makaronu. Jeszcze kiepsko gotuję, ale coraz lepiej mi idzie. Mam nadzieję, że uda mi się uratować tę patelnię, nie za bardzo mam kasę na nową. Ostatnio cienko przędę, bo musiałam sobie kupić ciepłą kurtkę. Tam, gdzie mieszkałam, nie było tak zimno. A ciotki nie chcę prosić o pieniądze.

– Zalej wodą z octem – powiedział Witek, bo w jego głowie natychmiast otworzyło się coś w rodzaju katalogu z plikami dotyczącymi przypalonych patelni. – I podgotuj trochę. Dobrze się też czyści sodą oczyszczoną. Soda to jest wodorowęglan sodu. Ma właściwości fermentujące, neutralizuje kwasy, pochłania zapachy i jest lekko żrąca. Właśnie dlatego można używać jej do

usuwania brudu. Tak samo możesz czyścić białe tenisówki...

– Dobra, spróbuję – przerwała niecierpliwie Magda, ale po chwili jej głos złagodniał. – To znaczy z patelnią, nie z tenisówkami. Zadzwoń jeszcze kiedyś, Adam. Jak będzie ci źle. Na razie.

Rozłączyła się. Stał jeszcze długo i obserwował jej wysiłki podejmowane, by doczyścić patelnię. Rozcierał zmarznięte ręce i próbował poskładać rozbiegane myśli w całość. Po pierwsze Magda ma ciotkę, ale ta ciotka daje jej mało pieniędzy. Bo chyba niemożliwe, żeby nie dawała jej wcale. Po drugie przyjechała skądś, gdzie było cieplej. Po trzecie jest sama dlatego, że tego chce.

## 5

# M

ijał dzień za dniem, stawało się coraz zimniej, wietrzniej, bardziej deszczowo, aż wreszcie śnieżnie i mroźnie. Witek marzył w swoim punkcie obserwacyjnym na poddaszu. Przy oknie ustawił sobie stary, cuchnący wilgocią fotel (znalazł go na pobliskim śmietniku i przytargał w nocy, żeby nie zostać zauważonym przez mieszkańców kamienicy), a potem ukradł pełen sierści pled z domku na działkach, gdzie chował się niekiedy przed deszczem. Kiedyś ogródek należał do sympatycznego małżeństwa, które bardzo o niego dbało. Jednak jakiś czas temu kobieta zmarła, a owdowiały mężczyzna zaczął zapijać samotność. Działka zarastała chwastem, a niezamknięty na noc domek raz i drugi stał się schronieniem dla wyrostków, którzy nie mieli gdzie wypić taniego wina. Witek trafił tam przypadkiem, uciekając przed Wielkim Bobem i jego kolesiem o śliskiej ksywce Szczupak, którzy gonili go dla sportu. Wiedział, że nie zrobią mu krzywdy, tylko go upokorzą, jak robili to wiele razy przedtem. Może ściągną spodnie, może Szczupak go spoliczkuje albo popchnie tak, aby Witek wpadł w błoto. Niby nic groźnego, ale i tak uciekał. Był od nich szybszy.

Na ukradzionym kocu spał kiedyś rudy kot, ale niedawno Witek widział go rozjechanego na uliczce za kościołem, więc uznał, że pled nie będzie mu już potrzebny. Wiedział, że kradzież jest zła, jednak skoro kot nie żył, chłopak był przekonany, że to się nie liczy. Pamiętał, jak babcia wyrzuciła prawie wszystkie

ubrania mamy i ojca. Potem obserwował z okna miejscowych bezdomnych, którzy wygrzebywali z kosza mamine sukienki i marynarki taty. Uznał, że tak się robi, kiedy ktoś nie żyje.

Zielonogórskie mieszkanie, w którym spędził dzieciństwo, zostało sprzedane, a pieniądze umieszczono na specjalnym koncie, gdzie miały leżeć nienaruszone aż do ukończenia przez Witka edukacji. Do tego czasu chłopak miał otrzymywać rentę po rodzicach. W praktyce oczywiście otrzymywała ją babcia i częściowo przepijała. Witek nie mógł się doczekać usamodzielnienia, ale równocześnie nie miał pomysłu, co ze sobą zrobi. Gdzie zamieszka? Czym się zajmie? Czy powinien iść na studia? Co ktoś taki jak on – z perfekcyjną pamięcią i olbrzymią wiedzą teoretyczną, ale brakiem umiejętności funkcjonowania wśród ludzi – mógłby robić w życiu?

Miał już prawie dziewiętnaście lat, choć zaczął dopiero drugą klasę liceum. Do ukończenia edukacji w najlepszym razie pozostało mu półtora roku. Gorączkowo rozmyślał, czy zdołałby włamać się do banku i okraść samego siebie. Potrzebował pieniędzy. Chciał pomóc Magdzie. Chciał być bliżej.

Tymczasem nadal ją obserwował i poznawał coraz lepiej. Chodził za nią do sklepów, choć coraz częściej tylko coś oglądała, rzadko kupowała, chyba że w lumpeksie – stamtąd czasem wychodziła z pełną reklamówką. Wiedział, że potem przerabia kupione ubrania, coś od nich odpruwa, coś doszywa. Po kilku dniach szła do szkoły w oryginalnym stroju, który zawsze wyglądał nie tylko jak nowy, ale wręcz jak zdjęty z jakiejś ekstrawaganckiej gwiazdy filmowej.

Dziewczyna była w oczach chłopaka kimś w rodzaju artystki. On sam nie potrafił niczego stworzyć – umiał tylko odwzorowywać. Czasem widział kuriera, który dostarczał jej paczki. Witek gnał wtedy na poddasze i próbował wypatrzeć przez okno, co znajdowało się w kartonie. Jeśli było jasno, nie udawało mu się to, ale wystarczyło, że zapadła szarówka i Magda włączyła światło, wówczas dostrzegał każdy szczegół. Kupowała wełnę i dodatki krawieckie. Potem dziergała fantastyczne swetry, kamizele i szale, doszywała



jakieś cudaczne guziki – i w ten sposób powstawały jej oryginalne ubrania.

Magda nie chodziła na imprezy, choć wciąż ją zapraszano. Witek dostrzegał, jak wielu chłopaków wodziło za nią wzrokiem i jaką niechęć budziła u dziewczyn. Była nowa – a więc pożądana w towarzystwie jako element ożywiający otoczenie. Wyglądało jednak na to, że jest odludkiem. Nie potrzebowała nikogo.

Witek chodził za nią niemal krok w krok. Urywał się z lekcji wtedy, kiedy jej klasa kończyła zajęcia – z tego powodu musiał wysłuchiwać niekończących się kazań babci, która mniej więcej do szesnastej była trzeźwa, więc czuwała nad szkolnymi sprawami wnuka i nieustannie utyskiwała na jego oceny oraz wagary. Po południu staruszka, codziennie obiecująca sobie, że to ostatni raz, wypijała wino i zaczynała pochrapywać przed telewizorem, wówczas chłopak wymykał się, wyruszając na poszukiwania Magdy. Zresztą rzadko musiał jej szukać, prawie nie wychodziła z domu, więc na ogół przemykał po prostu do mieszkania na poddaszu. Sporadycznie znajdował ją w sklepach albo tropił w drodze na korepetycje.

Przyglądał się, jak znikła w drzwiach klatki schodowej, gdy szła na lekcję do chłopczyka z sąsiedniej ulicy. Siódmoklasistka widocznie zrezygnowała z lekcji, bo Magda przestała bywać na osiedlu Łużyckim. Za to do Karola Filipiuka chodziła teraz dwa razy w tygodniu. To się Witkowi nie podobało, ponieważ po pierwsze nie lubił tego człowieka, bał się go i nie ufał mu. A po drugie Filipiuk mieszkał w domu otoczonym wysokim, metalowym ogrodzeniem, za którym biegał luzem wielki, paskudny, wiecznie ośliniony pies, przez co obserwacja była utrudniona. Raz tylko chłopak odważył się zbliżyć – złapał się rękoma przęsła i wspiął się na taką wysokość, by zobaczyć, jak właściciel posesji, przytrzymując warczącego czworonoga, wpuszcza Magdę do domu. Dziewczyna wyraźnie się bała, ale wszystko wskazywało na to, że do czasu aż Filipiuk trzyma za obrozę, jest bezpieczna.

Kiedy tylko pies został uwolniony, ujadając, ruszył w kierunku Witka.

Chłopak zeskoczył z ogrodzenia i zabrał ręce w samą porę, by uniknąć kontaktu z potężnymi kłami. Odsunął się o kilka metrów, ponieważ czuł emanującą od zwierzaka złą energię. Warczenie miało kolor i zapach bulgocącego błota z nitkami czerwieni.

W oknach, które widać było z ulicy, nie zapaliło się światło; widocznie lekcje odbywały się po drugiej stronie budynku. Witek niepokoił się, gdy tracił Magdę z oczu. Nie mógł jednak nic zrobić. Pozostawało jedynie znaleźć sobie zaciszne miejsce i przeczekać godzinę korepetycji. Z braku lepszej możliwości za „zaciszne miejsce” Witek uznał w końcu zdemolowaną wiatę dawnego przystanku autobusowego. Od tej pory spędzał tu dwie godziny tygodniowo, czekając, aż Magda wyjdzie od Filipiuka. Potem odprowadzał ją do domu, to znaczy oczywiście szedł za nią tak, aby nie zostać zauważonym.

Miał ochotę znowu zatelefonować i porozmawiać z nią, ale nie wiedział, czy już może. Powiedziała wtedy: „Zadzwoń jeszcze kiedyś”, a on nie potrafił interpretować takich ogólnikowych określeń. Co znaczy kiedyś? Czy teraz jest „kiedyś”? A może jeszcze za wcześnie albo już za późno na „kiedyś”?

Wreszcie pewnego wieczoru, kiedy siedział opatulony w pled śmierzdzący szczykami kota i patrzył, jak dziewczyna parzy sobie herbatę, zdarzyło się coś, czego absolutnie się nie spodziewał. Magda wyszła z kuchni, a potem pojawiła się w sypialni, po czym znikła z pola widzenia. Zapewne usiadła na łóżku. W tym samym momencie zadzwonił jego telefon.

Aż podskoczył z przestרחu. Nikt nigdy do niego nie dzwonił. Poza babcią – ale przecież staruszka drzemała teraz otumaniona winem przed telewizorem. Zmarzniętymi i roztrzęsionymi z nadmiaru emocji rękami wyłuskał telefon z kieszeni kurtki. To była ona. Magda.

– Cześć, Adam – powiedziała cicho, kiedy odebrał. – Mówi Ewa. Pamiętasz mnie?

Pokiwał głową, a potem zdał sobie sprawę, że ona tego nie widzi i szybko potwierdził, że tak, pamięta.

– Myślałam, że do mnie zadzwonisz – szepnęła. – Miałeś zadzwonić, gdyby było ci źle. Pewnie nie było...

– Było – przerwał. – Tylko... Nie wiedziałem kiedy.

– Kiedy co?

– Kiedy mogę telefonować.

– Zawsze – odparła. – Nawet w nocy, wiesz? Ja mało śpię.

– Dlaczego?

– Nie lubię snów – wyjaśniła i choć czekał, aż pociągnie ten temat i opowie, co jej się śni, nie zrobiła tego. – Zresztą jawę też lubię nieszczęśliwie, wiesz?

Nie wiedział, bo niby skąd miał wiedzieć.

– I dzisiaj z kolei ja mam paskudny dzień, więc pomyślałam sobie... Ale może ci przeszkadzam?

– Nie. Nie przeszkadzasz.

Brakowało mu słów. Tak bardzo chciał stać się błyskotliwy, elokwentny, umieć swobodnie prowadzić rozmowę. Wiedział, że inni to potrafią. Chyba po raz pierwszy w życiu tak dotkliwie uświadomił sobie własną odmienność.

– Jestem silna – powiedziała Magda po chwili ciszy. – Jestem silna, wiesz? Silniejsza, niż wszyscy myślą.

– Jesteś – potwierdził, ponieważ w jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju pytania. Słowa wydawały się srebrzysto-zielone jak połyskujące w wodzie małe rybki, które widział kiedyś w akwarium.

– Nikt nie ma prawa mnie tknąć, nikt nie może przekroczyć moich granic – dodała jeszcze, ale mniej pewnie.

Pewnie ona też nie lubi, kiedy na WF-ie dotykają jej obce ciała, pomyślał.

– Wszyscy mamy prawo do strefy intymnej – powiedział ostrożnie, bo to zdanie zapamiętał z rozmów z panią psycholog.

– Jestem silna.

Nie rozumiał, dlaczego wciąż to powtarza. Gdyby tylko umiał odczytywać ludzkie emocje tak, jak potrafiła to pani Beata... Wydało mu się nagle, że słyszy

płacz. Nie było szlochu, pociągania nosem, tylko cisza, w której wyraźnie poczuł szklisty błękit łez. Widział przez okno, że Magda nie wstała; wciąż leżała albo siedziała na łóżku.

– Mogę czasami do ciebie dzwonić, Adam? – zapytała po chwili.

Nie brzmiała tak, jakby płakała, więc zapewne było to złudzenie. A może Magda umiała płakać tak jak on: do środka?

– Pewnie, że możesz – wydukał. – Zawsze.

– Myślałam, że nie potrzebuję nikogo. Naprawdę byłam tego pewna. Ale ostatnio... Chyba właśnie od tamtego wieczoru, kiedy zatelefonowałeś... Zaczęło mi brakować rozmowy.

Chciał jej powiedzieć, że jemu też czasem brakuje. I wtedy idzie do pani psycholog, a ona potrafi słuchać i wszystko rozumie. Jednak gdyby powiedział o wizytach u psychologa, Magda mogłaby się domyślić, że rozmawia z Przypałem. Witek nie znał nikogo innego, kto chodziłby do pani Beaty. No, oprócz maluchów, które przychodziły diagnozować dysleksję.

– Możesz pisać listy – rzucił, bo milczenie przedłużało się i wystraszył się, że Magda przerwie rozmowę. – Mnie to pomaga.

– Do kogo?

– Do kogoś, kogo lubisz. – Chciał dodać, że on sam pisze do nieżyjącej mamy, ale powstrzymał się z tych samych powodów, co poprzednio. W Stawach niewiele było chłopaków, którzy nie mieli matki; nawet w domu dziecka Witek był jedyną sierotą biologiczną. Zresztą zamieszkawszy tam, dowiedział się, że w Polsce jedynie trzy procent mieszkańców domów dziecka nie ma obojga rodziców.

– A jeśli nie lubię nikogo? – szepnęła dziewczyna. – Jeśli porobiło się ze mną tak... A zresztą może zawsze tak było... że nikomu nie ufam?

Wzruszył się tak bardzo, że gardło zacisnęło mu się w dziwny supeł.

– Ja piszę do kogoś, kto nie istnieje – wydukał. W ten sposób udało mu się nie powiedzieć prawdy, ale także nie skłamał. – Czasami to najlepsze wyjście.

– I co potem? Palisz te listy?

– Nie, chowam je. Czasami wracam do czegoś, co pisałem kilka miesięcy temu, i dziwię się, że martwiłem się takimi głupotami.

Gdyby tylko się odważył, powiedziałaby znacznie więcej. Powiedziała by tak: czytam to, co pisałem, zanim się pojawiłaś. Zajmowały mnie kompletne bzdury: to, że babcia więcej pije, że nauczyciel fizyki nie potrafi rozwiązać niektórych zadań, które mnie wydają się banalne, i mam ochotę wstać, wyjąć mu kredę z palców i napisać za niego rozwiązanie, bo jego słowa, kiedy wije się przy tablicy, usiłując pokryć zmieszanie, stają się śliskie i fioletowe, a ja nie lubię fioletowego. Teraz to wszystko stało się nieistotne. Teraz jesteś tylko ty, od chwili, kiedy się budzę, aż do zaśnięcia, a zresztą nawet w nocy mi towarzyszysz, jesteś ze mną w gęstych, mrocznych snach. Bo innych nie wiem, wiesz?

To właśnie chciałby jej powiedzieć. Zamiast tego milczał, wsłuchując się w jej leciutki oddech w słuchawce.

– Może masz rację, że jest to jakieś wyjście. Spróbuję napisać taki list i zobaczę, czy to działa. Mogę jeszcze zadzwonić? Lubię z tobą rozmawiać.

– Tak. Pewnie. Zadzwon.

Świat przybrał teraz złocisty kolor. Kurz na parapecie wydawał się zrobiony z aksamitu, brudna szyba stała się magicznym kryształem. Słowa Magdy były jak poranne promyki słońca na mchu w lesie, kiedy mama zabierała małego Witka na grzyby. Jakby grzebień z drzew rozczesał słoneczne włosy na luźne, miękkie kosmyki.

Dopiero kiedy wracał do domu, w którym pochrapywała pijana babcia, uświadomił sobie, że przeżywa coś takiego po raz pierwszy. Pierwszy raz w życiu ktoś powiedział mu, że lubi z nim rozmawiać. To brzmiało prawie jak „lubię cię”.

## 6

# D

ni nie różniły się od siebie niczym szczególnym. Witek żył w rytmie planu lekcji i telefonów Magdy. Znał ten rozkład na pamięć. W poniedziałki i czwartki dziewczyna miała dziewięć lekcji, w pozostałe dni – osiem. We wtorki i piątki udzielała korepetycji. Analityczny umysł Witka dość szybko dostrzegł prawidłowość: po korepetycjach u Karola Filipiuka Magda dzwoniła, żeby pogadać. W inne dni nie czuła takiej potrzeby. Niepokoiło go to, choć nie umiałby zdefiniować tego uczucia; nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że jest w niej zakochany – a co dopiero, że się o nią martwi. Dotąd nie troszczył się o nikogo ani o nic poza kolekcją ukochanych storczyków.

Magda nie mówiła nic konkretnego. Nie skarżyła się, nie opowiadała o Filipiuku, a Witek nie mógł zapytać, ponieważ w ten sposób zdradziłby się, że ją zna. Musiał udawać, że nie ma pojęcia, z kim prowadzi te długie, czasem nawet kilkugodzinne rozmowy.

– Mieszkasz sam? – zapytała za którymś razem. – Rozmawiamy już tak długo, a ciebie nikt nie woła na kolację.

– Nie chce mi się jeść.

– Nie odpowiedziałeś. Mieszkasz sam?

– Nie. – Witek zmieszał się, bo nie chciał powiedzieć prawdy, a nie potrafił skłamać. – Powiedzmy, że... nikogo nie obchodzi, czy jadam kolację.

Magda umilkła wtedy na długo, aż się wystraszył, że przerwała połączenie.

– Czasami mam wrażenie, że jesteś jedynym człowiekiem, który... – urwała na chwilę, a gdy podjęła, jemu zabrakło tchu ze wzruszenia, bo mówiła dokładnie to, co on sam chciałby powiedzieć. – Że jesteś jedynym człowiekiem podobnym do mnie. Zupełnie jakbyśmy byli na obcej planecie, zamieszkaną przez istoty różne od nas, o jakichś dziwnych odnóżach, pokryte łuskami... Rozumiesz? Nikt inny nie może mi pomóc, nikt nie mówi w moim języku, nikt nie może mi podać ręki, tylko ty. Ale na tej planecie nie ma słońca, jest całkiem ciemno i dlatego nie widzę twojej twarzy. Wiem tylko, że jest taka jak moja.

Pokiwał głową. Czuł dokładnie to samo, choć nie ubrałby tego w takie słowa. Zapomniał, że Magda go nie widzi – on miał ją przed sobą, opartą plecami o lodówkę, z odchylną głową. Wystygnie ci herbata, pomyślał, ale nie mógł powiedzieć tego głośno.

– Powiedz mi, jaki jesteś – wyszeptwała. – Ale nie mów niczego, po czym mogłabym cię rozpoznać, gdy będziemy się mijać na ulicy. Bo przecież się mijamy, prawda? Chodzimy tymi samymi chodnikami, dotykamy tych samych klamek, otrzepujemy buty ze śniegu na tych samych wycieraczkach...

Nawet nie wiesz jak często, odpowiedział jej w duszy.

– Jesteś ze Stawów, tak? – upewniła się jeszcze. – Skoro zerwałeś karteczkę z mojego ogłoszenia...

– Tak – potwierdził. – Jestem ze Stawów, chociaż mieszkam tu od niedawna.

– Ja też – ucieszyła się Magda. – Ale nie, nie mów nic więcej. Tylko... ile masz lat. Albo nie, tego też nie. Sama nie wiem. Chciałabym cię poznać, ale się boję. Może wtedy przestalibyśmy być przyjaciółmi.

Wszystko, co mówiła, było cudownie pastelowe. Delikatna zieleń słowa „przyjaciele”, miękkie, brzoskwiniowe, ciepłe zdania, kiedy wspomniała, że chciałyby go poznać. Czuł, że ona go lubi, że jest jej potrzebny.

– A ty jaka jesteś? – zaryzykował. – Powiedz chociaż dwie rzeczy o sobie.

– Zgoda. Ja dwie rzeczy i ty dwie rzeczy. Ale ty pierwszy.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Na przykład, co lubisz, a czego nie znosisz – podpowiedziała Magda.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Przypomniała sobie widocznie o herbacie, bo chwyciła kubek, a potem przeszła do sypialni. Kiedy usiadła na łóżku i zniknęła Witkowi z oczu, natychmiast zatęsknił za jej widokiem.

– Adam, jesteś tam? Miałeś powiedzieć...

– Nie znoszę fryzjera – palnął. – Dlatego jestem okropnie kudłaty. Moja babcia mówi, że to, co mam na głowie, to negacja fryzury.

Magda roześmiała się serdecznie.

– Więc nosisz długie włosy? – upewniła się.

– Nie, sam się strzygę. Kiedy już włosy urosną mi na tyle, że zaczynają przeszkadzać, biorę nożyczki i tnę.

– Chyba żartujesz! Umiesz to robić?

– Trzeba chwycić nożyczki tak, że jeden palec wchodzi w jeden otwór, a drugi...

– Mój Boże, wiem, jak się używa nożyczek. Mam na myśli umiejętności fryzjerskie. Potrafisz ładnie strzyc?

– Nie.

– Więc pewnie masz na głowie koszarne schodki.

Wzruszył ramionami, znów zapominając, że ona tego nie widzi.

– Mam kręcone włosy – powiedział. – Nic nie widać. A nawet jeśli widać, to i tak mi to nie przeszkadza. Byle nie włożyły do oczu.

Znowu się zaśmiała. Chciał ją widzieć, chciał, żeby wstała z łóżka. Kiedy się uśmiechała, w jednym policzku robił jej się dołeczek. Znał jej twarz na pamięć.

– Teraz powiedz, co lubisz – poprosiła. – A później ja ci powiem o sobie.

– Co lubię? – Zawahał się. – Storczyki. Są piękne. I jeszcze lubię las. To chyba jedyne miejsce, gdzie wszystko mi się podoba. Lubię ciepły mech, suche liście, drzewa i cień, i słońce rozdzielone na smugi, i grzyby, i kapanie kropli z drzew po deszczu. Ładnie tam pachnie.

Magda milczała. Przestraszył się, że powiedział nie to, czego oczekiwała.



Jak zawsze, gdy się denerwował, poczuł potrzebę sięgnięcia do czegoś pewnego, bezpiecznego. Lubił w takich chwilach przypominać sobie definicje albo hasła słownikowe.

– Las to kompleks roślinności...

– Ja też kocham las – przerwała. – Zwłaszcza taki górski, ciemny, z wielkimi świerkami, które mają gałęzie aż do ziemi. Byłam raz w takim lesie i czułam się jak Czerwony Kapturek, wiesz? Albo jak Małgosia, na którą czyha zła Baba Jaga. Nie chodzi o to, że się bałam, tylko byłam taka malutka...

Nie rozumiał albo nie był pewien, czy rozumie. Działo się z nim coś dziwnego. Chciał zerwać się i przebiec na drugą stronę ulicy, zapukać do jej drzwi i wziąć ją w ramiona. Po raz pierwszy w życiu chciał kogoś dotknąć.

– Powiedz coś jeszcze – poprosiła.

– Nie, ty. Miałaś wymienić rzeczy, które...

– W porządku. Lubię... Lubię ciszę i przestrzeń. Żeby było dużo miejsca wokół mnie i żeby nikt tego nie zakłócał. A czego nie znoszę? Nie wiem. Chyba ludzi. Dużych grup. W ogóle ludzi. Wolę być sama.

– Ale mówiłaś, że lubisz... że chcesz ze mną rozmawiać.

– Z tobą jest inaczej, Adam. Całkiem inaczej.

Umilkła. Witek także przez chwilę nic nie mówił, bo poczuł się zupełnie bezradny wobec tego, co się w nim działo. Co wyprawiało się z jego sercem, oddechem, myślami i nawet dłońmi, w których ścisnął komórkę tak, jakby był to piskorz, który za chwilę zechce mu się wymknąć.

– Piszę te listy, wiesz? – dodała jeszcze Magda. – Tak jak mi wtedy doradziłeś. Piszę je, ilekroć zdarzy się coś, o czym chciałabym pogadać.

– Do kogo? Do nieistniejącego adresata?

– Nie. – W jej głosie wyczuł uśmiech. – Piszę do kogoś, kto istnieje. Sam mówiłeś, że powinien to być ktoś, komu ufam. Uznałam, że jest tylko jedna taka osoba... Ty.

Witek nie odpowiedział. Nie wiedział, jak powinien zareagować.

– Kto wie, może kiedyś, gdy będę starą kobietą i umrę, ktoś dostarczy ci całe pudełko po butach wypełnione moimi bazgrołami. – Magda zaśmiała się, choć to wcale nie brzmiało jak żart. – Wtedy dowiesz się o mnie wszystkiego. Napisałam nawet o tych wstydlivych sprawach.

– Dla mnie nie ma wstydlivych spraw. Potrafię mówić o wszystkim. O ludzkiej anatomii, fizjologii i tak dalej. Ktoś mi kiedyś powiedział, że to czasami bywa nietaktowne. – Miał na myśli panią psycholog.

– Tym lepiej. To znaczy nie, że nietaktowne, tylko że nie wstydzisz się rozmawiać o... Zresztą nieważne. Tak czy owak, może kiedyś przeczytasz te listy. Nie wiem tylko, czy wtedy jeszcze będziesz o mnie pamiętał.

– Będę – odparł. – Ja nie zapominam.

– Och, tak się tylko mówi – prychnęła. – A w końcu każdy zapomni. W każdym razie na to liczę. To znaczy nie, że ty o mnie zapomnisz, tylko że ja sama... Że prędzej czy później zapomina się wszystko.

– Nauka mówi, że są cztery teorie wyjaśniające zjawisko zapominania...

– Adam. Przestań.

– Mam przestać?

– Tak. Chcę zapomnieć o wielu rzeczach. Ale nie chcę, żebyś ty o mnie zapomniał.

– Pierwsza z teorii mówi, że za zapominanie odpowiada upływ czas.

– Więc będę dzwoniła częściej, żeby mniej czasu upływało między jedną rozmową a drugą. Chcesz?

– Chcę.

– Masz dziewczynę, Adam?

– Nie.

– A kochałeś kiedyś kogoś?

– Nie.

– Ja też nie kochałam. I nie będę kochać. Nie chcę.

Nie mógł znaleźć słów. I nie wiedział, co ze sobą zrobić, kiedy tak mówiła, co zrobić z tym dziwnym uciskiem w klatce piersiowej.

– Zadzwońnię jutro – zakończyła.

Chciał podać jej kilka faktów dotyczących miłości. Wyjaśnić, że jest to tak naprawdę efekt działania  $C_8H_{11}N$ , inaczej mówiąc PEA, czyli fenyloetyloaminy, która powstaje w międzymózgowiu, a konkretnie w podwzgórzu. Chciał też wyznaczyć, że jeśli wziąć pod uwagę klasyczne objawy, takie jak szybsze bicie serca, brak tchu, ściskanie w dołku i pobudzenie, to nie ma wątpliwości, że jest zakochany.

Jednak Magda rozłączyła się, a potem wstała, odłożyła telefon na parapet, odwróciła się plecami do okna i zdjęła sweter. Pod spodem miała koszulkę, którą też ściągnęła; została tylko w biustonoszu i dżinsach. Witek zaczął drzeć w oczekiwaniu, że zdejmie resztę ubrań, ale nie zrobiła tego, tylko wyszła. Pewnie do łazienki. Wiedział, że kiedy wróci, będzie miała na sobie koszulę nocną, a potem zgasi światło i on zostanie z tęsknotą za jej widokiem aż do jutra.

Tego wieczoru po raz pierwszy uświadomił sobie, że pani psycholog mówiła prawdę: może ma inny umysł niż jego rówieśnicy, może inaczej postrzega słowa, dźwięki i barwy; może inaczej zapamiętuje, używa innych obszarów mózgu, czy jak to tam nazwać. Jednak czuje tak samo jak pozostali. Jest chłopakiem, staje się mężczyzną. Nie ma nic złego w tym, że nie lubi dotyku obcych ciał, ale też nie będzie nic złego w tym, jeśli pewnego dnia zapragnie kobiety. Tak mówiła. I to się właśnie stało.

# P

odobno Filipiuk urządza tam orgie – powiedziała Olka teatralnym szeptem.

Pół klasy odwróciło głowy w ich stronę, żeby nie uronić ani słowa. Witek nie odwrócił, bo i tak słyszał każdą głoskę. Wyrazy wślizgiwały mu się do uszu niczym larwy jakiegoś pasożyta. Mięśnie miał napięte tak bardzo, że niemal czuł, jak trzeszczą w nich włókienka.

– Ona tam chodzi dwa razy w tygodniu. No to sama pomyśl, po co? Po co nastolatka łązi do dorosłego faceta?

– Słyszałam, że po prostu udziela mu lekcji angielskiego – odparła jak zwykle rozsądna Martyna. – W takiej dziurze jak Stawy *native speaker* jest na wagę złota. Nie przesadzaj, ty się wszędzie doszukujesz sensacji.

– Ale ten cały Filipiuk miałby się uczyć? – odezwała się z powątpiewaniem Gosia. – On nie wygląda na takiego, co...

– Ja nie oceniam, kto na kogo wygląda – ucięła Martyna. – Zresztą ten facet jest całkiem miły. Byłam kiedyś na kebabie i akurat nie było innych klientów. Ta laska, która tam sprzedaje, źle się czuła i wyobraź sobie, że on ją zastąpił. Czaisz? W życiu bym się tego nie spodziewała. Niby taki macho, a normalnie zakasał rękawy i przygotował mi kebaba.

– Jaki tam z niego macho – zakpiła Olka. – Jest stary i brzuch mu rośnie.

– Chyba żartujesz! Dwadzieścia parę lat to dużo?

– No, jak dla mnie, to na pewno.

Martyna wzruszyła ramionami.

– Twoja sprawa. Ja tam wolę mężczyzn od chłoptasiów.

Dalszą rozmowę przerwał powrót anglisty, który jak zwykle w połowie lekcji musiał skoczyć do toalety, bo podczas przerw miał dyżur. Zajęcia wróciły na normalne tory. Ktoś czytał polecenie z podręcznika, ktoś inny ziewał dyskretnie, a jeszcze kolejna osoba odpisywała pod ławką na esemesa.

Witek nie mógł się skupić. Omawiali tekst o tym, że Azjaci gustują w potrawach z owadów. Na zdjęciu widniały pieczone świerszcze. Anglista odczytał właśnie przepis kulinarny z książki *The Eat-a-Bug*. Witkowi chciało się wymiotować. Słowa wydawały się chrzęścić mu w uszach niczym chitynowe pancerzyki. Podniósł się i wybiegł z klasy. Wiedział, że nikt nie zwróci na to szczególnej uwagi. Wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że Wit Malczyk jest nienormalny. Nawet on sam. I nigdy dotąd mu to nie przeszkadzało. Aż do teraz. Dopiero gdy w jego życiu pojawiła się Magda, zapragnął być taki jak wszyscy.



Chłopak powłóczył się trochę po pobliskim parku. Nie było sensu wracać do domu, babcia o tej porze była trzeźwa i na pewno pogoniłaby go z powrotem do szkoły. Pod blokiem Magdy także nie miał czego szukać – znał jej plan na pamięć, wiedział więc, że ma teraz biologię. Było zimno i wilgotno, siedzenie na ławce nie wchodziło w grę. Ostatecznie Witek zdecydował się pójść pod dom Karola Filipiuka i przyjrzeć się otoczeniu za dnia. Dotąd zawsze bywał tam po zmroku.

Po drodze usiłował poukładać sobie w głowie wszystko, co już wie na temat tego faceta. Odganiał niepokojące słowo „orgie”, które usłyszał w szkole i które miało ohydny, fioletowo-siny kolor z plamami purpury. Było gorące, ale w nieprzyjemny sposób, nie jak kubek herbaty z cytryną, lecz tak, jakby włożyć rękę we wnętrzności zwierzaka. Witek nie miał pewności co do znaczenia tego

wyrazu, ale kojarzyło mu się z czymś klejącym, zwłaszcza w zestawieniu z Magdą. Nie chciał, żeby u Filipiuka były orgie. Nie chciał, żeby Magda chodziła do Filipiuka.

Nie myśleć o tym, nie myśleć, powtarzał sobie. W domu sprawdzi, co to znaczy, odszuka w słowniku, zanotuje w pamięci konotacje, narysuje sobie w głowie mapę myśli, tak jak robił to zawsze z nowymi słowami. A teraz trzeba się skupić na tym facecie.

Właściwie nikt w miasteczku nie wiedział o Filipiuku niczego specjalnego. Pojawił się dwa lata temu i od razu zrobiło się o nim głośno, bo wdał się w bójkę pod dyskoteką i wybił jakiemuś gościowi oko. Ponieważ jednak trafiło na łachudrę i miejscowego złodziejaszka, nikt jednookiego nie żałował. Byli nawet tacy, co mówili, że należało obić mu gębę już dawno.

Witek nie mieszkał jeszcze wtedy w Stawach – wszystko, co wiedział na ten temat, pochodziło z powtarzanych sobie szeptem rewelacji spod trzepaka. Jeden dzieciak przekazywał drugiemu podkoloryzowaną wersję zdarzeń, tak że ostatecznie nikt już nie wiedział, kto kogo zaatakował i o co poszło.

O Filipiuku mówiono jeszcze wiele różnych rzeczy: że pochodził spod Białegostoku i zwiął pod zachodnią granicę przed ruską mafią, że nie skończył nawet gimnazjum, handlował kradzionymi z Niemiec samochodami, a także – że w Holandii, gdzie pracował przy cebulkach tulipanów, zabił swojego szefa i uwiódł jego żonę. Nikt nie był pewien, czy którakolwiek z tych opowieści miała w sobie choć ziarnko prawdy. Fakty wyglądały tak: facet był młody, cwany, przystojny, miał tupet i mnóstwo pieniędzy. W krótkim czasie rozkręcił salon gier, potem drugi, co jak na tak małą miejscowość było swoistym ewenementem. Podobno w którejś z wsi tuż pod granicą niemiecką miał też niezłe prosperujący dom uciech. Ponadto założył w Stawach pizzerię oraz coś w rodzaju baru z kebabem i sałatkami. Po roku pobytu w nowym miejscu kupił na obrzeżach miasteczka kawał ziemi ze starym domem i kazał go wyremontować oraz otoczyć wysokim ogrodzeniem. Jednak tuje nie rosły tak szybko, aby zakryć

wszystko, co chciał ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami. I właśnie dlatego teraz Witek obchodził swoim kocim krokiem całą posiadłość, obserwując uważnie i notując w pamięci szczegóły.

Zapamiętał, że dom okolony jest ogrodem, w którym dominują krzewy iglaste. Nie było zeschniętych roślin, jakie zwykle kołyszą się na wietrze aż do wiosny; nigdzie nie sterczały nagie gałęzie pozbawione liści. Zamiast tego budynek otaczała ciemna, a czasem niebieskawa zieleń świerków, sosen, tuj i jałowców. Z jakiegoś powodu chłopakowi przyszedł na myśl cementarz, ponieważ jednak było to przykre skojarzenie, bo przypominało nieżyjących rodziców, odpędził je szybko. Poszedł dalej. Psa z oślinionym pyskiem nie było widać, pewnie został zamknięty. Pytanie brzmiało – czy zamyka się go na czas nieobecności gospodarza, czy też właśnie na odwrót? Witek nigdy nie miał żadnego zwierzaka, nie mógł więc odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zdenerwował się, jak zawsze, gdy miał za mało danych. Wyrecytował sobie w pamięci czterdzieści ras psów w porządku alfabetycznym, żeby się trochę uspokoić.

Ścieżki wiodące do domu i na taras wysypane były sporej wielkości kamykami. Trawnik wydawał się wypielęgnowany i wręcz nienaturalnie zielony. Witek wiedział sporo na temat trawników, ponieważ miał za sobą dwuletni okres zainteresowania futbolem – a kiedy zgłębiał jakiś temat, poznawał absolutnie każdy szczegół. Swego czasu czytał więc o sposobach pielęgnacji murawy stadionowej, o gatunkach trawy, jej koszeniu i nawadnianiu. Futbol ustąpił potem miejsca muzyce Mozarta, następnie rasom psów i znaczkom pocztowym, a wreszcie anatomii kobiecego ciała. Ponieważ jednak Witek niczego nie zapominał, informacje na każdy z tych tematów wciąż czekały w jego umyśle. Potrzebne czy niepotrzebne, były na wyciągnięcie ręki, tłoczyły się tuż pod czaszką, chcąc się na coś przydać.

– Ktoś musi go nawozić i często kosić – mruknął do siebie chłopak. – A to oznacza, że są tu pracownicy, bo ten cały Filipiak nie wygląda na kogoś, kto trudziłby się czymś takim. Ktoś również usuwa liście ze ścieżek, bo nawet jeśli

w samym ogrodzie nie ma krzewów i drzew liściastych, to przecież po drugiej stronie ulicy, obok wiaty przystanku, rośnie topola, a kilka metrów dalej – brzoza.

Ponieważ lodowate, wilgotne powietrze wdzierало się w każdy szew kurtki i w każdy luźny ścieg szalika, Witek poddał się i wrócił do domu. Babcia szykowała właśnie obiad.

– Uciekłeś z angielskiego – zaskrzeczała. – Co ci znowu strzeliło do tego upośledzonego łba? Przecież z języków jesteś dobry, masz piątki. Nie możesz, do cholery, usiedzieć na lekcji?

– Mówili o jedzeniu robali – mruknął Witek.

– Guzik mnie to obchodzi. Zobaczysz, jak trzeba będzie zdawać maturę. Nikt cię wtedy nie zapyta, czy podobał ci się temat, czy łaskawy pan zechciał wytrzymać do dzwonka. Masz umieć i już.

Gderała jeszcze długo, ale Witek poszedł do swojego małego pokoiku i założył słuchawki. Jedyne, co mogło uciszyć hałas w jego głowie, była muzyka któregoś z ulubionych twórców. Tego dnia zdecydował się na walca a-moll Chopina. Podkręcił głośność do maksymalnych wartości i na kilka minut każda komórka jego ciała stała się muzyką. Potem zdjął słuchawki, otworzył laptopa i wyszukał słowo „orgia”.

Resztę dnia spędził, klęcząc na podłodze, miarowo machając hantlami i wpatrując się w gęstniejącą ciemność za oknem.



## 8

# B

Beata Kremczuk przetarła dłonią zmęczone powieki. Miała powyżej uszu rozmów z rodzicami dzieci, którym nie chciało się czytać lektur, nauczyć się kilku zasad ortograficznych i zwyczajnie pracować nad sobą. Znacznie łatwiej było wydębnić w poradni zaświadczenie o dysleksji albo dysortografii – w dodatku z głupim przekonaniem, że taka opinia zwalnia z dalszych wysiłków i obowiązku nauki.

Kobieta pracowała w swoim zawodzie od niemal trzydziestu lat, ale osób z prawdziwymi dysfunkcjami spotkała przez ten czas zaledwie sześć. Pozostałe przypadki stanowiły coś w rodzaju mieszanki lenistwa, cwaniactwa, braku inteligencji oraz idiotycznego przekonania rodziców, że komu jak komu, ale im nie mogło się trafić „niezdolne dziecko”. Niemożliwe też, aby było „zdolne, tylko leniwe”. Tak mawiano za czasów jej młodości. Teraz natomiast panowała moda, by zwać winę za niepowodzenia dzieci na nieudolnych nauczycieli, przeładowany program nauczania oraz właśnie dysleksję, dysortografię, dyskalkulię i dysgrafię (jakimś cudem z roku na rok rosła liczba tych nieszczęśników, którzy nie byli zdolni opanować sztuki czytelnego pisanie).

Właściwie jedynym pacjentem, którego Beata była naprawdę ciekawa, był Wit Malczyk. Chłopak, który niczego nie udawał, któremu nie zależało na takiej czy innej diagnozie. Wymykał się wszelkim schematom, nie pasował do opisów, tabel i definicji.

Kiedy go poznała, był wielkim jak cielak, rozedrganym pierwszoklasistą. Nie rozumiał, dlaczego nikt nie pozwala mu być sobą. W szkole, do której chodził wcześniej, jeszcze za życia rodziców, tolerowano jego odmienność. Może jej nie rozumiano, ale też nikt nie próbował wtłoczyć chłopaka na siłę w ciasne ramki „normalności”. Z rozmów z Witkiem, a potem z jego wiecznie skacowaną babcią, Beata wywnioskowała, że wszystko, co udało się chłopcu osiągnąć, w ten czy inny sposób zawdzięczał nieżyjącej matce. Ojciec – tak przynajmniej wynikało z opowieści Witka – nie do końca zaakceptował fakt, że ma syna innego niż wszystkie dzieciaki świata. Jedyne w swoim rodzaju.

Początkowo Beata także bardzo chciała wcisnąć Wita do którejś szufladki. Może do tej z napisem „autyzm”. Albo „zespół Aspergera”. Nie do końca jednak do nich pasował. Były dni, kiedy łapała się za głowę i wołała: „Ależ to typowy sawant!”, by po chwili zdać sobie sprawę, że nie, bo jest zbyt inteligentny, podczas gdy sawanci mieli zazwyczaj bardzo niski iloraz inteligencji. Wit był po trosze każdym z nich: autystą, mnemonikiem, sawantem, synestetykiem, a oprócz tego diabelnie wrażliwym, miękkim jak wosk chłopakiem.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, kiwał się rytmicznie w zbyt niskiej ławce. Babcia przyprowadziła go na testy psychologiczne, które miały wykazać, czy rzeczywiście jest za głupi, by uczyć się w miejscowym ogólniaku. Wit nie tylko bezbłędnie rozwiązał wszystkie zadania logiczne w trzykrotnie krótszym czasie niż przewidziano w instrukcji, ale w dodatku wdał się w dyskusję na temat teorii inteligencji wielorakich i stwierdził, że właściwie nie trzeba go diagnozować, bo on sam już to zrobił – odkrył u siebie wszystkie typy oprócz emocjonalnego.

Beata początkowo odrobinę się go bała. Był bardzo wysoki – prawie dwa metry wzrostu. Jego brązowe oczy miały nieco dziki wyraz, zwłaszcza że patrzyły nieufnie spod płataniny ciemnych kędziorów, które wyglądały tak, jakby nigdy w życiu nie zaznały dotyku grzebienia. Dopiero potem dowiedziała się, że chłopak nie znosi fryzjera, więc strzyże się sam, a co do sylwetki –

zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki jest duży i silny. Nie potrafił bronić się przed zaczepkami, pozwalał się popychać znacznie mniejszym od siebie. Żeby go chronić i pomóc mu poradzić sobie z frustracją, Beata zasugerowała, aby zaczął ćwiczyć. Posłuchał tej rady, kupił sobie sztangę oraz zestaw hantli i wkrótce wydawał się jeszcze potężniejszy, bo rozrósł się w ramionach.

Nadal pozostał jednak łagodny i na pozór obojętny, choć im lepiej dawał się poznać, tym wyraźniej widać było buzujące w nim emocje. Mało mówił, dużo rozmyślał. Otwierał się bardzo powoli – dopiero po pół roku powiedział Beacie, że widzi dźwięki. Miał niezwykły słuch muzyczny, pamięć fotograficzną i talent plastyczny. Inaczej niż typowy autysta, rozumiał wiele idiomów i powiedzonek o znaczeniu przenośnym, ale zdarzało mu się nie chwytać ironii, żartów i metafor. Bywało, że kiedy nie wiedział, jak zareagować, recytował definicje albo fragmenty wierszy i piosenek. Miał w zanadrzu cytaty na każdą okazję. Szczególnie z Szekspira, który był jednym z jego ulubionych pisarzy. Kiedy Beata zapytała dlaczego, Wit odparł tylko, że to kwestia rytmu. Jednak nie potrafił wyjaśnić jej, co dokładnie miał na myśli.

Chłopak twierdził, że nie umie kochać ani nawet lubić ludzi. Nie wstydził się, mówiąc o intymnych sprawach, na przykład o anatomii kobiecego ciała; w ogóle nie wyczuwał, że niektóre jego słowa mogą sprawiać przykrość albo wprowadzać rozmówcę w zakłopotanie. Bywał szczery do bólu, bo nie potrafił kłamać, a jednak Beata doskonale wiedziała, że nigdy nie uda jej się poznać go i zrozumieć do końca.



Od tamtej pierwszej wizyty w poradni psychologiczno-pedagogicznej minęło wiele miesięcy. Beata uśmiechnęła się na myśl, że Witek w okamgnieniu obliczyłby, ile dokładnie. Potem podałyby też liczbę tygodni, dni, godzin, a gdyby zapytała, to również minut i sekund. Tak właśnie wyglądały ich pierwsze sesje –

kiedy jeszcze sprawdzała, z kim ma do czynienia, i próbowała przykleić nowemu pacjentowi jakąś etykietkę.

Z biegiem czasu stali się dla siebie raczej przyjaciółmi niż terapeutką i pacjentem. Mimo różnicy wieku zwyczajnie lubiła z nim rozmawiać. Była autentycznie ciekawa jego poglądów na rozmaite tematy; czuła się też mile połączona faktem, że on jej ufa i docenia wysiłki podejmowane przez nią, by w pewien sposób zastąpić mu matkę. Nie w sensie uczuciowym, lecz praktycznym. Między wierszami opowieści Wita wyraźnie można było wychwycić, że jego mama robiła wszystko, by chłopak funkcjonował w społeczeństwie tak, jak jego rówieśnicy. Teraz pozwalał się „wychowywać” Beacie. Uczyła go zabawy w udawanie, wbijała mu do głowy metaforyczne powiedzonka, opowiadała dowcipy, po czym wyjaśniała, w którym momencie i dlaczego należy się śmiać. Odgrywali scenki zawierania znajomości oraz wyznawania uczuć. Dla Beaty kontynuowanie tego zadania stało się czymś w rodzaju życiowej misji. Kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że jest to najwartościowsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiła. Nie tylko w życiu zawodowym.



Tego popołudnia, kiedy Wit przyszedł i opowiedział jej o dziewczynie, w której się zakochał, w pierwszej chwili Beata wpadła w panikę. Nie jesteś jeszcze gotów, chciała powiedzieć. Zaczekaj, cofnij się o krok, żeby nie zepsuć czegoś, co może być bardzo ładne i delikatne – co na pewno powinno takie być.

Jednak on opowiadał głównie o rozmowach z tą Magdą. Nie o cielesności (tego Beata obawiała się najbardziej, bo seksualność osób ze spektrum autyzmu wciąż pozostawała nie do końca zbadaną dziedziną), lecz o tym, że dzwonią do siebie, ilekroć któremuś z nich dokucza samotność. Sam fakt, że Wit ośmielił się porozmawiać z obcą osobą o swoich uczuciach, zakrawał na cud. Może ta dziewczyna jest pod jakimś względem podobna do niego, myślała terapeutka. Choć z drugiej strony prawdopodobieństwo, że ktokolwiek na świecie jest taki

jak on, było bliskie zeru.

Beata postanowiła, że przyjrzy się tej nowej dziewczynie. W planie pracy miała cykliczne spotkania z młodzieżą w związku z profilaktyką uzależnień – uznała, że to doskonały pretekst, by poznać Magdę i dyskretnie ocenić, czy Witkowi nie stanie się krzywda, jeśli zaangażuje się w tę znajomość.

## 9

*Kochana Mamo!*

*Pewnie ucieszyłaby Cię wiadomość, że już nie jestem kompletnym odludkiem. Zawsze mnie zachęcałaś, żebym z kimś rozmawiał, i w końcu mi się to udało. Rozmawiam z Magdą.*

*Nie wiedziałem, że tak można. Że słowa same mogą z człowieka wypadać jak pestki z przekrojonego jabłka. Dzwonię do niej i nie wiem, co powiem, a jednak rozmowa jakoś się toczy. Pamiętam, jak kiedyś musiałaś mnie uczyć, co się mówi w określonych sytuacjach. Odgrywaliś robienie zakupów, pożyczanie długopisu w szkole, przepraszenie. Wkuwałem gotowe formułki i potem próbowałem zastosować je w prawdziwym życiu – tyle że zawsze wychodziło to sztucznie. Śmiałaś się, że mam plastikową intonację. Odpowiadałem Ci, że intonacja nie może być plastikowa, nie istnieje taka kolokacja, a Ty mówiłaś, że jeśli ja mogę widzieć słowa jako niebieskie lub szare, Ty możesz słyszeć je jako plastikowe.*

*Moja znajomość z Magdą jest tylko telefoniczna. Pewnie powiedziałaabyś, że to źle. Że powinniśmy pewnego dnia umówić się jak normalni ludzie – gdzieś w kawiarni albo w parku. Problem w tym, Mamo, że my nie jesteśmy normalni. Ani ja, ani ona. Tak mi się wydaje. I*

*chyba dlatego tak łatwo mi się z nią rozmawia.*

*Poza tym nie jestem pewien, czy chciałbym, aby ta znajomość nabrała realnych kształtów. Teraz, kiedy nie żyjesz, z łatwością mogę Ci powiedzieć o najintymniejszych sprawach. Otóż mam problem z cielesną stroną tego wszystkiego. Wiem, co chłopak i dziewczyna robią ze sobą, kiedy zostają sami. Wiem, że to, co sobie robią, może zadać ból, przynieść przyjemność lub nawet rozkosz. Wiem o tym w sensie teoretycznym. Ale nie mam pojęcia, czy chcę takich doznań. Boję się. Źle znoszę lekki dotyk, pamiętasz? A jeśli ona zechciałaby mnie pogłaskać? Jeśli jej pieszczoty byłyby tak delikatne, że od nadmiaru emocji zacząłbym krzyczeć, jak wtedy, kiedy zaplątywałaś palce w moje włosy?*

*Wiem, co powiedziałaabyś, gdybyś tu była: że o tym wszystkim trzeba rozmawiać. Tyle że ja się boję. Umieram ze strachu za każdym razem, kiedy Magda dzwoni do mnie – choć zarazem cieszę się z tych telefonów. Boję się, że ona tym razem dzwoni wyłącznie po to, aby powiedzieć, że już wie: nie jestem żadnym Adamem, jestem Witek, na którego wszyscy mówią Przypał. Ten nienormalny gość, który umie w pamięci obliczyć, ile minut leciałby do Kairu, gdyby ktoś kopnął go w tyłek i nadał mu prędkość 300 kilometrów na godzinę – ale nie potrafi narysować niebieskiej biedronki, ponieważ nigdy nie słyszał, żeby biedronki były niebieskie.*

*Nie wiem, czy Magda lubi takich jak ja. Nie wiem, czy ona kogokolwiek lubi. Niedawno widziałem, że jedna dziewczyna próbuje się z nią zaprzyjaźnić. Ma na imię Martyna. Mieszka w sąsiedniej klatce, jest przewodniczącą samorządu w naszej szkole. Taka duża, głośna, prymuska i sportsmenka. Pewnie widywałeś ją nieraz, kiedy przyjeżdżałaś do babci w odwiedziny. Może też słyszałaś historię jej rodziny. Jej tata jest prawnikiem, zdaje się, że wziętym adwokatem. A raczej był, bo teraz to już wrak człowieka. Podobno mama Martyny*

umarła kilka lat temu i wtedy jej ojciec zaczął okropnie pić. Babcia to przy nim nic.

Tak czy owak, ta Martyna jak na córkę pijaka nieźle sobie radzi. Dobrze się uczy, ma stypendium dla uzdolnionych uczniów (wiem, bo pani psycholog mnie namawiała, żebym wziął udział w konkursie z angielskiego, to może też bym dostał to stypendium, ale ja nie chciałem), uprawia sport, podobno biega na długie dystanse i chce wystartować w maratonie.

Zresztą nieważne, bo nie miałem opowiadać o Martynie, tylko o tym, że chciała zaprzyjaźnić się z Magdą. Kilka razy wracały razem ze szkoły, Martyna nawet próbowała zachęcić Magdę, żeby zapisała się na wolontariat, bo Martyna zajmuje się pensjonariuszami w domu opieki i próbuje wszystkich do tego zachęcić. Ale Magda nie chciała. Powiedziała, że nie ma w sobie wystarczająco dużo dobroci, nie ufa ludziom i nie lubi ich dotykać. Martyna popatrzyła wtedy jakoś niechętnie – widziałem to, bo rozmowa toczyła się w sklepie z kosmetykami i dziewczyny stały przed lustrem.

Nie zaprzyjaźniły się. Martyna chciała chyba zachęcić Magdę do zwierzeń, opowiadała o swoich marzeniach, że waha się między medycyną a politologią, choć to się może wydawać bardzo różne – tak mówiła – ale jej po prostu chodzi o to, żeby być kimś, wyrwać się z prowincji i istnieć. Tak powiedziała: istnieć. To głupie, bo przecież istnieje.

Pytała, co Magda chciałaby robić. Nie słyszałem dokładnie, ale z tego, co udało mi się podsłuchać, wynikało, że nic. Chce żyć sobie w spokoju i żeby nikt jej nie zawracał głowy. Taka była odpowiedź.

Jak myślisz, czy to znaczy, że Magda nie ma żadnych ambicji ani zainteresowań? Czy to dobrze? Ja też nie mam konkretnych ambicji. Sam nie wiem.



*Chciałbym, żebyś tu była, Mamo. Zawsze powtarzałaś, że pytania są po to, żeby szukać na nie odpowiedzi. Ale ja nie wiem, gdzie powinienem szukać.*

## 10

*P*

opularność Magdy stopniowo malała, w miarę jak jej obecność w miasteczku traciła urok nowości. Wkrótce wszyscy przywykli do jej oryginalnych strojów, zmieniających się odcieni włosów oraz tego, że trzyma się na dystans. Nikt już nie próbował się z nią zaprzyjaźnić, choć nadal budziła ciekawość i zainteresowanie płci przeciwnej.

Nieźle radziła sobie z nauką, aczkolwiek nie było widać, żeby się choćby w najmniejszym stopniu starała. Nauczyciele nie zwracali na nią szczególnej uwagi, ponieważ nie sprawiała kłopotów i miała przyzwoite oceny. Nikt nie przejmował się tym, że poza pierwszym dniem, kiedy do szkoły przyszła wraz z nią jakaś kobieta, nigdy więcej na wywiadówce nie pojawiło się żadne z rodziców. W końcu dziewczyna była pełnoletnia.

Witek zazdrościł jej tego, że mieszka sama. Dzwonili teraz do siebie niemal codziennie, rozmawiali o szkole, nawet zdarzało im się odrabiać wspólnie zadania domowe. Magda twierdziła, że przedmioty ściśle miała w poprzedniej szkole na dużo niższym poziomie, a zależało jej na tym, aby nadgonić, bo wybierała się na studia informatyczne. Ponieważ Witek nie zawsze potrafił podać sposób rozwiązania zadania, ale umiał błyskawicznie podać wynik, weszło im w nawyk wspólne sprawdzanie, czy dziewczyna dobrze obliczyła działania.

– Ale nie jesteś nauczycielem matematyki? – zapytała Magda za którymś razem, śmiejąc się wprawdzie, ale też trochę maskując tym śmiechem niepokój.

– Powiedz mi prawdę. Nie chciałabym, żeby się okazało, że zwierzam się facetowi, którego mijam na przerwach.

Mijasz mnie na przerwach, odpowiedział jej w duchu Witek, a głośno odparł:

– Nie jestem nauczycielem. Ani matematyki, ani niczego innego.

– Ale musisz być dużo starszy ode mnie – zauważyła. – Studiujesz? Nie, wtedy nie mieszkałbyś w Stawach. Powiedz tylko, czy w tej chwili, kiedy ze mną rozmawiasz, jesteś tutaj, czy na przykład w Poznaniu.

– Tutaj – przyznał, drżąc na całym ciele, bo po pierwsze było mu bardzo zimno, a po drugie ilekroć pytała o takie rzeczy, on umierał ze strachu, że w końcu prawda wyjdzie na jaw i Magda zechce zakończyć ich dziwną relację.

Stał na ulicy, tupiąc, aby się rozgrzać. Była połowa grudnia, padał mokry śnieg, a zimna wilgoć wciskała się w każdy por skóry. Na początku miesiąca Magda kupiła w lumpeksie piękną tkaninę w indiańskie wzory i zrobiła sobie z tego zasłony okienne. Od tej pory dla Witka skończyły się dobre czasy – nie mógł już patrzeć na dziewczynę z okna poddasza naprzeciwko. Poprzestawał więc na tym, że sterczał godzinami pod jej blokiem w nadziei, że może ona wyskoczy do sklepu. Niestety, wyskakiwała rzadko.

Z rozmów z nią wiedział, że finansowo nadal kiepsko sobie radzi. Pieniądze z korepetycji pozwalały jej jednak podreperować wąły budżet. Kiedy Witek zapytał, dlaczego ciotka nie daje dziewczynie więcej pieniędzy, zachnęła się.

– Jesteś szpiclem z opieki społecznej? – zapytała. – Radzę sobie jakoś, tak czy nie?

– Nie wiem – odparł, jak zwykle zbyt dosłownie traktując pytanie. – Większość osób w twoim wieku nie musi pracować.

– A skąd ty niby wiesz, w jakim jestem wieku? – Magda stała się czujna. – Powiedz mi, znasz mnie? Mów prawdę.

– Odrabiasz zadania z matematyki – przypomniał jej. – Wspominałaś o repetytorium maturalnym. Musisz być licealistką albo chodzić do technikum.

– A ty? – zapytała cicho. – Wiem, że miałam nie pytać, ale powiedz mi to jedno. Do której szkoły chodzisz?

– Do liceum – przyznał, a potem szybko dodał: – Ale nie znamy się. Ja nie mam znajomych dziewczyn.

– Każdy ma znajomych, czy tego chce, czy nie – ucięła. – Ale nie mówmy nic więcej. Stop. Doszliśmy do ciemnej zasłony i ja nie chcę za nią zaglądać, rozumiesz?

Nie rozumiał, dlaczego użyła określenia „ciemna zasłona”, ale nie powiedział tego na głos, tylko pokręcił głową.

– Co jesz dzisiaj na kolację? – zapytała Magda, chcąc widocznie zmienić temat.

– Nic. To znaczy... jeszcze nic. Jestem teraz na dworze, pada śnieg, a ja łązę bez celu po mieście.

– Może przechodzisz w tej chwili obok mojego bloku – powiedziała. – Gdybyśmy byli przyjaciółmi, zaprosiłabym cię na gorącą herbatę i racucha. Zrobiłam racuchy. Lubisz?

– Lubię. Z jabłkami.

– Moje są bez jabłek, ale za to z powidłami śliwkowymi.

– Takie też lubię.

Milczeli przez chwilę.

– Adam?

– Słucham.

– Dlaczego łązisz bez celu po mieście?

Nie umiem kłamać, pomyślał z rozpaczą. Nie pytaj o nic więcej, bo będę musiał powiedzieć ci wszystko. Że się w tobie zakochałem i nie umiem usiedzieć w jednym miejscu, że wszędzie cię szukam.

– Nie lubisz być w domu?

– Nie lubię – potwierdził z ulgą, bo odpowiedź na to pytanie była łatwa.

– Znam to – szepnęła. – Nawet nie wiesz, jak dobrze. Prawie całe dzieciństwo spędziłam na ulicy. Tyle że w końcu trzeba było wrócić, a wtedy...

Urwała. Witek chciał zapytać, co działo się wtedy, ale coś mu mówiło, że ona znowu doszła do jakiejś zasłony, której nie chciała odchylić.

– Ale nikt cię nie krzywdzi? – upewniła się jeszcze.

– Nie. Nie krzywdzi.

– To dobrze, bo nie umiałabym ci pomóc – powiedziała z trudem, jakby nagle zaczęło ją boleć gardło. – Do czasu aż jedyny nasz problem to samotność, Adam, to w sumie jesteśmy szczęściarzami.



Czasem dzwoniли do siebie tylko po to, żeby pomilczeć. Niekiedy – żeby wspólnie posłuchać muzyki. Magda miała nietypowy gust jak na nastolatkę: lubiła matowe głosy Amy Winehouse, Liz Wright, Diany Krall i Janis Joplin.

– Przecież to jest hałas – mówił Witek, kiedy puszczała mu w telefonie jakiś kawałek, który szczególnie jej się podobał. – Nie czujesz tego? Te dźwięki są przybrudzone, mnóstwo w nich kurzu, zahaczają jak drzazgi. Zaraz ci puszcze coś, co ma w sobie harmonię, ład i światło.

Włączał Mozarta, Czajkowskiego albo Chopina i komentował:

– Słuchaj, teraz jest ten najbardziej świetlisty moment. Widzisz?

A ona śmiała się, że przecież nie można widzieć muzyki. Wtedy kazał jej zamykać oczy, sam także zaciskał powieki i opowiadał, co widzi, kiedy słucha takich utworów.

– Kłamiesz – powiedziała za którymś razem. – Nie umiesz zobaczyć dźwięków.

– Nie umiem kłamać – odparł.

– W takim razie masz niesamowitą wyobraźnię.

– Czy wyobraźnia to jest to, co trzeba mieć, żeby wymyślić historię? Na przykład opowiadanie?

– Tak, właśnie o tym mówię.

– W takim razie ja nie posiadam ani odrobiny wyobraźni.

Nie wierzyła mu, a on się denerwował. Chyba aż do tamtej chwili miał nadzieję, że Magda widzi, słyszy i czuje to, co on. Że jest trochę podobna do niego.

Ale nie była.

# B

eata wyszła z budynku liceum i szybko założyła okulary przeciwsłoneczne. W nocy spadło trochę śniegu, a teraz wyszło słońce i choć na jezdniach natychmiast pojawiła się szarobura breja, dachy wciąż raziły w oczy nieskazitelną bielą.

Spotkanie z młodzieżą jak zwykle poszło zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowała. Miała przygotowany znakomity scenariusz zajęć z elementami dramy, jednak licealiści odmówili udziału w scenkach. Widziała wyraźnie, że niektórzy chcą odegrać role, ale wstydzą się, obawiając reakcji rówieśników. Pamiętała jeszcze ten dziwny wiek, to piekło dorastania: przeświadczenie, że cały świat nas obserwuje i uśmiecha się z przekąsem. Do tej pory rumieniła się na wspomnienie kilku sytuacji, które się jej przytrafiły, gdy miała szesnaście lat, i omal nie doprowadziły jej do samobójstwa.

Oni dziś mają jeszcze trudniej, myślała. Za naszych czasów nikt się przynajmniej nie bał, że zostanie ukradkiem nagrany, że jego zdjęcie wyląduje w internecie ze złośliwym komentarzem. Nie było anonimowego hejtu, a żeby się zdecydować na ten jawny, rzucany prosto w twarz, trzeba było jednak mieć sporo odwagi.

Obserwując młodzież na dzisiejszym spotkaniu, doszła do wniosku, że bardzo trudno jest być sobą. Zwłaszcza jeśli oznacza to trwanie w swojej odmienności, odróżnianie się od reszty. Właściwie zaledwie kilka osób było stać

na ten wyczyn. Ta wysoka blondynka, przewodnicząca samorządu szkolnego – tak, tej dziewczynie nie brakowało odwagi. Wiedziała, czego chce i nie wahała się do tego dążyć. Może nie było jej wszystko jedno, co powiedzą inni, ale z pewnością nie budowała swojego samopoczucia na ocenie rówieśników.

Kto jeszcze? Oczywiście Wit Malczyk. Chłopak o takim intelekcie, że nikt w tej szkole nie dorastał mu do pięt. A jednocześnie godzący się na to, żeby chłopcy z równoległych klas traktowali go jak głupka. Kiedyś Beata zapytała go, dlaczego nie weźmie udziału w jakimś konkursie, ot tak, tylko po to, żeby tym głąbom pokazać, na co go stać. Spojrzał na nią tak, jakby palnęła coś wyjątkowo głupiego. W jego świecie nie istniały takie motywacje, nie było udawania, gierki, udowadniania czegoś, robienia na przekór.

Trzecią osobą, która tego dnia zwróciła uwagę Beaty, była ta nowa – płowowłosa Madelaine Robson. Ładna dziewczyna, ale jakaś ponura. Odwracała wzrok, nie chciała patrzeć w oczy – w tym jednym przypominała Witka. Jednak w niczym innym już nie. Była drobna, a on wielki. Ona wydawała się jasna, on był ciemny. Ona zapewne spędzała sporo czasu przed lustrem – każdy szczegół jej garderoby był idealnie dobrany; on miał na sobie rozciągnięty sweter i stare dzinsy. Ona robiła wszystko, aby ją zauważono, on najchętniej usiadłby w najgłębszym cieniu. Nie pasowali do siebie.

Jakim cudem ktoś taki jak Witek zwrócił uwagę na tę dziewczynę? Gdyby podkochiwał się w tej z samorządu, jak to ona ma na imię? Martyna, właśnie. Martyna otwarcie przyznaje, że kuje, ile wlezie, bo chce się dostać na dobrą uczelnię. Ma umysł ścisły, dogadałaby się z Witkiem. Jest wysoka, dorodna, wysportowana – nawet fizycznie do siebie pasują. Przy tym jej otwartość i odwaga w kontaktach z ludźmi stanowią doskonałe uzupełnienie tego, w czym on ma braki.

Tymczasem on zakochał się w zamkniętej w sobie, ponurej, wyzywająco ubranej dziewczynie, która wzięła się nie wiadomo skąd i nie wiadomo, dokąd zmierza.



Miałam się czegoś o niej dowiedzieć, przypomniała sobie Beata, kiedy wreszcie doszła do poradni. Potupała chwilę na wycieracze, żeby strząsnąć resztki mokrego śniegu z butów i weszła do swojego gabinetu. Zerknęła na zegarek. Na trzynastą była umówiona na spotkanie z rozwodzącymi się rodzicami i ich zbuntowanym nastoletnim synem. Miała jeszcze piętnaście minut. W sam raz, żeby zaparzyć sobie kubek gorącej herbaty i wykonać telefon do męża, który zupełnie przypadkiem był policjantem i mógł zdobyć kilka informacji.



Po spotkaniu, podczas którego padło sporo wulgaryzmów ze strony nastolatka i polało się sporo łez matki (która zresztą wydawała się niestabilna emocjonalnie), Beata odetchnęła z ulgą i ponownie zadzwoniła do męża.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć? – zapytała. – No wiesz, o tej nowej uczennicy liceum.

– Ty myślisz, że my się tu nudzimy? Nogi na stół i dłubanie w nosie? – burknął.

Widocznie był głodny. Zawsze się tak zachowywał, gdy zapomniał zabrać z domu drugie śniadanie.

– Czyli nie udało się?

– Udało, udało. Nieciekawa historia, swoją drogą. O ile to rzeczywiście o nią chodzi.

– No powiedz już.

– Josh Robson, prawdopodobnie jej ojciec, został kilkakrotnie pchnięty nożem w Cork, w Irlandii, półtora roku temu. Zabiła go żona. Jakaś ponura sprawa rodzinna.

– Mój Boże, co ty mówisz?!

– Słuchaj dalej. Żona, imigrantka z Polski, więc to się zgadza. Próbowwała następnie popełnić samobójstwo. I kiedy mówię „próbowała”, to mam na myśli

próbę, a nie rzeczywisty zamiar. Wygląda to tak, jakby bardzo chciała chybić.

– Chybić w co?

– W jakiś ważny organ. Dźgała się tu i ówdzie, ale nie zrobiła sobie większej krzywdy.

– Chryste Panie!

– Skończyło się na utracie sporej ilości krwi. Pogotowie wezwała córka. Matka leczy się psychiatrycznie.

– Czyli żyje?

– No przecież mówię, że prawdopodobnie nie miała rzeczywistego zamiaru się zabić.

– Dobrze, rozumiem. Dawno to było?

– Dwa lata temu.

– Co się działo z dziewczyną przez ten czas?

– Nie mam pojęcia. Aż tak daleko nie sięgają macki organizacji zwanej policją.

– Rozumiem. Dobrze i to. Dziękuję.

– Po co ci to było? – zainteresował się.

– Czysta ciekawość – zbyła go. – Dziewczyna wygląda na smutną, chciałam wiedzieć, czy nie zawodzi mnie intuicja.

– Jak widać, wciąż jesteś w tym niezła.

– Tak. Dziękuję, kochanie. Odwdzięczę ci się gęstym krupnikiem, jeśli chcesz.

– Uhm, gęsty krupnik, rany, jak to seksownie brzmi. Nie mogę się doczekać.

Beata roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Po tylu latach Paweł wciąż potrafił ją rozbawić. Byli sobie równie bliscy, jak w dniu ślubu. Może dlatego, że nie mamy dzieci, pomyślała. Jesteśmy sami, mamy tylko siebie.

Ta myśl skierowała ją ponownie na temat Madelaine Robson. A więc mamy tu dziewczynę z rodziny, delikatnie rzecz ujmując, dysfunkcyjnej. Pytanie

brzmi: dlaczego przyjechała akurat do Stawów? Czegoś szukała czy przed czymś uciekła?

## 12

**T**

o było najdziwniejsze Boże Narodzenie, jakie Witek dotąd przeżył. Jako małe dziecko nie znosił świąt, ponieważ zaburzały bezpieczny porządek świata – oznaczały poprzesuwane fotele, jakieś obce, nieoswojone świeczniki i inne dekoracje, ustawione w kącie pokoju drzewo, które przecież powinno rosnąć w lesie, a także dziwaczne zapachy oraz menu różniące się od codziennego, ulubionego. W owym czasie Wit ciężko znosił zaburzenia rytmu, reagował na nie dwojako – albo histerią, albo całkowitym zamknięciem się w sobie. Fakt, że z biegiem lat nauczył się reagować spokojnie na dynamikę życia, zawdzięczał jedynie uporowi i pracy matki, która uczepliła się zdania wypowiedzianego przez jednego z psychologów dziecięcych: „No cóż, na pewno nie jest to typowy autyzm”, i wierzyła w to, że Wit nie jest chory, a po prostu rozwija się inaczej niż rówieśnicy.

Chłopak pamiętał wszystko. Jego pojemna niczym studnia bez dna pamięć mieściła zarówno te najdawniejsze wspomnienia, w których siedział w kucki pod stołem w jadalni i wrzeszczał, wciskając palce do uszu, jak i te stosunkowo niedawne chwile spędzone z rodzicami przy stole, gdy ojciec wybierał z barszczu drobinki przeciśniętego przez praskę czosnku, a mama przekomarzała się z Witkiem, usiłując go okłamać, że tym razem nie ma dla niego nic na gwiazdkę, bo po prostu nie mogła znaleźć żadnej interesującej książki ani dobrej

płyty z muzyką klasyczną. Uczyła go w ten sposób, że ludzie nie zawsze mówią prawdę, ale też coś takiego nie zawsze jest kłamstwem – czasem nazywamy to żartem. Po kolacji zawsze się okazywało, że pod choinką leżało kilka mniejszych i większych zawiniątek, a we wszystkich znajdowały się upominki dla Witka. Dopiero po śmierci rodziców, podczas pierwszych – i na szczęście jedynych – świąt w domu dziecka, dotarło do chłopaka, że on sam nigdy ich niczym nie obdarował.

– Każdy z nas w pewnym momencie uświadamia sobie, że nie zrobiliśmy czegoś, co zrobić należało – powiedziała wówczas pani psycholog. – Różnica polega na tym, że większość ludzi ma jeszcze szansę to naprawić, a ty teoretycznie nie masz.

– Teoretycznie? – powtórzył.

– Tak. Bo w praktyce prędzej czy później ktoś zajmie miejsce rodziców w twoim sercu, a wówczas zapragniesz tego kogoś obdarować tak, jak nie zdążyłeś obdarować mamy. I taty – uzupełniła, choć już wiedziała, że ojciec nie akceptował syna i Witek dorastał w poczuciu, że właściwie miał jedynie matkę.



Chłopak przypomniał sobie tę rozmowę z panią Beatą, kiedy jakiś tydzień przed Wigilią pomagał babci zawiesić gwiazdę na czubku choinki.

– Aleś ty wyrósł – mruknęła starsza pani. – Nie dziwota, że tyle jesz, jakoś trzeba napędzać to wielkie cielsko. Mógłbyś chociaż już przestać podnosić te ciężary, bo zaczynasz wyglądać jak jakiś zbir. I ogoliłbyś się, bo całkiem zarosłeś. Niechlujnie wyglądają te kudły...

Witek nie odpowiedział – był kiepski w tego typu konwersacjach, kiedy rozmówca nie zadawał żadnego konkretnego pytania, tylko mówił, co mu przyszło do głowy. Chłopak gubił wtedy wątek i czuł potrzebę, by wyrecytować jakiś dobrze sobie znany fragment, na przykład coś z Tuwima, Gałczyńskiego albo Szekspira. Byle miało rym i rytm, bo wtedy uspokajało wprawiony w

popłoch umysł.

– Tyle wydaję na jedzenie, że o prezentach nawet nie myśl – powiedziała jeszcze babcia.

– Nie myślę – odparł Wit, bo to była prawda.

Jednak od tego momentu właśnie zaczął myśleć. Tyle że po raz pierwszy w życiu nie zastanawiał się, co chciałby otrzymać, lecz – że sam chciałby kogoś obdarować. Magdę. Nie miał jedynie pojęcia, co by to mogło być.

Teoretycznie ją znał. Wiedział, co ogląda w sklepach i odkłada z żalem na półkę. Ale było tego za dużo, a on chciałby spełnić każde jej życzenie. Pragnął rzucić jej pod nogi wszystko, o czym marzyła. Nakarmić ją i napoić, ubrać w najpiękniejszą sukienkę, jaką by sobie wybrała, obwiesić biżuterią i wypryskać perfumami, którymi psikała sobie nadgarstki w Rossmannie. A potem wzięłby ją na ręce, zaniósł do sypialni, położył na łóżku i dotknął jej włosów.

Na tym kończyły się jego fantazje. Wiedział – z filmów i książek – na czym polega akt płciowy. Swego czasu, wiedziony ciekawością, obejrzał kilka filmików, które można by nazwać „instruktażowymi” – było to niemal dokumentalne porno, przy którym jednak nie odczuwał podniecenia, a co najwyżej zakłopotanie. Wszystkie te szczegóły wydawały mu się raczej obrzydliwe, a już na pewno problematyczne. Nie był pewien, czy chciałby, aby doszło do zbliżenia między nim a Magdą. Ale był absolutnie pewien, że chciałby zobaczyć ją nagą i dotknąć jej skóry, która na pewno była jedwabista i ciepła. A gdyby nie była, ogrzałby ją masażem. Wiedział, jak należy masować, bo jako dziecko miał trudności z akceptowaniem dotyku i chodził wtedy z mamą na masaż. Nauczył się, że lekki dotyk też można znieść, jeśli jest ciągły, jednostajny, choć znacznie łatwiej jest z mocnym. Ucisk jest lepszy niż łaskotanie. Wiedział, że gdyby miarowo głaskał i ugniatał ciało Magdy, ona rozluźniłaby się tak samo jak on wtedy pod dłońmi masażysty. Na samą myśl o tym, że byłoby jej przyjemnie, dostał erekcji. Nie miewał jej nigdy przedtem, chyba że w snach.

Co do prezentu, ostatecznie zdecydował się na pudełko czekoladek i czerwone getry w szare reniferki, które Magda oglądała chyba ze cztery razy podczas wizyty w jednym ze sklepów. Brała je do ręki, rozwijała, chowała do pudełka i z westchnieniem odkładała. I tak w kółko. Ostatecznie ich nie kupiła. Następnego dnia Witek wrócił tam i zerknął na cenę. Sporo – sto dziesięć złotych. Nie sądził, że dwie wełniane rurki, które zakłada się na nogi, mogą aż tyle kosztować. Za tę cenę mogłaby kupić spodnie zakrywające nie tylko nogi, co byłoby znacznie bardziej ekonomiczne. Widocznie jednak jej się podobały, skoro tak przy nich wzdychała. Znaczenia westchnień zdążyła nauczyć go mama.

Następnego dnia chłopak wrócił po te getry z pieniędzmi zabranymi potajemnie z babcinego portfela. Wiedział, że babcia się zorientuje – w końcu zniknęło ponad sto złotych – ale miał to gdzieś. Po raz pierwszy w życiu chciał zrobić komuś prezent i nic nie było w stanie go powstrzymać.

Dokupił jeszcze małą bombonierkę, po czym niezdarnie zapakował całość w papier w gwiazdki. Nie wyglądało to szczególnie ładnie. Gdyby Witek widział wcześniej, jak to się robi, z pewnością potrafiłby odwzorować sposób pakowania prezentów. Jednak nigdy nie interesował się tym, jak owija się pudełka ozdobnym papierem, a w wymyślaniu nie był dobry.

Po namyśle znalazł kryjówkę. Schował zawiniątko (owinięte w reklamówkę z Biedronki dla ochrony przed wilgocią) w starej skrzynce pocztowej przy dawnym domku dróżnika. W Stawach już od jakichś dwudziestu lat nie było kolei, a dawne zabudowania PKP służyły obecnie za bazę dla miejscowych pijaczków. Witek wiedział jednak, że o tej porze roku rzadko ktoś się tam kręci. Ukrył prezent, a potem wybrał numer Magdy.

– To ty, Adam? – ucieszyła się. – Jak ci idą przygotowania do Wigilii?

– A tobie? – odbił pytanie, bo nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć.

– Ja sobie w tym roku odpuszczam – oznajmiła Magda, starając się, żeby to brzmiało beztrąsko. – Nie mam świąt. Rozumiesz? Przesuwam kalendarz od

razu na styczeń.

– Po co? – Nie zrozumiał.

– Żeby nie było samotności. Żeby nie było tych głupich myśli, no wiesz, że inni siedzą przy stole albo wokół choinki, śpiewają kolędy i tak dalej. Ciotka wyjeżdża w góry; powiedziała, że nie może mnie zabrać. Zresztą jak się zastanowić, to zawsze nienawidziłam świąt.

– Dlaczego? – Ucieszył się, że może z tego samego powodu, co on.

– Ojciec wtedy wracał z morza – powiedziała krótko, jakby to cokolwiek wyjaśniało. – A ty? Powiedz, jak jest u ciebie? Macie już choinkę?

– Mamy.

– Dużą?

– Chyba tak. Dużą i dość szeroką u podstawy. Mniejszą ode mnie, ale większą niż w większości sklepów.

Próbował być w miarę precyzyjny, bo nie był pewien, czego ona oczekuje. Może na przykład chciałaby, żeby zmierzył wysokość drzewka i podał w milimetrach? Wiedział jednak z doświadczenia, że kiedy robił takie rzeczy, ludzie mówili, że jest nienormalny.

– Lubisz święta, Adam?

Zawahał się.

– Nie. Nie bardzo.

– Dobrze. Nie mów nic więcej. Widzę, że nie chcesz.

– Nie możesz widzieć.

– No to czuję. Tak lepiej?

– Tak.

– Dziwny jesteś, Adam. Taki dosłowny. A jednocześnie twierdzisz, że widzisz muzykę.

– Wiem. Dziwny.

– Ale i tak cię lubię.



Westchnął. Czy mógł jej powiedzieć, co czuje? Mógł, owszem, w tym sensie, że miał prawo. Wiedział o tym, bo w dziedzinie praw i obowiązków był uświadomiony przez panią psycholog. Jednak czy powinien? Tak niewiele wiedział o dziewczynach.

– Wesołych świąt, Adam – zakończyła Magda, która najwyraźniej nie zamierzała czekać, aż on się zdecyduje, czy wyznać jej miłość. – Odezwę się, jeśli będzie ciężko, okej? I ty też dzwoń, jakby co.

– Zaczekaj, Ma... – Urwał. O mały włos wypowiedziałby jej imię i zepsułby wszystko. – Mam coś dla ciebie.

– Co takiego?

– Mam dla ciebie prezent – powtórzył. – Ale nie wiedziałem, jak ci go przekazać, więc schowałem... Wiesz, gdzie jest dawny przejazd kolejowy?

– Nie mam pojęcia.

– Musisz pójść między Netto a Biedronką, między polami, i dalej w stronę lasu. Prowadzi tam stara droga wyłożona betonowymi płytami.

– A, to wiem. W tym sensie, że widziałam tę drogę.

– I tuż za lasem znajdziesz stare zabudowania kolejowe, taki opuszczony ceglany dom. Dalej droga prowadzi nad stawy. Wszyscy mówią na nie „glinianki”.

– Rozumiem. I co?

– Przy domu jest coś w rodzaju murku, gdzie kiedyś stał kosz na śmieci, a tuż obok znajdziesz skrzynkę pocztową. Jest w niej przesyłka dla ciebie.

– Dobrze, pójdę tam. Dziękuję. Nie wiem, co to jest, ale cieszę się jak dziecko.

– Ja też się cieszę – powiedział szczerze. – Nigdy nikomu nie dałem prezentu.

Magda roześmiała się serdecznie.

– Laurki i plastelinowe serduszka dla mamy się nie liczą? – zapytała.

– Nie liczą – powtórzył jak papuga, bo nie miał pojęcia, co ona może mieć

na myśli.

– Wesołych świąt, Adam.

– Wesołych świąt.

Kiedy się rozłączyła, Witek zamknął oczy i szepnął: – Myślę, że cię kocham. Kocham cię. Kocham.

Chciał wypróbować to słowo. Było ładne, miało ciepły kolor, jak miąższ dojrzałej brzoskwini. Miętko układało się na języku, przechodziło od tylnej ścianki gardła aż do warg, ale nie stukało, raczej toczyło się łagodnie. Chciał je mówić częściej. Chciał je mówić do niej.

## 13

# W

łaściwie całe Boże Narodzenie Witek przeleżał na tapczanie z telefonem przy uchu. Magda zadzwoniła już w Wigilię wieczorem i od tej chwili nie mogli przestać rozmawiać.

– Dziękuję. Są piękne – wyszeptała. – Skąd wiedziałeś, że marzę o takich getrach?

Milczał, bo przecież nie mógł powiedzieć prawdy.

– I skąd wiedziałeś, że uwielbiam te czekoladki?

– Nie wiedziałem – odparł z ulgą. Akurat z czekoladkami to był naprawdę ślepy traf.

– To najlepszy prezent, jaki otrzymałam. A ty? – zapytała. – Co dostałeś pod choinkę?

– Nic. Za dużo jem.

To miał być żart. Mówił prawdę, ale bardzo chciał, żeby ona się roześmiała. Powiedział to lekko, widział, jak słowa turlają się i obijają o siebie niby plastikowe piłeczki. Widocznie jednak Magda nie usłyszała tego żartobliwego tonu, bo zamilkła na długo, a potem odezwała się głosem ciemnym i wilgotnym jak mech: – Oboje mamy wszystko popaprane. Jak myślisz, czy kiedyś uda nam się zrobić tak, żeby wszystko było normalnie? Jak to się właściwie robi? Jak się zaczyna normalnie żyć, jak się zaczyna od nowa?

Nie cytuj Szekspira, powtarzał sobie w głowie Witek, i nie szukaj definicji. Nie o to jej chodzi.

– Pewnie trzeba mieć pieniądze – powiedział wreszcie.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby kogoś okraść?

– Nie.

– Daj spokój, świętoszku. Chyba każdy o tym myślał. Kiedy mieszkałam w Cork, to była tam jedna obrzydliwie bogata babka. Wtedy nie bywałam głodna, ojciec bardzo dużo zarabiał, ale miałam taką koleżankę, Kathryn. Ona praktycznie mieszkała na ulicy. Przynosiłam jej coś do żarcia, no wiesz, jakieś ciastka, czasami kanapkę, ale ona nawet z pełnym brzuchem była głodna. To był stan umysłu. No więc Kathryn zawsze powtarzała, że chętnie by tę bogatą kobietę ukatrupiłaby. Uwielbiała fantazjować, co by wtedy zrobiła. Opowiadała, jak by się najpierw wykąpała w jej wannie, potem opatuliła najmiększym ręcznikiem, później spałaby na golasa w jedwabnej pościeli...

– Skąd wiedziała, że ma jedwabną? – Witek lubił słowo „jedwab”, wydawało cudowny odgłos i było perłowo-złociste. – Podglądałyście ją?

– Nie, skądże – oburzyła się Magda. – Podglądactwa nie znoszę, daj spokój. Zresztą tam nic nie było widać, wysokie ogrodzenie, potem drzewa, ogród i dopiero dalej dom. Wiesz, tak jak w filmach.

– Nie wiem. Raczej nie oglądałam filmów.

– Ja też rzadko oglądałam, ale wiem, jaki świat pokazują. Chodzi mi o stereotypy.

– Nie lubię stereotypów.

– Jesteś inny niż wszyscy chłopcy, jakich znam, Adam. Przyznaj się, wcale nie jesteś chłopakiem.

Zbaraniał zupełnie. Nie wychwycił żartu. Potem, analizując w myślach tę rozmowę, miał ochotę walnąć głową w ścianę. Mama tłumaczyła, że ludzie często żartują. Nie kłamią, ale też nie mówią prawdy. Pani Beata też go uczyła rozpoznawać, kiedy ktoś nie mówi serio. I co? I nic. Nie nauczył się.

– Hej, Adam, żartowałam. Rany koguta, naprawdę jesteś dosłowny.

– Jestem. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Opowiedz mi, co dziś robiłeś. Jak wyglądała wasza Wigilia?

– Zjadłem barszcz, ale najpierw wyłowilem majeranek. Potem zjadłem uszka, bo zawsze jem osobno.

– U mnie była kiedyś zupa rybna.

– Zupę rybną gotuje się z rybich głów.

– Wiem. Też mi się to średnio podobało. Ale okej, taka była tradycja. Teraz już jej nie ma. Tradycja poszła się pieprzyć wraz z całą resztą.

Witek wycofał się w głąb siebie, zupełnie jak ślimak do muszli. Nie lubił wulgaryzmów, bał się ich. Miały paskudne kolory.

– Kończę – powiedziała Magda, która widocznie wyczuła chłód po drugiej stronie. – Baw się dobrze. Miłej reszty świąt.

– Nie bawię się dobrze – rzucił szybko Witek, bo dotarło do niego, że ona zamierza się rozłączyć. – Nie mogę się dobrze bawić bez ciebie.

Cisza. Potem westchnienie.

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie Magda.

Cisza.

– Adam?

– Przecież wiesz.

– Nie wiem. Powiedz.

– Nie umiem. Nie mówiłem nigdy takich rzeczy.

– Powiedz mi.

– Nie potrafię się dobrze bawić... Ja w ogóle nie wiem, co to znaczy dobrze się bawić.

– Być zadowolonym – podpowiedziała.

– No więc nie potrafię być zadowolonym. Bez ciebie.

– Zwariowałeś. Jesteś wariat, wiesz?

– Wiem. Tylko miałem nadzieję, że ty o tym nie wiesz. Że tak szybko tego nie odkryjesz.

– Wariat – powtórzyła. – I ja też jestem wariatką. Pasujemy do siebie.

– Pasujemy.

Potem milczeli przez kilka minut.

– Kończę – odezwała się wreszcie Magda – Do jutra, Adam.

– Nie chcę.

– Czego?

– Nie chcę, żebyś się rozłączyła. Zostań.

– Jestem śpiąca. Położę się już. To był taki paskudny, szary dzień. Wydarzyło się... coś brzydkiego. Nie chcę o tym pamiętać.

– Po prostu zaśnij. Ale nie rozłączaj się. Tylko oddychaj.

W ten właśnie sposób, nie mówiąc ani słowa o miłości, wyznali sobie, że się kochają. Jeśli jedno z nich chciało się rozłączyć, drugie prosiło: zostań. Gdyby trafiło na kogoś starszego i doświadczonego, ten ktoś od razu wiedziałby, że to miłość – ale oni byli zbyt młodzi i mimo całego bagażu, jaki dźwigali na barkach, niewiele wiedzieli o życiu i o sobie samych.

Zasnęli w końcu około północy. Potem w komórce chłopaka rozładowała się bateria, a nazajutrz, kiedy się obudzili, okropnie zateśknili za sobą. Witek podłączył telefon do ładowarki, zjadł coś w pośpiechu, po czym zadzwonił.

– Cześć – powiedział. – Co robisz? Już po świątecznym śniadaniu?

– Nie. Śniadanie należy rozsądnie rozplanować, żeby wystarczyło aż do kolacji.

– Jesteś głodna?

– Daj spokój. Nie. A ty? Co było dobrego? Opowiedz.

– Bigos i kielbasa na gorąco.

– Ciężkie, ale dobre. Lubisz z musztardą czy z keczupem?

– Z chrzanem.

– Okej, rozumiem. Po staropolsku.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie umiał tak rozmawiać. Tęsknił za nią. Chciał jej powiedzieć, żeby zdjęła z okna tę szmatę w indiańskie wzory, a wtedy on będzie mógł pójść na opuszczone poddasze i patrzeć na nią do woli.

– Adam...

– Tak?

– Nie wiem, jak to się stało. Ale stało się. Lubię cię... bardzo.

– Co to znaczy?

– Że kiedy nie dzwonisz albo ja nie dzwonię, jest mi źle.

– Mnie też jest źle.

– Jak myślisz, czy to znaczy, że...

– Że co?

– Że jesteśmy słabi? Że trzeba to przerwać?

– Nie! – Przestraszył się. – Dlaczego? Co w tym złego?

– Sama nie wiem. Wiesz, czasem myślę, że lepiej być samodzielnym, samowystarczalnym. Nie potrzebować nikogo. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem.

– I co myślisz?

– Że tak nie jest.

Cisza. Długa, zbyt długa.

– Że to nieprawda – dorzucił prędko Witek. – Że lepiej kogoś kochać.

– Kiedyś powiedziałaś, że nikogo nie kochałaś.

– Wtedy to była prawda.

– A teraz?

– A teraz nie jest.

## 14

# K

arol Filipiuk obserwował Madelaine przez okno, kiedy szła do furtki. Przeciągnął się, zadowolony i nieco senny. Czuł, że znajduje się coraz bliżej celu. Drobne przeszkody tylko podsycaly jego apetyt.

Dziewczyna była młodziutka i świeża, chociaż intuicja podpowiadała mu, że ktoś już ją posuwał. Po latach wyczuwał takie rzeczy. Zajmował się dziwkami od bardzo dawna. Po raz pierwszy uprawiał seks jako dwunastolatek; nie dlatego, że miał na to ochotę, lecz dla pieniędzy. Podstarzali pederasty, pedofile o wiecznie spoconych dłoniach – jeśli dobrze płacili, udostępniał im swoje ciało tak, jakby wypożyczał je na chwilę. Bez emocji i na ogół prawie bez bólu.

Od tamtej pory zmieniło się wiele rzeczy. Po pierwsze Karol był o osiemnaście lat starszy (choć niechętnie przyznawał się do swojego prawdziwego wieku). Po drugie teraz on płacił za seks i to sprawiało mu przyjemność.

Ta panienska pojawiła się w miasteczku niedawno i od razu wzbudziła sensację.

– Mówię ci, kurwa, jaki to lachiszon – podniecał się Ziober, który zaopatrywał młodzież licealną w miękkie narkotyki. – Gdybym mógł, to brałbym.

– A nie możesz? – zdziwił się Karol. – Każdy może, kto ma kutasa, no nie?



– No nie – odparł tamten. – Bo laska jest niedostępna. Na imprezy nie chodzi, na dyskotekach nie bywa, amfy ode mnie nie kupuje. Chyba żeby zaciągnąć do parku i zgwałcić, ale to mnie nie kręci.

Karol pokiwał głową. Jego też nie kręciło. Jedyne, co jeszcze było go w stanie podniecić, to sytuacja, kiedy laska sama się rozkładała. A i to nie zawsze. Bywało, że mu nie stawał. W zasadzie najlepiej mu szło, gdy dziewczyna była leciutko wystraszona, ale nagrzana jak piec. Jednym słowem – kręciła go niemodna już w tych kurewskich czasach niewinność i dziewiczość.

Ta nowa nie wyglądała na niewinną dziewicę. Ale jednocześnie było w niej coś, co sprawiało, że chciało się o nią zaważać. Była wyniosła, a przy tym uprzedzająco miła. Chłód i nienaganne maniery sprawiały, że pragnęło się ją poniżyć. Karol marzył, by zobaczyć ją wyjąca z rozkoszy, błagającą, żeby brał ją jeszcze mocniej i szybciej.

Pomysł z nauką angielskiego przyszedł mu do głowy, kiedy jeden z chłopaków pokazał mu Madelaine na ulicy.

– Patrz, to ta blond dziunia z zagranicy – powiedział. – Podobno naucza angielskiego. Ja ją mogę w zamian nauczyć po francusku.

Zarechotał obleśnie, a Karol uśmiechnął się z aprobatą, bo lubił takie dowcipy. Wtedy jeszcze nie drażniło go, że inni faceci patrzą na tę dziewczynę i chcą ją przelecieć. Zazdrość przysła dopiero po pierwszej lekcji, kiedy wpadł po uszy.

Kazał Zioberowi zerwać z ogłoszenia karteczkę z numerem. Pomyślał, że co mu szkodzi nauczyć się trochę angielskiego. Różnie bywało, raz już musiał uciekać i zmieniać tożsamość, kto wie, może kiedyś trzeba będzie prysnąć za granicę. Nigdy nic nie wiadomo. Języki obce warto znać. Do tej pory liznął trochę rosyjskiego, a niemieckiego tylko tyle, co przy zbieraniu gratów z wystawek i na kradzieżach samochodów.

Nie był głupi. W każdym razie nigdy się za takiego nie uważał, a jeśli nie skończył jednej czy drugiej szkoły, to dlatego, że mu się nie chciało. I trochę też

– bo nie było na to czasu. Zresztą jak się człowiek urodzi w takiej rodzinie jak Karol, to myśli głównie o tym, żeby przetrwać. Od tego, że się przyniosło czwórkę czy piątkę, nie robi się cieplej ani brzucha się tym nie napełni.

Filipiuk zawsze myślał, że na takie korepetycje chodzi się do nauczyciela. Ale nie. Zadzwoił, zapytał o cenę, a ona tym swoim chłodnym, uprzejmym głosem odpowiedziała, że bierze pięćdziesiąt złotych za godzinę zegarową, i zapytała o adres. Nawet się cieszył, bo dawało mu to już na wejściu przewagę. Każdy wie, że na swoim boisku łatwiej wygrać mecz.

Była smarkata, dopiero co skończyła osiemnaście lat. Miał już wiele takich młodych dziewczyn: pulchnych i chudych, bladych, piegowatych i rumianych, cyncatych i płaskich. Niektóre były bardziej wyuzdane niż profesjonalistki, które spotykał w Niemczech albo przy autostradach. Inne przeżywały z nim swój pierwszy raz. Seks zdążył go już znudzić i, szczerze mówiąc, chodziło tylko o odhaczenie nowości. Nie sądził, że wpadnie po uszy.

Stało się tak pewnie dlatego, że zaczęli grać w tę grę: on jako uczeń, ona jako pani od angielskiego. Kto by nie chciał mieć takiej seksownej nauczycielki? Zawsze zapięta pod samą szyję, jakby wiedziała, że to nakręca wyobraźnię znacznie bardziej niż dekolt do pępka. I te jej spódniczki. Plisowane, w kratkę, paski, kropki, do pół uda, a poniżej grube getry albo nieprzejrzyste wełniane rajstopy. Człowiek wciąż o tym myślał, wzrokiem wędrował coraz wyżej, gdzie szczupłość ud tworzyła szczelinę i pozostawała pole dla wyobraźni. Co by zrobiła, gdybym położył jej rękę na kolanie i przesunął w górę? Co by zrobiła, gdybym ją zerznął na stole, wśród tych wszystkich notatek i tabel z czasownikami?

Mówił do niej „pani”. To stworzyło seksowny dystans między nimi. Ustawił poprzeczkę wysoko i z tego pułapu zaczął zdobywać dziewczynę, oswajając ją niczym półdzikie zwierzątko. Każda taka próba rozpalala go do czerwoności. Kiedy Madelaine przyszła pierwszy raz, przytrzymał jej dłoń przy powitaniu. Potem robił to za każdym razem, naciskając coraz mocniej. Po każdej lekcji

odprowadzał ją do przedpokoju i, pomagając założyć kurtkę, dotykał ręką pleców, wyciągał włosy zza kołnierza, raz i drugi niby przypadkiem musnął jej pierś albo pośladek. Uciekała przed tym, starała się ich unikać i dobrze wiedział, że zachodzi w głowę, czy to przypadki, czy celowe gesty. Obawiał się, że może przestać do niego przychodzić – dlatego oznajmił jej, że nigdy w życiu nie miał tak doskonałej nauczycielki i że chce jej płacić podwójnie. Wiedział – bo wyszedł to dla niego Ziober – że dziewczyna mieszka sama i cienko przędzie. Niech ma na żarcie, powiedział sobie, bo te nóżki są już naprawdę jak patyki. Nie żeby mu się nie podobały, wręcz przeciwnie, w przeciwieństwie do większości facetów nie lubił krągłych kształtów. Kręciły go kanciaste, chude biodra i leciutko wystające żebra.



W grudniu Madelaine chciała zrobić Karolowi ferie zimowe.

– Tylko nie to – zaproponował. – Proszę, niech mi pani tego nie robi. Święta są wystarczająco smutne i bez tego.

– Dlaczego smutne? – zapytała.

Odniosł wrażenie, że po raz pierwszy spojrzała na niego nieco cieplej. A już na pewno z zainteresowaniem.

– Jestem sam – wyjaśnił. – Dla takich jak ja Boże Narodzenie to najgorszy czas w roku.

Wzruszyła chudymi ramionami. Było w tym geście jakieś lekceważenie, którego nie mógł znieść. Miał ochotę złapać ją i odwrócić, podnieść spódniczkę (tego dnia miała czarną, z dziwnej wielowarstwowej koronki), ściągnąć jej majtki i najpierw wymierzyć parę klapsów, a potem wziąć ją od tyłu.

– Pani ma dużą rodzinę? – zapytał, bo od początku grał rolę faceta zajętego interesami, który nic nie wie nawet o najbliższych sąsiadach.

– W sam raz – odpowiedziała chłodno.

Znów doprowadziła go do złości. Odnosił wrażenie, że robi to specjalnie –

chce go ukarać za to, że za dużo sobie pozwala i zbyt się spoufała. Cwana suczka.

– Proszę, tu są ćwiczenia utrwalające do wykonania – wyjęła z rudej zamszowej torby plik zapisanych kartek. – Na tej stronie ze słownictwa, a tutaj z gramatyki. Trzeba rozpoznać, który z czasów teraźniejszych pasuje...

– Dlaczego pani zawsze pisze odręcznie? – przerwał łagodnie, wyjmując jej kartki z ręki i zaglądając w oczy. – Nie wygodniej byłoby wydrukować?

– Nie mam drukarki.

– Więc może pani przesyłać mi zadania do wykonania mailem.

Odwróciła wzrok i zaczęła skubać jakąś nitkę wystającą z mankietu żółtego sweterka.

– Niedawno się przeprowadziłam, nie przywiozłam sobie jeszcze komputera. Na razie wzięłam tylko najważniejsze rzeczy.

– Rozumiem. – Westchnął i odłożył arkusze papieru na biurko. – Dobrze, pani Madelaine, zrobię to zadanie domowe. Czy przyjdzie pani między świętami a sylwestrem?

– Mogę przyjść. Nigdzie się nie wybieram.

– A na sylwestra? Gdzie się pani bawi?

Patrzył na nią natarczywie. On sam miał w planach ostrą imprezkę w domu uciech, gdzie takie lachony jak ona będą go obsługiwać całą noc. Oczyma wyobraźni widział ją wśród dziwek i napalonych klientów. Spuściłaby trochę z tonu.

– Sylwestra spędzę z kimś bliskim – powiedziała wymijająco, a on nie mógł się pozbyć wrażenia, że skłamała.

Kiedy wychodziła, objął ją i złożył życzenia wesołych świąt, zaciskając dłonie na jej ramionach odrobinę zbyt mocno. Uciekła w popłochu. Karol poszedł na piętro i śledził ją wzrokiem przez okno. Zobaczył, jak od czarnej bryły wiaty, gdzie dawniej był przystanek autobusowy, odrywa się ciemny kształt. W pierwszej chwili zaniepokoił się, bo wyglądało na to, że ktoś śledzi

dziewczyne; potem jednak przypomniał sobie, że to tylko ten wysoki, przymulony półgłówek, Malczyk. Mówiono na niego Przypał. Kręcił się to tu, to tam, spoglądając spode łba. Miał ponurą fizjonomię: ciemne oczy i łeb kudłaty jak diabeł. Karol myślał nawet, czy może go nie zwerbować, bo przydałby mu się ktoś tak wielki, jednak chłopcy szybko przekonali go, że z wariatami lepiej nie zadzierać. Jak jest dobrze, to jest dobrze, ale niech takiemu psycholowi coś strzeli do łba, nigdy nie wiadomo, co i komu zrobi. Podobno Malczyk zachowywał się jak debil, ale jak mu się podało datę urodzenia, to potrafił w myślach obliczyć, ile kto żyje na tym świecie – na życzenie w godzinach, minutach albo nawet sekundach. Karol nie do końca w to wierzył, ale co fakt to fakt – Przypał nie wyglądał na normalnego.



W Wigilię Karol pił od rana. Trochę dlatego, że atmosfera świąt rzeczywiście go przygnębiała, a trochę z tego powodu, że wpadł do niego z życzeniami Kostek Mątwą, lokalny hurtownik, u którego Karol zaopatrywał się w rozmaity, nie zawsze legalny towar. Kostek przyniósł w prezencie porządną whisky, więc żał byłoby nie skosztować.

Po pijaku Filipiuk wpadł na pewien pomysł: podaruje Madelaine laptopa. Miał chyba ze cztery nowsze modele, wszystkie ze sklepu, nic kradzionego. To nie te czasy, żeby kraść takie gadzety. Pod wpływem alkoholu pomysł zaczął ewoluować, by mniej więcej w trzech czwartych butelki przybrać dość frywolną postać: Karol wyczyścił dysk, zostawiając tylko podstawowe programy i ostry pornos na pulpicie. To był film, który sam nakręcił, z jedną ze swoich ulubionych dupeczek w roli głównej. Robił jej wtedy dobrze najpierw sam, a potem kolejno wibratorem, ogórkiem i porządną wiejską kiełbasą. Ta scena należała do jego ulubionych. Długo masturbował się przy niej wieczorami.

Zadzwoił po Grovera, jednego ze swoich chłopców na posyłki, po czym kazał mu zdobyć czerwony papier do pakowania, złotą kokardę (to było jego

wyobrażenie o eleganckim opakowaniu prezentu), a także najdroższego szampana, jakiego mają w okolicy. Okazało się oczywiście, że szampana nie ma nigdzie, w żadnym ze sklepów, nawet w Gorzowie było tylko wino musujące. Albo może Grover nie umiał szukać. W każdym razie po trzech godzinach chłopak stanął w progu, mokry od śniegu, z oczami jak u zbitego psa, bo „kurwa, nigdzie nie ma szampana, szefie, ale jest za to i papier, i kokarda”.

Karol przez ten czas zdążył opróżnić butelkę i był już porządnie zalany. Kazał biednemu Groverowi zapakować laptopa i zanieść do Ziobera, który wiedział wszystko, więc na pewno znał także adres dziewczyny. A jeśli nie zna, to niech się, kurwa, dowie, bo za to mu, kurwa, płacę. Ziober, który zresztą też nie był już całkiem trzeźwy, stanął na wysokości zadania i dostarczył kiczowato opakowany prezent zdumionej Madelaine.

– Co poedziała? – spytał niewyraźnie Karol, kiedy zameldowano mu, że polecenie zostało wykonane.

– Nic. Patrzyła tylko.

– Nie tykałeś jej?

Tak się jakoś porobiło, że nie mógł znieść nawet myśli, że inni faceci patrzą na Madelaine – a na myśl o tym, że ktoś mógłby się do niej dobierać, z miejsca trafiał go szlag.

– Nie, w życiu, szefie!

– Poedziałeś, od kogo? – wybełkotał jeszcze Filipiuk, ale nie usłyszał już odpowiedzi, bo komórka wyslizgnęła mu się z ręki, a kiedy usiłował ją podnieść, przewrócił się i huknął głową w ławę ze szklanym blatem.

# Z

godnie z umową Madelaine przyszła do Filipiuka między świętami a sylwestrem. W rudej torbie przyniosła nowe kartki z zapisanymi odręcznie zadaniami, natomiast pod pachą miała owiniętego w reklamówkę laptopa.

Karol patrzył na nią niewiele rozumiejącym wzrokiem. Oczywiście spodziewał się, że dziewczyna będzie się krygować, że powie: „Nie powinnam, ojej, to taki drogi prezent”, może też obrazi się za to porno na pulpicie, ale żeby przynieść z powrotem i niedbałym gestem położyć na stole, zupełnie jakby odkładała przeczytaną już gazetę?!

– Pomyślałam, że może pan będzie wiedział, co mam zrobić z tym badziewiem – powiedziała. – Pan tu zna różnych ludzi, a ja jestem obca, nie mam pojęcia, kto jest kim. Proszę sobie wyobrazić, że w Wigilię jakiś chłopek-roztropek przyniósł mi tandetnie opakowany laptop klasy... no nie wiem jakiej, ale zdecydowanie bardzo niskiej, a w dodatku z obleśnym amatorskim porno zapisanym na pulpicie. Musiał się pomylić, może miał na myśli jakąś swoją ukochaną... W każdym razie zanim zdążyłam zareagować, już go nie było, a nie wiem, jak go teraz znaleźć, żeby mu uświadomić pomyłkę. Może pan go zna? Taki czarniawy, lekko zezuje jednym okiem. Ma chyba tatuaż na grzbiecie dłoni, o ile to nie był brud, bo generalnie facet wyglądał na takiego, który nieczęsto zażywa kąpieli.

Filipiuk nie miał pojęcia, jak zareagować. Mruknął coś, że osobiście nie zna żadnych brudasów, i odłożył laptopa na komodę, zły jak osa. Madelaine doskonale wiedziała, że to był prezent od niego; był tego absolutnie pewien. Rozegrała jednak sprawę w taki sposób, że nie mógł się przyznać – musiał udawać, że nie ma pojęcia, kto jej sprawił taki upominek.

Przez całą lekcję był wściekły i nie mógł się skupić. Madelaine była tego dnia ubrana w czerwony sweterek z golfem i obcisłe, zielone spodnie. Świąteczna kolorystyka, kurwa mać. Karol miał ochotę wziąć nóż i rozpruć ten pieprzony golf, a potem pobawić się trochę jej strachem.

– Czy pan mnie słucha? – zapytała dziewczyna. – Szukamy w tekście synonimów. Wyraz, który znaczy to samo, co *really small*...

– Wiesz co? – warknął Karol, który poczuł, że za chwilę eksploduje. – W dupie mam twoje synonimy. Chodź tu!

Wstał, szarpnął ją za ramię i zmusił, by wstała, a potem brutalnie pchnął ją na kanapę.

– Jesteś za ładna, żeby zarabiać pierdolonymi korepetycjami. Za jeden numerek zapłacę ci tyle, co za trzy godziny. Co ty na to?

Przygniótł ją własnym ciałem. Madelaine szarpnęła się, ale było za późno, przycisnął ją w taki sposób, że uniemożliwił ucieczkę. Najwyraźniej miał w tym wprawę. Jedną rękę zacisnął na jej nadgarstkach, przytrzymując je nad głową. Była bezradna.

– Możemy zrobić tak, jak na filmiku – wysapał jej w twarz. – Najpierw ja się trochę tobą pobawię, a potem weźmiemy jakieś gadzety i zrobimy ci dobrze. Obejrzałaś? Przyznaj, że tak. Onanizowałaś się przy tym, powiedz prawdę, nie musisz się wstydzić.

– *Fuck you!* – krzyknęła dziewczyna i napluła mu w twarz.

– O, pani nauczycielka uczy mnie dzisiaj niegrzecznych słówek – zamruczał Karol, który dopiero teraz poczuł prawdziwe podniecenie. Wytarł policzek w jej sweter i lekko ugryzł ją w pierś. – Patrz, a ja zawsze myślałem, że gwałt mnie



nie kręci, że wolę po dobroci. Okazuje się, że tak też jest fajnie. No dalej, drocz się jeszcze. Chcesz zarobić, to się postaraj.

Uniósł się lekko i jedną ręką sięgnął do jej rozporka.

– Kurwa, na dodatek pasek założyłaś – sapnął. – Zawsze przychodziłaś w spódnicy, nie mogłaś jeszcze ten jeden raz?

Nie mogąc sobie poradzić z rozpięciem spodni, puścił na moment jej dłonie, a wtedy ona natychmiast wbiła paznokcie w jego oczy. Wrzasnął i złapał się za twarz. Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie – Madelaine zwinnym ruchem podkuliła nogi i wbiła gruby obcas martensa w jego jądra. Karol zwinął się z bólu, a wtedy ona wyślizgnęła się niczym piskorz i wybiegła, chwytając po drodze torbę z oparcia krzesła i kurtkę wiszącą w korytarzu. Trzasnęła drzwiami. Karol usłyszał jej kroki na podjeździe, a potem ujadanie psa.

– Mam nadzieję, że ci odgryzie kawał dupy – jęknął, trzymając się za obolałe krocze.

Z trudem podniósł się z kanapy i poszedł do łazienki. Na lewej powiece miał kilkucentymetrową ranę; ta zdzira musiała mieć ostre pazury. Zawsze lubił dziewczyny z zadbanymi, długimi paznokciami – nie sądził jednak, że mogą być tak dobrą bronią. Omal nie stracił oka.

– To nic – powiedział do lustra. – I tak ją będę miał. Jeszcze nie wiem jak i kiedy, ale jej wsadzę. Sama do mnie przyjdzie i będzie błagała o więcej.

## 16

# W

itek patrzył z niepokojem na Magdę, która wybiegła z domu Filipiuka z kurtką w jednej ręce i niezapiętą torbą w drugiej. Trzasnęła drzwiami. Nie to jednak było najbardziej niepokojące, lecz fakt, że Filipiuk nie wyszedł za nią, aby przytrzymać psa. Na szczęście dziewczyna była bardzo szybka, błyskawicznie uciekła za furtkę przed rozjuszonym czworonogiem, który jeszcze długo czekał, biegając jak opętany wzdłuż ogrodzenia.

Witek ruszył za Magdą, oglądając się niespokojnie. Nie lubił zachwiania równowagi, a ta sytuacja była właśnie takim zachwianiem – naruszeniem pewnego porządku, do którego zdążył przywyknąć.

Dziewczyna szła szybkim krokiem, niemal biegła, po drodze zakładając kurtkę i zarzucając torbę na ramię. Coś niewielkiego spadło w śnieg – albo oderwało się od paska, albo wypadło dziewczynie z jakiejś bocznej kieszonki. Witek machinalnie pochylił się i podniósł: była to zawieszka od breloczka, maleńka brązowa małpka ze sztucznego futerka. Chłopak włożył zgubę do kieszeni i poszedł dalej za Magdą, kryjąc się w miejscach, gdzie nie sięgało światło latarni ulicznych. Było bardzo zimno – zapowiadano, że tej nocy temperatura spadnie do minus dwudziestu stopni. Mróz miał trzymać jeszcze przez dwa dni, a potem prognozowano wielką odwilż. Witek zakładał dwie pary rękawiczek, pod kurtką miał dwa swetry, a pod spodniami ciepłochronne

kalesony, ale i tak marzył okropnie. Martwił się, że Magda idzie rozpięta.

Przechodząc koło banku, zauważył dziewczyny z klasy – Olę, Gosię i Martynę. Że też chce im się tu sterczeć w takie zimno, pomyślał Witek. Schowały się za kioskiem, pewnie paliły papierosy.

Kiedy tylko Magda doszła do swojego bloku, chłopak natychmiast zawrócił i pobiegł do domu, żeby się ogrzać. Babcia drzemała. Nalał sobie zupy, która została z obiadu – nawet nie czekał, aż się porządnie zagrzeje; z każdą zjadaną łyżką czuł, jak wszystko w nim taje. Czekał, kiedy Magda zadzwoni. Zawsze telefonowała zaraz po przyjściu od Filipiuka. Tym razem tego nie zrobiła.

Wyjął z kieszeni kurtki maleńką małąkę ze sztucznego futerka. Miała kolor ciemnej czekolady i była niesamowicie miękka. Na głowie rozpruł się szew i koło ucha wystawało ze środka trochę szarawej gąbki. Chłopak położył się na swoim tapczanie, maskotkę posadził na poduszce i wpatrywał się w nią, czekając na telefon.

Przed północą, kiedy nie potrafił już sobie poradzić z sercem, które łomotało mu w piersi tak, jakby chciało przebić się na wolność i zwyczajnie uciec, zdecydował, że to on zadzwoni. Przez kilka koszmarne długich sekund nie odbierała, a kiedy wreszcie to zrobiła, usłyszał w jej głosie coś nienaturalnego, jakby była pijana albo jakby dzwonek telefonu wyrwał ją z głębokiego snu.

– Skąd wiedziałeś, Adam?

– O czym?

– Że cię potrzebuję?

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jak jej wyjaśnić, że to na odwrót: on potrzebował jej, bez jej głosu nie mógł zasnąć, nie był kompletny, zupełnie jakby zgubił jakiś ważny kawałek siebie i dopiero teraz go odnalazł.

– Dziś był taki paskudny dzień – powiedziała nieco bełkotliwie. – Taki wstrętny, zimny. Zimne dni mają w sobie potencjalne zło, zauważyłeś? Chociaż nie powiem, żeby upalne go nie miały. Też mają. W upalne dni człowiek jest nawet bardziej drapieżny, prawda?

Milczał. Chciał tylko, żeby mówiła nadal, o czymkolwiek. Jej słowa miały kolor mlecznego bursztynu albo miodu z rzepaku.

– Tyle że w upale wszystko jest jakby pokryte wilgocią, wiesz, jak szklanka, do której nasypiesz dużo lodu. A dni mroźne jak dziś... Nie wiem. Jest tak sucho i bezlitośnie. Nie umiem tego precyzyjnie nazwać. Adam, jesteś tam?

– Jestem.

– Chyba próbuję ci powiedzieć, że dziś stało się coś złego.

– Co takiego?

– Nie, nie chcę opowiadać. Tylko... chciałam się poskarżyć, że mi źle. Jedynie to. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

– Czekałem, że zadzwonisz. Zawsze we wtorki dzwoniłaś.

– Ale dziś byłam bardzo zajęta.

– Korepetycjami?

– To też. Ale jeszcze później musiałam wyjść.

– O której? – zaniepokoił się. – Chodziłaś gdzieś po nocy?

– Noc to jest dopiero teraz. Wtedy był wieczór. Zresztą nieważne, wróciłam cała, zdrowa i szczęśliwa... W każdym razie cała i zdrowa. Na ciele.

– Ktoś cię skrzywdził?

Zaśmiała się jakoś dziwnie. Chyba naprawdę była pijana.

– Nie – odparła. – Nikt mnie nie skrzywdził i nigdy więcej tego nie zrobi.

– Nigdy więcej? To znaczy, że jednak...? Kiedyś ktoś...?

– Posłuchaj – ucięła. – Jeśli mamy rozmawiać o przeszłości, to ja się rozłączam. Po co gadać o czymś, czego już nie ma i nigdy nie będzie? Jaki to ma sens? Warte uwagi są tylko te rzeczy, które istnieją tu i teraz. Nawet nie te, które będą, bo są jeszcze płynne, może się wcale nie wydarzą. Przyszłość to niewiadoma, a przeszłość już nie żyje. Zdechła. Rozumiesz?

Tak, rozumiał. To, co mówiła, było prawdziwe. Nic jednak nie mógł poradzić na to, że jej słowa – a może jeszcze bardziej ton, którym je

wypowiadała – budziły w nim niepokój.

– Wszystko dobrze? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek.

– Nic nie jest dobrze i nigdy nie było – odpowiedziała. – Ale poradzę sobie, Adam. A u ciebie? Wszystko dobrze? Jak zamierzasz spędzić sylwestra? To już za trzy dni.

– Zamierzam patrzeć na niebo, kiedy będą fajerwerki. I jeszcze...

Chciał powiedzieć: mam zamiar sterczeć pod twoim blokiem i patrzeć w twoje zasłonięte okna, ale na szczęście mu przerwała.

– Ja kupię sobie zatyczki do uszu i będę spać. Ale nie martw się, uszy zatkam dopiero wtedy, gdy zadzwonisz i złożysz mi życzenia. Albo ja zadzwonię pierwsza. Tak czy inaczej, jedynym wesołym punktem programu nocy sylwestrowej będzie rozmowa z tobą. Lubię cię, Adam. Mówiłam to już?

– Tak. Mówiłaś.

– A ty? Lubisz mnie trochę?

– Nie. Nie trochę.

Roześmiała się tym swoim pijanym śmiechem.

– Dobranoc, Adam.

– Dobranoc.

# B

Beata poprawiła włosy, owinęła ciasniej szyję szalikiem i sprawdziła, czy ma klucze w torebce.

– Wychodzę – zawołała do męża.

Podinspektor Paweł Kremczuk wychylił się z łazienki. Był w samych bokserkach. Na policzkach miał resztki pianki do golenia.

– Jak tam? – zapytał – Główka nie boli?

Poprzedniego wieczoru mieli gości – tradycyjnie sylwestrową noc spędzali u Gosi i Artura Kosików, a noworoczną odwrotnie: Kosikowie przychodzili do nich. Jak zwykle polało się przy tym sporo alkoholu. Przewidując, że może być kiepsko, Paweł wziął dwa dni urlopu – jego żona żałowała teraz, że nie wpadła na ten sam pomysł.

– Już nie boli – odparła. – Może tylko trochę ćmi. Połknęłam dwa ibuprofeny.

– Lekomanka.

– Ja też cię kocham. Pa.

Beata wyszła i szczelniej opatulila szyję szalikiem, bo wprawdzie mróz puścił, ale w powietrzu wisiła wilgoć.

– Wszystkiego dobrego w nowym roku – pozdrowiła panią Irenkę z kiosku, odbierając zamówione „Charaktery”. – Jak tam, nie zmarzła pani w tej

tekturowej budce?

– Nie, mam tu grzejnik – uśmiechnęła się sprzedawczyni. – Ale mrozy były rzeczywiście okropne. Nie wiem, czy pani już słyszała, że jakiś człowiek zmarzył.

– Co też pani mówi? – zdziwiła się Beata i pomyślała, że biedny Paweł zapewne nie nacieszy się wolnym dniem. Urlop urlopem, kac kacem, ale w takiej pipidówce nagła śmierć jest zbyt wielką sensacją, by policjant nie został wezwany choćby spod ziemi.

– Pewnie jakiś pijaczek. – Westchnęła, ale pani Irenka już jej nie słuchała, bo właśnie rozdzwoniła się jej komórka.

Beata schowała czasopismo do torebki, założyła rękawiczki i skierowała się do poradni. Tego dnia miała umówione badanie dziecka z zaburzeniami mowy, a potem czekała ją wizyta w liceum. Kolejne spotkanie z cyklu profilaktycznego „Jak uniknąć uzależnień?”. Co za ironia losu, pomyślała, skacowana pani psycholog będzie wciskała młodzieży kit pod tytułem: „Nie pij, bo przepijesz swoją szansę”. Koń by się uśmieł.

Dziecko z zaburzeniami mowy ostatecznie nie przyszło. Może mamusia też nie najlepiej się dziś czuje. Jak pół Polski. Ba, może nawet pół świata.

Beata wykorzystała wolną godzinę na powolne sączenie herbaty z cytryną. Kac, który powodował leciutkie rozdygotanie organów, zaczął nieco słabnąć. Życie znowu stało się przyjemne. Nigdy więcej alkoholu, obiecała sobie. A w każdym razie nigdy więcej w tym tygodniu.

– Idę do licealistów – zakomunikowała koleżance, która dwoma palcami stuknęła w klawiaturę komputera, pisząc opinię po badaniu kolejnego dyslektyka.  
– Na pewno bardzo chcę usłyszeć o trzeźwości w ten uroczy poranek.

Przed budynkiem liceum znajdował się spory dziedziniec, na którym młodzież spędzała przerwy. Ktoś do kogoś podchodził, ktoś od kogoś pożyczał pieniądze albo wyciągał na papierosa za pobliską budkę z kebabem. Wiosną i jesienią zawsze było tam tłoczno, jednak w tak paskudny dzień Beata nie

spodziewała się tłumów. Tymczasem przywitał ją gwar i wyraźne ożywienie – choć dźwięczało w nim coś niedobrego. Gdyby lepiej się czuła i zechciała wsłuchać się uważniej, wyłapałaby, że tym czymś był strach.

Ponieważ jednak nadal odrobinę trzęsły jej się ręce, a w głowie leciutko huczało, przeszła między grupkami zaaferowanych młodych ludzi, z ust których unosiły się obłoczki pary, kiedy szeptali coś do siebie. Kątem oka Beata spostrzegła Wita Malczyka, jak przemykał pod ceglany murem łącznika prowadzącego do sali gimnastycznej. Wyglądał na zdenerwowanego. Nie spojrział na nią, choć zwykle rzucał jej na przywitanie jedno ze swoich ukradkowych spojrzeń spod ciemnych kędziorów. Dopiero teraz Beata poczuła niepokój i zrozumiała, że otacza ją ogromne napięcie i atmosfera lęku. Weszła do budynku i skierowała się do pokoju nauczycielskiego. Tam też natknęła się na grupki szepczące w jakimś niezdrowym ożywieniu.

– Podobno coś zrobiono ze zwłokami – szepnęła germanistka, której nazwiska Beata nigdy nie mogła zapamiętać. – Coś mu włożyli czy jakoś tak.

– Ale gdzie włożyli? – chciał wiedzieć anglista.

– Dzień dobry – przerwała im Beata. – Przyszłam na pogadankę profilaktyczną, dziś miały być drugie klasy. Coś się stało? Wszyscy tacy ożywieni – i państwo tutaj, i młodzież na zewnątrz.

– To pani nie wie? – odpowiedziała pytaniem ta od niemieckiego. – Przecież mąż policjant, na pewno już nad tym pracują.

– Chodzi o to zamknięcie?

Wszyscy ponuro pokiwali głowami, ale patrzyli na nią co najmniej dziwnie, z czego Beata wywnioskowała, że zamknięcie to nie jedyny problem.

– Ale kto? – zapytała jeszcze. – Bo wiem tylko, że jest trup, ale...

– „Kto” to raz – odparł niejasno historyk. – A dwa to „jak”. Bo zwyczajne zamknięcie to podobno nie było. Zresztą niedługo będzie pani wiedziała więcej niż my.

Przenikliwy dźwięk dzwonka przerwał im tę dziwną rozmowę. Beacieomal



nie rozsądziło czaszki. Na nowo odczuła z całą mocą, że poprzedniego dnia przesadziła z drinkami. Nigdy więcej alkoholu na całe dwa tygodnie, obiecała sobie w duchu, po czym z westchnieniem poszła do auli, gdzie miało odbywać się spotkanie.

Nieliczni nauczyciele usiłowali usadzić młodzież na krzesłach. Było tylko kilkanaście osób, a powinny przyjść trzy drugie klasy. Panował ogólny rozgardiasz.

– Poczekamy – powiedziała Beata słabym głosem.

Siedząca w pierwszym rzędzie wysoka blondynka z końskim ogonem, którą Beata luźno kojarzyła z poprzednich wizyt w szkole – zdaje się, że była przewodniczącą samorządu czy kimś takim – uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Zaraz się zejda – powiedziała. – Wybuchła wielka afera, słyszała pani?

– Jaka afera?

– No z tym morderstwem.

– To jednak morderstwo?! A ja słyszałam, że ktoś zamarzył.

Gwar się nasilił i do auli powoli zaczął wpływać strumyczek licealistów. Beata poszukała wzrokiem Witka, ale nigdzie go nie było. Jedna z nauczycielek wyszła na środek i zaklaskała kilka razy. Głosy ucichły.

– Proszę o spokój – powiedziała. – Zgodnie z zapowiedzią, odbędzie się teraz spotkanie w ramach programu profilaktycznego. Są wszyscy?

– Przypał zwiął – rzucił ktoś z tylnego rzędu.

Nikt nie zareagował. Beata wiedziała, że „Przypał” to Witek i że wszyscy przywykli do jego wagarów. Zresztą rozmawiali o tym wielokrotnie. Witek przyznał, że ucieka z nudnych lekcji. Beata niespecjalnie nawet robiła mu o to wyrzuty, odkąd wytłumaczył jej, że nie może wytrzymać, gdy fizyk pisze straszne bzdury, rozwiązując zadania przy tablicy.

– I nowej nie ma – odezwał się ktoś inny.

Tym razem odwróciło się sporo osób. Wszyscy, Beata również, poszukali wzrokiem płowej głowy Madelaine Robson. Rzeczywiście, nigdzie jej nie było.

– Podobno chodziła do niego na korepetycje – odezwała się jedna z dziewczyn siedzących w pierwszym rzędzie.

– Ale co to ma do rzeczy? – zdziwiła się wysoka blondynka.

Martyna, przypomniała sobie Beata. Ta duża ma na imię Martyna. Rozsądne dziewczę i bardzo sympatyczne.

– O kim wy właściwie mówicie? – zapytała wreszcie. – Mieliśmy wprawdzie rozmawiać o profilaktyce uzależnień, ale przecież widzę, że mamy tu sytuację kryzysową.

Opowiedzieli jedno przez drugie, przekrzykując się i cichnąc na przemian. Podobno ten gość od salonów gier i knajpki z kebabem został zamordowany. Karol Filipiuk.

– Zamarzył – odezwała się jedna z nauczycielek. – Tylko to wiadomo na pewno.

– Nieprawda! – krzyknął jeden z chłopaków. – Miał ściągnięte spodnie i dziurę w szyi.

– Spokojnie – zawołała Beata, czując, że sytuacja wymyka się spod kontroli. – Jak pewnie wiecie, jestem żoną policjanta. Gdyby stała się któraś z tych rzeczy, już bym o tym wiedziała.

Chyba że sprawa jest na tyle poważna, że zajęli się nią kryminalni z Gorzowa, dodała w myślach. Albo ewentualnie – że mój mąż był po wczorajszym wieczorze zbyt pijany, aby przełożeni chcieli go angażować w coś tak paskudnego.

Poczuła niepokój. Jednak jeszcze łudziła się, że plotka, ta zmora małych miasteczek, dorobiła tej sprawie diable rogi. Przestała się łudzić dopiero wtedy, gdy do auli wszedł wysoki mężczyzna ubrany na szaro. Miał głowę łąsą jak kolano i dziwnie nieruchome jedno oko. Właśnie po tym szklanym oku go rozpoznała. Słyszała o nim wiele barwnych opowieści. To był jeden z najbardziej osławionych policjantów kryminalnych z lubuskiego, niejaki Marian Wańkosz.

– Przepraszam, że przerywam miłusie spotkanie – zachrypiał. – Policja kryminalna. Szukamy panienki o swojskim nazwisku Robson.

## W

itek nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zaczęło się od tego, że w sylwestra telefon Magdy nagle zamilkł. Zgodnie z obietnicą zadzwoniła przed północą, żeby złożyć chłopakowi życzenia, jednak ta rozmowa była zupełnie inna niż wielogodzinne pogawędki, do których Witek zdążył się przyzwyczaić. Magda powiedziała tylko, że życzy mu dobrego roku, podziękowała za jego „nawzajem” i oznajmiła, że teraz zamierza się wyspać za wszystkie czasy. Jej głos był suchy, nie było w nim łez. Witek nie wyczuwał temperatury ani koloru słów, zupełnie jakby rozmawiał z robotem.

Zatelefonował do niej, gdy tylko na niebie pojawiły się fajerwerki. Witek nie lubił sztucznych ogni, ale wiedział, że większość ludzi je uwielbia, założył więc, że podobnie jest z Magdą. Chciał, żeby razem z nim patrzyła w nocne niebo i komentowała, które kształty i kolory jej się podobają. Nie dlatego, że był tego naprawdę ciekaw. Po prostu chciał przez chwilę patrzeć w tym samym kierunku, co ona. Chciał, żeby robili coś razem.

Nie odebrała ani tej nocy, ani następnego dnia. Pierwszego stycznia chłopak poszedł pod jej blok, ale choć kręcił się tam przez kilka godzin, nie udało mu się zobaczyć dziewczyny. Ona śpi, powtarzał sobie w duchu. Mówiła przecież, że włoży zatyczki do uszu. I że wyśpi się za wszystkie czasy.

Omam nie zwariował z niepokoju. Snuł się po mieście, ściskając w dłoni

futrzaną maskotkę, jakby to mogło w czymś pomóc. Kilka razy podchodził pod drzwi Magdy – na szczęście domofon był zepsuty, a drzwi od klatki schodowej pozostawiono niedomknięte, mógł więc ogrzać się przez chwilę. W porywie szaleństwa zamierzał zapukać i przedstawić się: powiedzieć, że to on jest Adamem i że umiera z niepewności, czy wszystko z nią w porządku. Nie odważył się jednak. Potem, stercząc przy oknie na poddaszu po przeciwnej stronie ulicy i wydmuchując kłęby pary, snuł ponure wizje tego, co mogło się stać: Magda leżąca w wannie, jej ciało już zupełnie sztywne; Magda zemdlona, z raną głowy od uderzenia w kant szafki, wykrwawiająca się na śmierć; Magda osłabiona z głodu, bo przecież diabli wiedzą, czy cokolwiek jadła przez święta.

Drugiego stycznia rano zamiast pod szkołę poszedł pod jej blok. Kręcił się przy pobliskim sklepie ABC, aż w końcu zmarzł tak bardzo, że zaczął dygotać. Wszedł na chwilę do środka pod pretekstem kupienia sobie czegoś do jedzenia. Kiedy usłyszał głos Magdy, na moment zapomniał o oddychaniu. Musiała wejść do sklepu, kiedy stał odwrócony tyłem i zastanawiał się, co kupić. Jak zwykle wzięła bułkę i sok pomidorowy. Przyglądał jej się, kiedy płaciła. Miał ochotę stanąć za nią w kolejce, udając, że o czymś zapomniał, i dotknąć jasnych końcówek jej włosów, rozsypanych na kurtce.

Do szkoły poszli razem – oczywiście on dobre dziesięć metrów za nią. Powoli docierało do niego, że nic złego się nie stało – Magda jest cała i zdrowa, może rzeczywiście spała, a może miała wyłączony telefon. Może upiła się albo naćpała. On sam nie zażywał żadnych substancji odurzających – raz próbował alkoholu, ale doznania, których doświadczył, były niemal bolesne. Każde słowo stawało się przerażająco czerwone i przybierało formę ostrza, które wwiercało się w mózg. Uznał wtedy, że bez alkoholu jest wystarczająco kolorowo.

Im bliżej szkoły byli, tym bardziej Witek przyspieszał, by przy bramie niemal zrównać krok z Magdą. Nie wiedział, dlaczego, ale czuł, że powinien ją chronić. Gdzieś w podświadomości czaiło się przekonanie, że dzieje się coś niedobrego. Powietrze zdawało się mieć w sobie jakąś brudną zawiesinę, a

ludzkie głosy, choć chłopak nie rozróżniał słów, były obrzydliwie wilgotne i zimne, próbowały wślizgnąć się do uszu niczym białe robale.

Magda chyba niczego takiego nie wyczuwała. Kiedy weszła na teren szkoły, uśmiechnęła się do kilku osób ze swojej klasy, pomachała ręką do koleżanki stojącej po drugiej stronie placu. Witek się rozejrzał. Wydało mu się dziwne, że na uśmiech Magdy nikt nie odpowiedział, a koleżanka nie odmachwała jej na przywitanie. Dziewczyna także musiała to zauważyć, bo zwolniła wyraźnie, jej krok stał się jakby ociężały. Witek czuł, że się wystraszyła.

Podeszła do ławki, zdjęła z ramienia torbę i udawała, że czegoś w niej szuka. Albo może naprawdę szukała. Chłopak jednak miał nieodparte wrażenie, że tak naprawdę chodzi jej o to, by wyłapać, o czym mówi najbliższej stojąca grupa osób. Sam też zatrzymał się nieopodal i zaczął się przysłuchiwać.

– Filipiuk... Mnóstwo krwi... – wyłapał. – Chyba w tętnicę... Może gwałt...? Podobno... ściągnięte gacie... Leżał kilka dni pod śniegiem...

Witek spojrzał na Magdę. Pobladła wyraźnie. Przez chwilę stała i wsłuchiwała się w strzępki rozmów, analizując informacje. Potem wyciągnęła z torby telefon i zębami zdjęła rękawiczkę. Zrobiła parę kroków w stronę szkoły, a potem zawahała się i wróciła do ławki. Zanim chłopak zdążył się domyślić, co zamierza zrobić, wybrała numer i przyłożyła telefon do ucha. W ułamku sekundy dotarło do niego, co się za moment stanie. Jego komórka zagrała *Canon Pachelbela*. Stał zbyt blisko, żeby mogła tego nie usłyszeć. Spojrzała na niego zdziwiona, kliknęła coś w telefonie i muzyka ucichła. Potem Magda wybrała numer jeszcze raz. Witek chciał uciec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy dzwonek rozległ się ponownie, zmusił się, by popatrzeć jej w oczy. Magda wpatrywała się w niego wzrokiem, którego nie umiał zinterpretować. Co to było? Smutne zdziwienie? Rozczarowanie? Żal? Pretensja? Zanim zdążył podejść i coś wyjaśnić, odwróciła się i uciekła.

Przynajmniej już wie, pomyślał, kim jest ten jej „Adam”. Może to wcale nie jest takie złe, że się dowiedziała. Jest czy nie? Nie miał pojęcia. Spłoszony i

zdeenerwowany, obszedł dwa razy dziedziniec szkolny, ściskając w dłoni maskotkę Magdy i licząc do dwustu i z powrotem, co pozwoliło mu troszkę uspokoić galopadę myśli. Kątem oka zarejestrował, że do szkoły weszła pani psycholog. Dużo teraz dałby za rozmowę z nią, wiedział jednak, że przyszła, by przeprowadzić pogadankę na temat alkoholu, narkotyków i nikotyny. Nie rozumiał celu takich spotkań, skoro i tak ci, którzy palili i pili, po wysłuchaniu pani Kremczuk szli na papierosa albo umawiali się na kolejną zakrapianą imprezę.

Plac powoli zaczął się wyludniać, uczniowie weszli do szkoły. Witek się zawahał. Lubił panią Beatę i miał nadzieję, że może po pogadance znalazłaby dla niego czas. Jednak nie mógł zostawić Magdy – czuł, że jest jej bardzo źle. Nie był tylko pewien, czy to z powodu odkrycia jego tożsamości, czy raczej tych rewelacji, które powtarzali sobie zaaferowani i niezdrowo podnieceni uczniowie. Co to właściwie było? Zajęty śledzeniem dziewczyny i jej obserwacją, Witek nie zwrócił dotąd uwagi na treść sensacyjnych plotek. Dopiero teraz, kiedy dotarł do niego sens tego, co usłyszał, strach zjeżył mu włoski na karku.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył pod blok Magdy. Po drodze próbował do niej zadzwonić, ale trzykrotnie odrzucała połączenie. Wszedł do klatki schodowej i tym razem się odważył: zapukał i czekał pod drzwiami. Nie otworzyła. Nie był nawet pewien, czy jest w domu, mogła przecież pójść dokądkolwiek, do jakiegoś sklepu albo do baru mlecznego.

Wszedł i przez jakiś czas kręcił się pod blokiem, przytupując, żeby choć trochę rozgrzać stopy. W końcu, z palcami zmarzniętymi tak, że aż bolały, poszedł do pobliskiej Biedronki i zaczął przeglądać dywaniki łazienkowe, zabawki oraz kosmetyki. Wreszcie odtajał na tyle, by wyciągnąć telefon i spróbować znowu. Tym razem Magda odebrała.

– Najpierw miałam nadzieję, że nie wiedziałeś – powiedziała bez wstępów. – No wiesz, teoretycznie mogło się tak zdarzyć. Zrywając kartkę z numerem telefonu, nie wiedziałeś, kto się ogłasza z tymi korepetycjami. Mogliśmy się

mijać dziesiątki razy na szkolnym dziedzińcu i nie wiedzieć nic o sobie.

Milczał.

– Dobrze chociaż, że nie próbujesz kłamać – powiedziała.

– Nie umiem kłamać.

– Och, przestań pieprzyć! – zdenerwowała się. – Oszukiwałeś mnie przez cały czas.

– Nie. Nie oszukiwałem. Nie odpowiadałem na twoje pytania, a to nie jest oszukiwanie. To się nazywa zatajenie. – Był tak zdenerwowany, że zaczął cały drzeć. – „I jak ktoś brzydką dotknięty chorobą, chcąc ją zataić, pozwoliłem złemu pójść aż do rdzenia życia”.

– Co takiego?

– To z Szekspira.

– Jesteś nienormalny. Po co to wszystko robiłeś?

– Bo chciałem z tobą rozmawiać. Już ci wszystko powiedziałem. Byłem samotny. Jestem.

– Gównu mnie to obchodzi. Kłamałeś. Mówiłeś, że się nie znamy.

– A znasz mnie? – zapytał gorzko.

Magda milczała przez chwilę.

– Myślałam, że będziesz próbował kręcić – powiedziała wreszcie. – Że powiesz coś w rodzaju: „No wiesz, naprawdę nie wiedziałem, kim jesteś, sam jestem zdziwiony...”. Ale uświadomiłam sobie, że widywałam cię niemal wszędzie. Byłeś w każdym sklepie, na każdej ulicy, na szkolnych korytarzach...

– Nie mogłem przestać. Chciałem cię ciągle widzieć.

– To się nazywa stalking.

– Nie. Wiem, co to jest stalking. Ale to się inaczej nazywa. Tylko... jeszcze nigdy nie mówiłem tego słowa.

– I nie mów. Nie chcę.

Zabolało, ukłuło jak żądło. Witek aż się zachwiał, tak brutalne było to



krótkie zdanie.

– Dlaczego dziś do mnie zadzwoniłaś? – zapytał. – No wiesz, w szkole. Nigdy nie dzwoniłaś o tej porze. Gdybym miał wyciszony telefon...

– Tak, wiem. Mógłbyś oszukiwać mnie nadal.

Raniło go, kiedy tak mówiła. Chciał się rozłączyć, odciąć od źródła bólu. Ale nie potrafił.

– Wystraszyłam się – podjęła Magda, kiedy zrozumiała, że chłopak nie odpowie na jej zarzuty. – Słyszałeś, co one mówiły? Dziewczyny z mojej klasy? O Filipiuku. To ten facet od kebabów i salonu gier. Ja mu udzielałam lekcji angielskiego.

– Tak, wiem.

– A teraz on... nie żyje.

– Słyszałem.

– I mówisz o tym tak spokojnie?!

– Nie. Śmierć jest ponura. Ma zły kolor. Nie mówię spokojnie. Nie lubię śmierci. Tylko... Bardziej się martwiłem, że uciekłaś. Że nie odbierałaś telefonu ani nie otwierałaś drzwi. Pukałem.

– Domyśliłam się, że to musisz być ty. Czyli wiesz, gdzie mieszkam?

– Pewnie, że wiem. Teraz patrzę w twoje okno.

– Gdzie jesteś?

– W Biedronce, bo zmarzłem. Stoję przy drzwiach i patrzę.

– Wariat. Boję się ciebie.

– Nie jestem wariatem. Moja psycholog mówi, że nie.

– Chodzisz do psychologa?

– Tak.

– Pomaga ci to?

Witek zastanowił się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – odparł wreszcie. – Nie aż tak, jak rozmowy z tobą. Ale chyba

jednak pomaga. Na początku bardzo pomagało. Pani psycholog była jedyną osobą, która nie widziała we mnie głupka.

– Nie możesz być głupkiem, skoro jesteś taki dobry z matmy.

– Mogę.

– Ale nie jesteś.

Zabrzmiało to trochę jak pytanie, a trochę jak stwierdzenie.

– Nie jestem – odpowiedział z przekonaniem. – Tylko że różnię się od niektórych... Od ciebie na pewno też. A wiele osób się boi tego, co odmienne. Tak mówi pani Beata.

– Psycholożka?

– Tak.

– Też chodziłam do psychologa – wyznała Magda. – Mamy ze sobą sporo wspólnego, Adam. Jak ty właściwie masz na imię?

– Witek.

– Witek? Czyli Witold?

– Nie, Witek. Wit.

– Dziwnie. Znam tylko Wita Stwosza. A ja właściwie jestem Madelaine, wiesz?

– Wiem.

– Chciałabym móc powiedzieć: „Bardzo mi miło, Witek”. Ale wcale nie jest bardzo miło. Trochę się ciebie boję, naprawdę.

– Tak. To też wiem. Bo jestem wielki i nie patrzę w oczy.

– To słowa pani psycholog? – Magda się zaśmiała, ale Witek słyszał wyraźnie, że z każdą głoską dziewczyna poważnieje. – Przepraszam, nie powinnam się z tego śmiać.

– Jestem niegroźny – zapewnił. – Tylko źle wyglądam.

– Wcale nie tak źle – zapewniła go. – Ale... chyba potrzebuję trochę czasu, żeby się oswoić z myślą, że to ty.

– Wiem.

– Słuchaj, Witek, kończę na razie. Muszę sobie wszystko poukładać w głowie. Naprawdę się boję... Nie tylko ciebie, ale też innych rzeczy. Wiesz, jeśli to prawda z tym zabójstwem, jeśli ten typek rzeczywiście nie zamarzał, tylko został zabity, to mogę mieć kłopoty. Tam wszędzie muszą być moje odciski palców, byłam w tym domu parę dni przed sylwestrem i trochę... Trochę się szarpałam z tym zbokiem. Mój Boże, ale nie powiesz tego policji, prawda? Witek?

– Nie umiem kłamać. Ale umiem zatajać. Tylko dlaczego się szarpałaś? Wytłumacz mi.

– To już może innym razem, okej? Teraz muszę... Muszę schować parę rzeczy, na wypadek, gdyby czegoś tu u mnie szukali. No nic, trzymaj się. Cześć.

Rozłączyła się i zostawiła go w kompletnej rozsypce.

# W

itek pokręcił się jeszcze trochę po osiedlu. Ponieważ jednak nic nie wskazywało na to, że Magda zamierza wyjść z domu, wrócił do szkoły. Tak jak się spodziewał, pani Beaty już nie było. Pogadanka dawno się skończyła, zresztą z komentarzy uczniów szepczących po kątach wywnioskował, że wcale nie dotyczyła profilaktyki uzależnień, tylko tego, co spotkało Filipiuka. Podobno. Nadal wszystko było „podobno”, nadal nikt nie wiedział niczego na pewno.

Martyna rozmawiała z koleżankami o tym, że tej Robson szukała policja. Witek nadstawił uszu. A więc Magda miała rację, w jakiś sposób tkwiła w tej historii i teraz jej zadaniem będzie przekonanie policjantów, że wyłącznie udzielała Filipiukowi lekcji i że nic nie wie o zabójstwie.

Wyłącznie? Nic nie wie? Niczym błyskawica przemknęła Witkowi przez głowę myśl, że sprawa może być znacznie bardziej skomplikowana. Przecież tamtego dnia, kiedy widział, jak Magda wybiegła z domu Filipiuka, dziewczyna nie spędziła reszty wieczoru w domu. Przyznała się do tego, kiedy rozmawiali przez telefon. Mówiła, że wyszła, bo musiała coś załatwić. Co mogłaby mieć do załatwienia o tak późnej porze? W Stawach nie było nocnego sklepu, nie chodziło więc o zakupy. Ewentualnie mogła wyskoczyć na stację benzynową po tabletki na ból głowy, skorygował natychmiast. Albo po słodycze. Albo po coś do picia.

Magda powiedziała: „Trochę się szarpałam z tym zbokiem”. Witek rozumiał znaczenie słowa „zbok”, ale nie potrafił rozszyfrować, co znaczy „trochę się szarpałam”. On sam nie potrafił się szarpać, nigdy tego nie robił. Podejrzewał, że w zestawieniu ze słowem „zbok” wyraz ten miał podtekst seksualny, lecz nie był pewien, co to oznacza dla Magdy, a co dla Filipiuka. Dlaczego dziewczyna powiedziała, żeby Witek nic nie mówił policji? Czego ma nie mówić, skoro nie ma pojęcia, co się tam wydarzyło?

Zaraz po lekcjach poszedł do poradni psychologiczno-pedagogicznej. Pani Beata właśnie z kimś rozmawiała. Jakaś gruba kobieta napastliwym tonem zadawała jej pytania. Wreszcie skończyły spotkanie, ta gruba pożegnała się i wyszła, a psychologka spojrzała na Witka zmęczonym wzrokiem.

– Jesteś – powiedziała. – Spodziewałam się ciebie. Dlaczego nie przyszedłeś na pogadankę w szkole?

– Musiałem pobiec za Magdą – wyjaśnił. – Ona się bardzo bała.

– A ma się czego bać? Usiądź, Witek, porozmawiajmy.

Zamknęła drzwi i gestem pokazała mu, żeby zdjął kurtkę. Powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł, a pani Beata zaparzyła mu herbatę. Nie musiała pytać, wiedziała, że chłopak lubi zieloną, lekko cierpką.

– Przyszedłem, bo... – zaczął, a potem zastanowił się, bo przecież kierował nim impuls; sam nie wiedział, po co się tu zjawiał. – Chcę się nauczyć kłamać – wypalił nagle. – Nauczy mnie pani?

Pani psycholog stała odwrócona tyłem, nalewała wrzątek do kubka. Nie widział jej twarzy, wydawało mu się jednak, że plecy kobiety drgnęły lekko.

– Czy Magda zrobiła coś złego? – zapytała, stawiając przed nim kubek. – Albo może wplątała się w jakąś awanturę i teraz nie wie, jak wybrnąć?

W jej głosie pojawił się nowy kolor; coś, czego tam wcześniej nie było. Bardzo zimny i bardzo jasny błękit. Po namyśle Witek uznał, że tak wygląda brak zaufania. Kobieta próbowała wy badać, ile on wie. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak wiele Magda dla niego znaczy, a mimo to usiłowała wycisnąć z

niego coś, co mogłoby świadczyć o jej winie.

O winie? Jakiej winie?! Przecież Magda nic nie zrobiła.

– Magda nic nie zrobiła – powtórzył własną myśl. – A ja chcę się nauczyć kłamać, bo tak jest łatwiej w życiu.

– Kto ci to powiedział? Ona?

– Nie! – zaperzył się. – Nikt mi nie musiał mówić. Sam widzę.

– Dlaczego? – Pani Beata zmieniła ton na łagodny, jej słowa stały się teraz różowawe. – Witek, czy nie rozumiesz, że twoją siłą jest uczciwość? To jest znacznie więcej warte niż cała reszta: więcej niż siła fizyczna, te twoje szerokie bary, łapska wielkie jak u kowala, więcej niż intelekt i doskonała pamięć. Dzięki uczciwości nikt niczego nie może ci zarzucić, ponieważ zawsze postępujesz, jak należy.

Milczał. Nie trzeba go było przekonywać do tego, że dobrze jest mówić prawdę, wiedział o tym. Jednak coraz częściej miał obawy, czy prawda wystarczy. Czy nie warto byłoby przynajmniej umieć skłamać w razie potrzeby. Mieć takie wyjście w sytuacji awaryjnej.

– Witek, wiesz, że jestem twoim przyjacielem – mówiła psychologka. – Nie stoję po jakiejś wyimaginowanej drugiej stronie barykady, rozumiesz?

– Rozumiem. Barykada to...

– Nie potrzebujemy definicji – przerwała mu, zniecierpliwiona. Pierwszy raz widział u niej zniecierpliwienie. – Musisz mi uwierzyć, że chcę dobrze. Dla ciebie i dla tej... Madelaine. Czy ty... Czy ty ją właściwie znasz? Wiesz coś o niej?

Zastanowił się.

– Wiem – przytaknął. – Umie szyć. Sama sobie przerabia ubrania, bo nie ma dużo pieniędzy. Kupuje w lumpeksach i potem coś skraca, doszywa i tak dalej. Codziennie rano je bułkę i pije sok pomidorowy. Ale obiad to już nie zawsze zje. Ciotka nie daje jej pieniędzy. Albo daje bardzo mało. Dlatego Magda rozwiesiła ogłoszenia i zaczęła udzielać lekcji. Uczy angielskiego, bo jest z Irlandii.

– Wiesz, z jakiego miasta? – spytała pani Beata, nachylając się, jakby w obawie, że nie usłyszy.

– Z Cork. Powiedziała, że tam było cieplej. Cork.

– Mówiła coś jeszcze? Coś o rodzicach?

– Nie.

– Nie zdziwiło cię to?

– Nie. Ja też nie mówię o rodzicach.

– No tak.

Pani Beata zamilkła na dłuższą chwilę. Witek podmuchał w kubek, bo chciał jak najszybciej wypić herbatę i wyjść z tego pomieszczenia. Zrobiło mu się bardzo duszno, ale nie był pewien, czy można tak przerwać rozmowę, zwłaszcza jeśli się nie wypilo do końca.

– A opowiadała ci może... coś o tym wieczorze, kiedy zginął Filipiuk? To było na trzy dni przed sylwestrem.

Chłopak udał, że się zastanawia. Bardzo chciał powiedzieć, że nie, nie rozmawiali o tym z Magdą, ale nie potrafił. Kłamstwo było czarne jak smoła, gęste, zalepiłoby mu gardło i udusiłby się. Wiedział, że innym ludziom nie zalepia, że można kłamać i żyć, że nawet nic nie widać, jak inni mówią nieprawdę. Jednak on od razu zaczynał się dławić. Nie ma mowy. Właśnie dlatego chciał się tego nauczyć.

– Opowiadała – przyznał i zaczął gorączkowo szukać w pamięci czegoś, co mógłby wyznać bez szkody dla Magdy. Coś, co byłoby prawdą, ale jednocześnie zatajeniem. Zatajać przecież potrafił.

– Co mówiła, Witek? – naciskała pani psycholog. – Powiedz mi. To może być bardzo ważne.

– Że to był paskudny dzień. Albo coś takiego.

– Witek!

– Naprawdę.

Beata Kremczuk przyjrzała mu się uważnie. Najwyraźniej doszła do jakichś

wniosków, bo westchnęła głęboko, jakby z żalem. Witek kręcił się niespokojnie na krześle. Dopił herbatę, parząc sobie język i wargi. Nie był pewien, czy to już koniec rozmowy, czy może wstać i wyjść. Nigdy nie radził sobie z takimi drobiazgami.

– Nie wiesz, czy Magda była wtedy u Filipiuka?

Witek poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Za chwilę ta kobieta wyciągnie z niego wszystko, czego nie chciałby nikomu mówić. Wiedział, że jest żoną policjanta. Do tej pory jej ufał, pomagała mu. Jednak teraz, kiedy chodziło o Magdę, stała się wrogiem.

– Witek! Była? Odpowiedz. To ważne.

– Była.

Wstał. Nieco zbyt gwałtownie odsunął krzesło. Beata Kremczuk skuliła się na swoim fotelu. Witek po raz pierwszy zrozumiał, że ona się go odrobinę boi. Przez chwilę analizował tę myśl – rozważał, czy sprawia mu to przykrość. Może trochę, ale to dlatego, że lubił panią Beatę i chciał, żeby ona lubiła jego.

– Pójdę już – powiedział. – Sam nie wiem, po co tu przyszedłem.

– Obawiam się, że będziesz musiał odpowiedzieć na znacznie więcej pytań. Zapewne będziesz przesłuchiwany – ostrzegła go psycholożka. – Zrozum, chcę ci pomóc. Tobie i tej dziewczynie, jeśli rzeczywiście, jak mówisz, nie zrobiła nic złego.

– Pani mi nie wierzy?

– Wierzę, że mówisz prawdę. Ale po pierwsze nie jestem pewna, czy to jest cała prawda, rozumiesz? A po drugie wiele zależy od tego, co uważasz za złe. Nie wiem, czy „zrobić coś złego” dla nas obojga znaczy to samo.

– Wiem, co jest złe – rzucił i ruszył w stronę drzwi.

– Zaczekaj. Jeśli chcesz, będę obecna w czasie przesłuchania. Chcesz?

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Nigdy dotąd tego nie robił. Zdziwił się, że to w gruncie rzeczy takie łatwe.

– Ona wiele w życiu przeżyła – dodała szybko pani Beata. – Jej mama...



próbowała zabić się po tym, jak zamordowała męża. Ojca Madelaine, rozumiesz? Dziewczyna była świadkiem zabójstwa. Nie wiadomo, jak to na nią wpłynęło. Witek...

Nie słuchał już. Wybiegł z poradni i ile sił popędził przed siebie. Zwolnił dopiero wtedy, kiedy uświadomił sobie, że nogi same zniosły go pod blok Magdy. Oczekał, aż uspokoi mu się oddech, po czym wszedł do klatki schodowej i zapukał do drzwi.

## 20

# K

iedy Magda otworzyła i stanęła w progu, skulona, chyba trochę wystraszona, wydała mu się zupełnie malutka. Miał ochotę zamknąć ją w ramionach, zgnieść i schować pod kurtką, gdzieś w okolicy serca.

– Jakoś strasznie wyglądasz – szepnęła. – Odezwij się, bo trudno mi uwierzyć, że to naprawdę ty. Zaprzyjaźniłam się bardziej z twoim głosem niż z całą resztą.

– To naprawdę ja – powiedział, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

Magda cofnęła się, ręką wskazując, żeby wszedł do środka. Witek zrobił parę kroków tak ostrożnie, jakby spodziewał się ciosu.

– Skromnie mieszkam. – Dziewczyna rozejrzała się i zrobiła taki gest, jak przewodnik oprowadzający zwiedzających po muzeum. – Ciotka płaci mi za wynajem mieszkania i daje parę groszy na jedzenie, więc z wyposażeniem musiałam sobie radzić sama.

W przedpokoju znajdowała się jedynie wielka szafa wnękowa. Przy drzwiach, na kawałku starego ręcznika frotté, stały błyszczące martensy. Magda musiała je czyścić dosłownie przed chwilą, bo jeszcze pachniało pastą.

Witek skierował się do pokoju na lewo. Wiedział, że to sypialnia. Stercząc godzinami na poddaszu po drugiej stronie ulicy, wyobrażał sobie, że znajduje się

tam łóżko, tymczasem na podłodze leżał nadmuchiwany materac, a na nim czerwony śpiwór. Obok stały dwa kartonowe pudła, z których wystawały książki. W pokoju nie było nic więcej, jeśli nie liczyć ładowarki telefonu podłączonej do gniazdka. Z sufitu zwisała żarówka na kablu.

– Surowy wystrój – zaśmiała się Magda.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”?

Witek nie odpowiedział, ponieważ sam nie wiedział, o co właściwie chciał zapytać. Może o to, czego dowiedział się od pani psycholog. Matka zabiła ojca, potem targnęła się na własne życie. Kto by zrozumiał coś takiego?

Był okropnie stremowany. Przykucnął i wziął do ręki jedną z książek.

– *Jak lody w słońcu* – przeczytał głośno. – O czym to?

– O różnych sprawach – oparła Magda. – O wojnie, o miłości. O honorze i wierności. Tylko nie o lodach.

– Dziwne, że tytuły nie pasują do treści.

– Pasują. Ten pasuje. Wiele rzeczy jest jak lody w słońcu, zauważyłeś? Myślisz, że istnieją naprawdę i że zdążysz się nimi nacieszyć, a to tylko złudzenie, bo po chwili znikają.

– Ale lody istnieją naprawdę. To nie jest złudzenie. Po prostu taka jest natura lodów, że się topią.

– Przecież wiem. Tak tylko mówię... – szepnęła Magda i usiadła na materacu.

Witek wstał, bo bliskość jej ciała stała się bardzo krępująca. Jednak stojąc, wydał się sam sobie ogromny. Teraz niezręcznie mu było z samym sobą.

– Usiądź obok mnie – poprosiła Magda i pociągnęła go za nogawkę. – Dziwnie się czuję w twoim towarzystwie. Muszę się oswoić, że ty to ty. Adam. Mój telefoniczny przyjaciel. Opowiedz mi, jak to właściwie było. Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

– Pierwszego dnia w szkole... – zaczął Witek – wszyscy cię obserwowali. Ja

też. Mówiłem ci kiedyś, że słyszę kolory?

– Nie. Tylko o tym, że widzisz słowa.

– Przecież to się ze sobą łączy.

– Dla mnie nie. Jedno i drugie jest kompletnie odjechane. Ale nieważne. I co z tymi kolorami?

– Zazwyczaj ostre barwy wrzeszczą. A ty nie wrzeszczałaś. Miałaś czerwoną spódniczkę w szkocką kratę.

– Pamiętasz takie rzeczy? Na ogół chłopaki nie zwracają uwagi na strój.

– Pamiętam wszystko. Nie umiem zapominać.

– Tak? To jak byłam ubrana drugiego dnia?

– Miałaś niebieski golf i jasne spodnie, prawie białe. Takie wąskie, rurki. Z dziurą na kolanie.

– Niemożliwe. Nie możesz tego pamiętać.

Spojrzał na nią poważnie. Z bliska jej usta wydawały się zrobione z delikatnej różowej bibułki. Miał ochotę dotknąć ich opuszką.

– Twoje kolory nie wrzeszczały. Poszedłem za tobą, żeby cię dłużej widzieć. I tak mi już zostało. Od tamtej pory łąziłem za tobą jak bezpański pies.

– Nie mów tak. To brzmi smutno, a przecież nie jest smutne. Prawda?

Położyła mu rękę na przedramieniu i przesunęła ją w stronę nadgarstka. Witek zadrżał na myśl, że jeszcze parę centymetrów i dotknęłaby jego skóry. Pomyślał, że jej szczupłe palce muszą być bardzo chłodne, ale nie odważył się sprawdzić. Siedział jak skamieniały, bojąc się poruszyć, jakby na ręce usiadł mu motyl.

– Opowiadaj dalej – poprosiła. – Miałeś wyjaśnić, dlaczego do mnie zadzwoniłeś.

– Musiałem cię ciągle widzieć – wyznał Witek. – Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, więc sterczałem pod twoim blokiem, a kiedy wychodziłaś, szedłem za tobą. Pewnego dnia zobaczyłem, jak rozwieszasz ogłoszenia. Zerwałem karteczkę i potem... zadzwoniłem. Chciałem usłyszeć, jak do mnie mówisz.

– Mogłeś się zgłosić – roześmiała się Magda. – No wiesz, na korepetycje.

– Ale ja jestem dobry z angielskiego. Nie potrzebuję dodatkowych lekcji.

– Chodzi mi o to, że wówczas poznalibyśmy się wcześniej. Mogłeś udawać, że masz problem z nauką...

– Nie rozumiesz. – Witek zwiesił głowę, jakby to, co zamierzał powiedzieć, było powodem do wstydu. – Ja nie umiem udawać. Nie potrafię.

Dziewczyna zabrała dłoń z jego ręki. Patrzyła na niego przez chwilę; czuł to, choć wpatrywał się w czubki własnych butów. Zastanawiał się teraz, czy nie powinien był ich zdjąć w przedpokoju. Było mu gorąco i bardzo chciał ściągnąć kurtkę, ale obawiał się, że ona może to opacznie zrozumieć. W końcu siedzieli razem w jej sypialni.

– Mówią na ciebie Przypał – odezwała się Magda. – To dlatego, że jesteś inny, prawda?

Pokiwał głową. Teraz ona powinna powiedzieć, żeby sobie poszedł. Czekał.

– Zrobiłeś kiedyś komuś krzywdę, Witek? – zapytała. – Jesteś taki wielki, musisz mieć siłę jak niedźwiedź.

– Nie, nie zrobiłem. Tego chyba też nie umiem.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Westchnęła i to westchnienie było ciemnoszare. Jakimś cudem Witek wyczuł, że dziewczyna się boi. Albo martwi. Albo jedno i drugie. To przypomniało mu, po co właściwie do niej przyszedł.

– Podobno policja cię szuka – powiedział. – Moja pani psycholog jest żoną policjanta.

Magda odsunęła się troszeczkę na materacu. Milczała.

– Chciała, żebym jej powiedział, co się wydarzyło tamtego dnia.

– Którego?

– Tamtego – powtórzył. – Byłaś u Filipiuka na korepetycjach, prawda?

– Skąd o tym wiesz? To były ferie świąteczne.

– Po prostu wiem.

– Śledziłeś mnie przez cały czas? Nadal to robisz?

– To się nie nazywa śledzenie. Kiedy za kimś chodzisz, bo chcesz go po prostu widzieć...

– Ależ tak! To się nadal nazywa śledzenie! – powiedziała bardzo zimno i niepotrzebnie tak głośno.

– Chciałem cię widzieć – powtórzył bezradnie. – Przez cały czas.

Magda odsunęła się jeszcze dalej.

– I co z tą psycholog? – zapytała nieco cieplej. – Wypytywała cię i co z tego? Co jej powiedziałaś?

– Nie potrafię kłamać – przypomniał.

– To już wiemy. Pytam, co powiedziałaś. Że byłam u Filipiuka, tak?

– Tak.

– Coś jeszcze? Widziałeś, jak stamtąd wychodziłam?

– Tak. Wybiegłaś.

– Jakim cudem? – zapytała Magda, wyraźnie wstrząśnięta. – Jak mogłeś to widzieć? Sterczałeś całą godzinę na tym pieprzonym mrozie?! Przecież wtedy było zimno jak na Syberii!

– Czekałem na przystanku. To znaczy kiedyś tam był przystanek...

– Ja piernicę, ty naprawdę jesteś nienormalny!

Witek pocił się coraz bardziej. Teraz już nie mógł zdjąć kurtki, głupio by to wyglądało, zwłaszcza że słowa Magdy były purpurowe i kasały jak wściekłe owady. Wiedział, że za chwilę będzie musiał wyjść.

– Dobierał się do mnie – powiedziała dziewczyna. – Zresztą to cię nic nie powinno obchodzić. Moja sprawa.

– Wiem. Ale obchodzi mnie. Bardzo.

– Więc niech przestanie. Ja nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, Witek, *sorry*. Naprawdę jesteś jakiś... nieprzystosowany czy coś w tym stylu.

Odważył się spojrzeć jej w oczy. Z bliska były jeszcze bardziej niebieskie. Szybko odwrócił wzrok, żeby nie zauważyła, że lada moment rozbeczy się jak wielki dzieciak.

– Już idę. Tylko powiedz mi, czy zrobiłaś mu... Zrobiłaś coś? Ja nikomu nie powiem, policja ze mną nie będzie rozmawiać. Pytam, bo chciałbym wiedzieć.

– Dlaczego policja nie będzie z tobą rozmawiać? Umówiłeś się z tą psycholog? Poszedłeś na jakiś układ? Moim zdaniem nieźle przetrzepią i mnie, i ciebie. Skoro już się przyznałeś, że coś wiesz, to teraz oboje mamy przesrane. Nie zdziwiłabym się wcale, gdybyś ty też był podejrzany.

– Tylko mi powiedz – poprosił jeszcze raz.

– Nie ma o czym. – Magda machnęła ręką. – Wybiegłam z jego domu trochę zdenerwowana, bo dobierał się do mnie. Wystrzeliłam jak z procy; tam na podwórku biegał taki paskudny pies, ale jakimś cudem zdążyłam uciec przed nim do furtki. Pewnie dlatego, że był okropny mróz i ten bydlak się schował. On ma takie swoje malutkie drzwiczki, wiesz?

Witek pokręcił przecząco głową.

– Potem jeszcze raz tam poszłam, późnym wieczorem, bo zorientowałam się, że coś zgubiłam. Chciałam zadzwonić domofonem i poprosić, żeby Filipiuk to rzucił przez płot albo coś... Wchodzić nie miałam zamiaru. Ale ostatecznie nawet nie zadzwoniłam, bo w środku grała głośno muzyka, i uznałam, że jest impreza. Facet mógł być pijany i kto wie, może chciałby dokończyć to, co zaczął wcześniej.

– Co zgubiłaś? – zapytał Witek.

– Nieważne. Drobiazg, który miał dla mnie wartość... powiedzmy, że sentymentalną.

Chłopak sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej miękką, puchatą małąkę.

– O to ci chodzi? – zapytał.

Magda patrzyła przez chwilę, a potem delikatnie wzięła maskotkę i zapytała drżącym głosem:

– Skąd to masz? – A ponieważ nie odpowiedział, po chwili dodała: – Ty naprawdę mnie prześladujesz. Witek, ja... chyba wolałabym, żebyś już poszedł. Trochę się boję. To wszystko jest takie...

– Dziwne. Wiem – dokończył. – Całe życie byłem dziwny i odkąd pamiętam, wszyscy chcieli, żebyś już sobie poszedł. Przywykłem.

Z wysiłkiem podniósł się z materaca. Wszystko wyło w nim z żalu, ale zdołał to ukryć, udało mu się nawet leciutko uśmiechnąć.

– Małpkę znalazłem tamtego wieczoru, kiedy wracałaś od Filipiuka. Potem już siedziałem w domu i czekałem, aż zadzwonisz, ale nie zrobiłaś tego, więc w końcu nie wytrzymałem i sam zatelefonowałem...

Magda nic nie mówiła. Z zamkniętymi oczami przyciskała małpkę do policzka.

– Powiedziałem pani psycholog tylko tyle: byłaś wtedy smutna i powiedziałaś mi, że to był paskudny dzień. Niczego więcej ze mnie nie wycisną. Ani ona, ani inni. Uwierz mi. Nikt mnie nie znajdzie.

I zanim dziewczyna otworzyła oczy, zanim dotarło do niej, co właśnie powiedział, Witek wyszedł, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.



# B

Beata Kremczuk otworzyła szeroko okno, żeby choć trochę wywietrzyć papierosowy smród. Kiedy siedemnaście lat wcześniej wychodziła za Pawła, obiecał jej, że rzuci palenie, gdy tylko pojawi się dziecko. Nie udało się – pozostawali bezdietni, więc Paweł palił nadal. Tym więcej, im gorzej się działo w robocie. A teraz właśnie działo się bardzo źle.

– Dlaczego to zrobiła? – gorączkował się. – Jeśli, jak twierdziła, jest niewinna, to nie powinna była...

– Nie rozpatruj tego w kategoriach logiki – przerwała mu Beata. – Jeśli czegoś się nauczyłam z rozmów z niedoszłymi samobójcami, to tego, że logiczne trzeźwe rozumowanie u nich nie działa. Wyłączają je.

– W porządku, rozumiem. Ale chyba nadal działa instynkt samozachowawczy, prawda? – Paweł przechadzał się nerwowo po pokoju, ku rozpaczycy Beaty zapalając kolejnego papierosa. – Każdy gatunek ma na celu głównie przetrwanie. Dlaczego u ludzi ten podstawowy pęd, ku życiu właśnie, przestaje w pewnym momencie wystarczać?

– Może życie staje się nie do zniesienia? – zapytała retorycznie jego żona.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu, więc Paweł wyszedł do przedpokoju. Beata została sama. Nalała sobie jeszcze wódki i dodała soku pomarańczowego. Była zdenerwowana, choć starała się to ukryć. Jednak przed

samą sobą nie mogła grać: prawda była taka, że umierała ze strachu. O Witka, który jej zaufała i którego zawiodła. A od paru dni również o Magdę. „Tę nową”, której nie mogła rozgryźć.

Początkowo jej nie lubiła. Sam fakt, że Witek, jej podopieczny – chłopak, o którym często myślała, że mógłby być jej nieistniejącym, nigdy niepoczętym synem – zakochał się w tej nowej, tracąc dla niej głowę, wystarczał, aby Beata podchodziła do dziewczyny nieufnie. Poza tym było w niej coś obcego, niezrozumiałego. Jej styl ubierania, tak ostentacyjnie niemodny, jakby z innej epoki; jej milczenie, dystans do rówieśników, nauczycieli i do niej, Beaty Kremczuk... Jednym słowem Magda wydawała się zimna, bezczelna, wyniosła i obca. Może nawet zła.

Jednak kiedy wkrótce po tym, jak złożyła wyjaśnienia na policji i została zatrzymana, nieudolnie usiłowała popełnić samobójstwo, rozdrapując sobie żyły paznokciami, Beata zaczęła zmieniać zdanie.



Wszystko się pogmatwało. Najpierw zniknął Witek. Tamtego dnia, gdy Beata usiłowała wydobyć z niego prawdę, wyszedł bez pożegnania z jej gabinetu. Nie mogła sobie darować, że nadużyła jego zaufania. Przecież jeśli wiedziała, że chłopak nie potrafi kłamać i że podkochuje się w Madelaine, nie powinna była oczekiwać, że będzie zeznawać przeciwko niej. Te pytania zadawały mu ból.

– Chyba żartujesz, tu chodzi o zabójstwo – prychnął na nią mąż, kiedy zwierzyła mu się z wyrzutów sumienia. – Sprawa jest zbyt poważna. Nie możemy brać pod uwagę jakiegoś szczeniackiego zauroczenia panienką. Jeśli ten dryblas coś wie, musi zeznawać.

Jednak Beata nadal czuła się paskudnie. Paweł nie rozumiał specyficznej więzi, która łączyła ją z Witkiem. Nikt jej nie rozumiał, nawet ona sama. Była to przedziwna mieszanka przyjaźni, fascynacji jego niezwykłym umysłem, instynktu opiekuńczego, bo przecież nie radził sobie w najprostszych sytuacjach,

a to wszystko okraszone nutką erotyzmu. Beata nigdy, nawet przed samą sobą, nie przyznałaby się do tego, że szerokie ramiona chłopaka, jego ciemne oczy patrzące nieufnie spod niesfornych kędziorów oraz twarz pokryta kilkudniowym zarostem robią na niej wrażenie.

Gdyby potrafiła nazwać te uczucia, zdefiniować je, zapewne łatwiej przyszłoby jej zaakceptować fakt, że była zwyczajnie zazdrosna o Magdę. Tak się jednak nie stało. Beacie wydawało się, że Wit Malczyk ulokował swe uczucia w dziewczynie, która go unieszczęśliwi, a może nawet sprowadzi na złą drogę. Rozmowa z nim tamtego feralnego dnia utwierdziła ją jeszcze w tym przekonaniu.

Nie bacząc na protesty męża, zatelefonowała do chłopaka. Chciała jedynie porozmawiać, wyjaśnić mu, że jej pytania w żaden sposób nie były skierowane przeciwko niemu i jego młodzieńczej miłości, że po prostu musiała je zadać. Jednakże Witek nie odbierał telefonu.

Wieczorem pojechała do poradni. Zajęcia „Szkoły dla Rodziców” skończyły się zaledwie piętnaście minut wcześniej, więc placówka była jeszcze otwarta. Beata weszła do swojego gabinetu i odszukała dokumenty Witka, a w nich jego adres. Dziesięć minut później zaparkowała przed zabytkową kamienicą z czerwonej cegły.

Drzwi otworzyła jej wychudzona kobieta ubrana w brązowy sweter i długą spódnicę. Jej twarz zupełnie nie pasowała do sylwetki – była nienaturalnie obrzmiała, z czerwoną siateczką naczynek krwionośnych na policzkach i nosie. Beata pamiętała, że babcia Witka popijała. Nie spodziewała się jednak, że będzie tak źle wyglądała. Kiedy widziała ją przed rokiem, trzymała się znacznie lepiej.

– Dzień dobry. Szukam Wita.

– Dzień dobry – odparła tamta ochrypłym głosem. – Teoretycznie. Bo w praktyce raczej kiepski. A chłopak zabrał się i poszedł.

– Co takiego?

– Poszedł. Czego pani nie rozumie? Zabrał kilka swoich rzeczy i tyle.

Beata oparła się o futrynę. Starsza pani najwyraźniej nie zamierzała wpuścić jej do mieszkania.

– Jestem jego psychologiem, nie wiem, czy mnie pani pamięta – wyjaśniła. – Mogę wejść? Chciałabym z panią porozmawiać.

– A co tu dużo gadać? – odparła zrzędliwie babcia Witka, ale odsunęła się i wpuściła Beatę do środka. – Poszłam na zakupy, proszę pani, a jak wróciłam, to na stole leżała kartka. O, proszę zobaczyć.

Kobieta poprowadziła gościa do kuchni. Na niewielkim stole, wciśniętym między lodówkę a szafkę z chlebakiem, leżał skrawek papieru niedbale wyrwany z zeszytu. „Babciu, wziąłem kartę do bankomatu, i tak z niej nie korzystasz. Będę wypłacał tylko moją rentę i ani grosza więcej. Wrócę, jak już będzie można”.

– To wszystko? Żadnego „nie martw się o mnie”? Żadnego wyjaśnienia, dokąd się wybiera?

– On zawsze chodził własnymi drogami, jak kot – powiedziała staruszka lekceważąco. – Da sobie radę.

– Tak po prostu? – Beata nie mogła uwierzyć w obojętność tej kobiety. Babcie przeważnie bywają nadopiekuńcze i przesadnie boją się o wnuki. – Zabrał coś? Sprawdziła pani?

– A co ja mu tam będę grzebać w rzeczach? Jak pani psycholog, to niech sama pani poszpera. Może pani znajdzie coś ciekawego. – Zarechotała, jakby sama myśl o tym, że w pokoju Witka może być cokolwiek interesującego, wydała jej się zabawna.

Pokazała ręką drzwi, więc Beata weszła do sypialni chłopaka. Tak jak się spodziewała, panował tam nieskazitelny porządek. Pasowało to do osobowości Witka. Rozejrzała się, jednak nie miała pojęcia, na co powinna zwrócić uwagę. Wyszła prędko, ponieważ czuła się jak podglądacz.

– Zabrał telefon?

– Pewnie tak, bo nigdzie go nie ma. Ładowarka była koło lodówki, też

zniknęła.

– Dzwoniła pani do niego?

– Nie odbiera.

Starsza pani usiadła przy stole i naląła sobie lampkę wina z butelki stojącej obok chlebaka.

– Pani wybaczy, ja się muszę wspomóc – powiedziała, ale nie zaproponowała gościowi trunku.

– Gdyby się odezwał, bardzo panią proszę o kontakt – poprosiła Beata, po czym skierowała się do wyjścia.

Wtedy jeszcze się nie bała. Pomyślała tylko ze smutkiem, że na miejscu Witka też uciekłaby z takiego domu. Doskonale знаła jego sytuację finansową; wiele razy rozmawiali o tym, że nie może się doczekać samodzielności, ale jednocześnie nie czuje się dorosły, nie zna świata na tyle, by rzucić szkołę, wyprowadzić się od babci i zacząć się samemu utrzymywać.

Nie, wtedy jeszcze nie bała się o niego, ponieważ była pewna, że po prostu zamieszkał u tej dziewczyny. Wróciła do domu i do późnego wieczora usiłowała wytłumaczyć Pawłowi, że absolutnie koniecznie musi dla niej zdobyć adres Madelaine Robson. Po co ci adres, zapytał wtedy, już my się tą panienką zajmujemy.

Zajęli się, rzeczywiście. Następnego dnia Madelaine była już na komisariacie, a ponieważ jej zeznania oraz nagrania z monitoringu uczyniły z niej osobę podejrzaną, została zatrzymana. Beata z trudem wywalczyła sobie prawo do porozmawiania z nią – i dopiero wtedy zaczęła się niepokoić o Witka. Okazało się bowiem, że chłopak nie tylko po ucieczce z domu wcale nie poszedł do Magdy, ale co gorsza, tamtego dnia coś się między nimi popsuło. Dziewczyna była tak samo wystraszona jak Beata, kiedy się dowiedziała, że Witek zniknął.

– Kazałam mu sobie pójść – wyznała drżącym głosem. – Wie pani, ja się go bałam. Przyznał, że od września mnie śledził... Jest w sumie trochę dziwny,

przyzna pani.

– A kiedy wychodził... powiedział coś? No nie wiem, żegnaj albo coś takiego?

Magda wyglądała na zagubioną. Usiłowała sobie przypomnieć, lecz niczego nie była pewna.

– Mówił, że pani próbowała z niego coś wycisnąć i że nigdy więcej się to pani nie uda.

Beata zachwiała się, jakby ktoś ją uderzył.

– I że nikt go nie znajdzie – dodała dziewczyna. – Jak pani myśli, gdzie on jest?

– Myślałam, że u ciebie – mruknęła Beata. – Że prosto od babci poszedł do twojego mieszkania. Nie mam pojęcia, gdzie spędził wczorajszą noc i gdzie spędzi dzisiaj. Na szczęście ma pieniądze, jakoś sobie poradzi.

– Tak – szepnęła Magda. – Poradzi sobie.

– A ty? Na długo cię zatrzymali?

– Nie wiem. Każą mi się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłam.

– Więzienia są pełne takich, którzy też na początku twierdzili, że są niewinni.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na Beatę niebieskimi oczyma, a spojrzenie to było pełne bezradnego smutku.



Następnego dnia po tej rozmowie Madelaine Robson usiłowała rozorać sobie żyły swoimi ostrymi paznokciami.

# P

aweł skończył wreszcie rozmowę przez telefon.

– Jest w zakładzie psychiatrycznym w Ciborzu – powiedział, wchodząc do pokoju i na szczęście tym razem gasząc papierosa.

– Kto?! – wystraszyła się jego żona. – Wit Malczyk?

– Nie, ta smarkata. Wyobraź sobie, że pozdzierała opatrunki, a ponieważ obcięli jej na krótko paznokcie, próbowała rozgryźć rany.

Beata milczała, zbyt wstrząśnięta, żeby jakoś to skomentować. W głowie miała kompletny chaos. Możliwe interpretacje były dwie. Albo Magda zabiła Filipiuka i boi się kary, więc udaje psychicznie chorą, albo go nie zabiła i wówczas... No właśnie, wówczas czekałaby spokojnie na wynik dochodzenia, bo człowiek niewinny nie musi się bać, wierzy w sprawiedliwość.

– Mówiłeś, że są jakieś nowe dowody...

Paweł spojrzał na żonę w zadumie. Doskonale wiedziała, że nie wolno mu zdradzać szczegółów śledztwa. Z kolei on doskonale wiedział, że cokolwiek jej powie, zostanie to między nimi. Rozumiał też, że czasem z daleka widzi się lepiej – niekiedy rozmowa z kimś z zewnątrz sprawiała, że udawało się spojrzeć na problem pod innym kątem i nagle otwierały się nowe możliwości interpretacji.

– Zapis z monitoringu potwierdził jej zeznania – powiedział wreszcie, kładąc

się na sofie, która jęknęła pod nim głucho. – Za pierwszym razem poszła do Filipiuka przed osiemnastą. Nagranie pokazuje, że za nią idzie ten twój Malczyk. Po godzinie wracają, najpierw ona, potem on.

– To już wiemy.

– Potem przechodzi grupka dziewczyn. Udało nam się stwierdzić, że wracały ze spotkania u kolegi. Następnie jakieś dwie osoby. Nie możemy ich rozpoznać, wyglądają na parę zakochanych, którzy idą na spacer.

– W takie zimno?

– Ludzie mają różne upodobania. Tam w okolicy nie ma sklepu, więc zakupy odpadają.

– Gdzie właściwie jest ta kamera?

– Przy skrzyżowaniu. Dalej już nie sięga monitoring, to peryferie. Możemy jedynie sprawdzić, kto skręcał w uliczkę prowadzącą do domu Filipiuka, i kto z niej wychodził, nic więcej.

– A przy tej ulicy jest tylko jego dom?

– Nie, skądże. Kilkanaście. On mieszka... tfu, mieszkał na samym końcu, już właściwie za miastem.

– No dobrze. Ale te nagrania to już coś, tak? Jakiś ważny dowód.

– Do dupy z takim dowodem. Jaką mamy pewność, że sprawca nie podszedł do domu ofiary od którejkolwiek innej strony? Przecież nie musiał iść od miasteczka.

– Tam dalej są pola. I las.

– Co z tego?

– Nic – przyznała Beata. – Ale wracając do nagrań... Madelaine przyznała, że wróciła tam późnym wieczorem? Nie próbowała tego ukryć?

– Nie, absolutnie. Mówi, że szukała jakiejś maskotki, która jej wypadła. Tego na nagraniu nie ma, widać tylko, jak idzie wolnym krokiem w stronę domu ofiary, głowę ma opuszczoną, jakby faktycznie czegoś szukała, a potem wraca.

– Też powoli? I też szukając?



– Tak.

– Więc pewnie mówi prawdę. Gdyby go zabiła, szłaby szybko, pewnie by nawet uciekała. Pomyśl tylko.

– Tak. Zapewne masz rację.

– I to koniec? Nic więcej nie ma na tym nagraniu?

– Jeszcze parę osób. Kobieta na szpilkach, która szła jak na szrudłach, pamiętasz, że było ślisko...? Jakiś kompletnie zalany gość oraz ktoś, kto prawdopodobnie uprawiał jogging.

– W jakim sensie?

– W dosłownym. Ktoś ubrany na czarno przebiega najpierw w jedną stronę, a jakiś czas potem z powrotem do miasta. Biegnie równym krokiem, spokojnie, niezbyt szybko, nie rozgląda się. Po prostu wygląda to na trening i to taki dość intensywny, bo między pierwszym a drugim pojawieniem się tej osoby mija grubo ponad godzina.

– Rozmawiamy o późnym wieczorze.

– I co cię dziwi? Ludzie biegają nie tylko rano.

– Przecież był kilkustopniowy mróz!

– Tak, to prawda. Ale czy ja wiem... Zapewne są jacyś zapaleńcy, którzy trenują przy takiej temperaturze. Odtworzyliśmy nagrania z kilkunastu poprzednich dni, biegacze przewijają się całkiem sporo. Tam dalej, jak wiesz, jest ścieżka rowerowa do Kobyłki i obok alejka spacerowa do parku w Mordulach, ludzie często tamtędy biegają. Tak czy owak, nie udało się ustalić, kto to jest.

– Nie ma go na innych kamerach? Nie da się wytyczyć jego całej trasy?

Paweł się zachnął.

– Wiesz przecież, jak jest z tym pieprzonym monitoringiem w Stawach. Jedna kamera działa, dwie kolejne zepsute i tak dalej. Następna działająca jest dopiero za podstawówką.

– Daj spokój, w takim razie po co w ogóle bawić się w jakąś analizę nagrań?! To się kupy nie trzyma!

Paweł westchnął i zakrył twarz dłońmi, jakby na chwilę chciał się odciąć od tej ponurej historii. Beata usiadła na brzegu sofy i zaczęła masować mu stopy.

– Dobrze, teraz powiedz o tym, co znaleźliście na miejscu.

Mąż otworzył oczy i spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Nie powinienem.

– Oczywiście, że nie powinienś. Ale prędzej czy później musisz o tym pogadać, bo eksplodujesz.

– Tak. Masz rację.

Milczał przez chwilę i tylko wzdychał raz po raz. Beata czekała cierpliwie.

– Facet był pijany jak bela. To po pierwsze. Po drugie wygląda na to, że najpierw stracił przytomność, prawdopodobnie od uderzenia w głowę, a dopiero potem został zadźgany.

– Czym?

– Diabli wiedzą. Nie ma narzędzia zbrodni. Czymś ostrym.

– No, tego się domyśliłam. Trudno zadźgać czymś tępym.

Paweł spojrzał na nią z wyrzutem, więc natychmiast spowaźniała.

– Przepraszam. To reakcja nerwowa, wygłupiam się ze strachu. Trudno tego słuchać spokojnie.

– W każdym razie było to narzędzie zwężające się ku końcowi, o okrągłym przekroju, gładkie.

– Coś jak szpikulec?

– Właśnie – potwierdził. – Dziwne jest jednak to, że rany są różnej wielkości. Jakby niektóre zostały zadane narzędziem szerszym, inne węższym.

– Żartujesz.

– Nieszczęśliwie mi wesoło.

– Wiem. Przepraszam.

Beata pomasowała mu jeszcze plecy, wysłuchiwała pozostałych informacji, w sumie dość skąpych, a potem poszła pod prysznic. Polewając sobie ramiona

gorącą wodą, porządkowała usłyszane rewelacje.

Filipiuk był pijany. Wyszedł na mróz bez kurtki. Paweł twierdził, że mógł upaść, a uderzenie głową w kamienny murek wokół tarasu mogło go ogłuszyć. Nawet niekoniecznie ktoś go musiał popchnąć. Następnie ofiara straciła przytomność, zanim została zamordowana. Kto zabija nieprzytomnego? Ktoś, kto się boi, pomyślała, albo ktoś, kto bardzo nienawidzi. Gdyby to miała być Madelaine, to do której kategorii należy?

– Mówiłeś, że macie też jakieś ustalenia w związku z dziewczyną... – zagaiła Beata, wsuwając się po kąpieli pod kołdrę. – Powiedz mi jeszcze tylko tę jedną rzecz.

– Okej, ale naprawdę o nic więcej nie pytaj – odparł niechętnie Paweł. – Zaczęło się od tego, że paluchy tej Robson i jej ślady biologiczne są wszędzie. Na stole, na krześle, na laptopie. Ewidentnie była w mieszkaniu ofiary tego dnia. Pod jego paznokciami był jej naskórek, na jego szyi i twarzy znaleźliśmy zadrapania. Przyciśnięta przyznała się, że to jej sprawka. Twierdzi, że dobierał się do niej, więc się broniła, a potem uciekła. To by pasowało, bo na tym nagraniu, kiedy wraca zaraz po tej godzinnej lekcji, widać, że bardzo się spieszy i prawie w biegu zapina kurtkę.

– Więc może wtedy go zabiła? W obronie własnej?

– Też tak pomyślałem. Ale sekcja wykazała, że zadrapania powstały kilka godzin przed śmiercią Filipiuka. Niestety nie da się oznaczyć bardzo precyzyjnie czasu zgonu, bo ciało leżało parę dni, zanim je znaleziono, było przysypane śniegiem, a w międzyczasie przysłała odwilż. Nie możemy więc określić, czy został zamordowany o tej porze, kiedy na nagraniu z kamery ponownie widać pannę Robson. Na pewno nie wtedy, kiedy przechodziła po raz pierwszy, a za nią włókł się ten Malczyk. I to ukreśliło łeb teorii, że to on, bo potem już go nie ma na nagraniu...

– Co takiego?! O czym ty w ogóle mówisz? Dlaczego to miałyby być Witek?

– Twierdzisz, że podkochał się w panience i dlatego wszędzie za nią łąził,

tak?

– Tak. I co?

– Przecież to się samo nasuwa. Dajmy na to, że Filipiuk dobierał się do tej Robson. Wzburzona wybiegła od niego i opowiedziała Malczykowi, co się stało. Chłopak się wściekł i postanowił rozprawić się z niedoszłym gwałcicielem.

– Sam w to nie wierzysz.

– Niby dlaczego?

– Po pierwsze Witek jest absolutnie niezdolny do agresji. Wiele razy znęcano się nad nim w szkole, czasem takie knypki, co to nawet mu do ramienia nie sięgały. Kompletnie nie umiał się obronić, nawet ręką nie machnął, żeby odepchnąć jednego z drugim.

– Ale w obronie dziewczyny mogło mu się coś uaktywnić, wiesz, rodzaj instynktu.

– Bzdura. Po drugie – ciągnęła pewna swego Beata – on nie potrafi kłamać. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale ten chłopak zwyczajnie nie jest w stanie niczego zmyślić. Wygada wszystko jak na spowiedzi. Przyznałby się.

– Może go nie doceniasz. Mówiłaś, że jest diabelnie inteligentny.

– Och, Paweł, daj spokój. To mój pacjent, znam go.

– Podejrzewam, że nie byłabyś pierwszym psychologiem, który musiałby przyznać, że źle postawił diagnozę.

– Po trzecie – dorzuciła triumfalnie – Madelaine była u Filipiuka na lekcji. Musiał być jeszcze trzeźwy, prawda? A przecież sam mówiłeś, że w chwili zabójstwa...

– Tak, wiem – mruknął Paweł. – To jest kolejny kawałek układanki, który nie pasuje. Facet musiał zginąć znacznie później. Robson faktycznie zeznała, że kiedy ją napastował, nie czuła od niego alkoholu. Nie upiłby się do tego stopnia w kilkanaście minut. Cholera, gdyby nie ten śnieg...

– A właśnie: dlaczego ktoś przysypał zwłoki śniegiem?!

– Miałaś więcej nie pytać. Mam dość. Dobranoc.

Przez chwilę milczał, zapatrzonej w jeden punkt. Wreszcie obrócił się na bok, przykrywając sobie głowę jaśkiem. Robił tak tylko wtedy, gdy naprawdę potrzebował samotności. Beata westchnęła i zgasła lampkę. Trzeba będzie poczekać z kolejnymi pytaniami.

## 23

# W

itek marzł. Wprawdzie od paru dni utrzymywały się temperatury powyżej zera i śnieg stopił się zupełnie, ale zarazem wszystko stało się wilgotne, a przez to wydawało się zimniejsze.

Wyobrażał sobie, że będzie łatwiej. Choć od dawna niewiele sypiał, nie miał pojęcia, że noce mogą być aż takie długie. Od zapadnięcia zmroku do pierwszych różowawych muśnięć jutrzeńki mijało koszmarnie dużo czasu.

Chłopak wymościł sobie legowisko z gałęzi świerkowych na podłodze dawnej dróżnikówki. Znał budynki kolejowe jak własną kieszeń, ponieważ od ponad roku włóczył się po okolicznych lasach, a do torów miał szczególny sentyment. Większość zresztą została rozkradziona, zostały tylko nasypy i podkłady, które w słoneczne dni pachniały dziwnie, ni to smołą, ni ogniskiem, ni wspomnieniem najodleglejszego dzieciństwa.

Właśnie podczas tych wędrówek nasypami kolejowymi Witek znalazł domek dawnego dróżnika, w którym nikt nie bywał. Znajdował się na tyle daleko od miasteczka, że można było śmiało rozpalić ognisko na podłodze, zresztą w kuchni stała nadal sprawna westfalka i brakowało tylko węgla, żeby porządnie nagrzać pomieszczenie, a nawet ugotować jakąś prostą zupę. W studni była czysta woda, a za rozpadającą się szopą znajdował się wychodek z serduszkiem wyciętym w drewnianych drzwiach. Witek zaniósł cały swój dobytek – ciepłe

ubrania, śpiwór, karimatę, buty na zmianę, a także zrobione w dniu ucieczki zakupy – do nowego lokum i rozgościł się tam z myślą o tym, że może się tak ukrywać przez kilka tygodni. Był przekonany, że tyle czasu wystarczy policji, by zakończyć śledztwo i odkryć, kto naprawdę zabił Filipiuka.

Pierwszą noc przespał jako tako, ale już drugiej było mu za zimno. Zrozumiał, że trzeba będzie się przestawić na tryb nocny. Za dnia, kiedy robiło się cieplej, należało spać, natomiast w nocy potrzebny był ruch, żeby się rozgrzać.

Trochę trwało, zanim chłopakowi udało się wprowadzić to postanowienie w życie. Trzeba było przemęczyć się dwie doby, nim organizm, zmęczony brakiem nocnego snu, nauczył się zapadać w ciągu dnia w długi, głęboki sen. W końcu jednak Witek zaczął żyć nocą, a spać za dnia.

Nasyp kolejowy prowadził w jedną stronę do dawnego dworca kolejowego w Stawach, który obecnie był już zupełnie zrujnowany. Witek zwykle nie chodził w tamtym kierunku, głównie dlatego, że bywali tam jego prześladowcy – wyrostki z ochotniczego hufca pracy, którzy ze znęcania się nad Przypałem uczynili sobie sport. Stacja, a zwłaszcza przejścia podziemne, były ich ulubionym miejscem wieczornych spotkań przy tanim alkoholu. W drugą stronę można było bezpiecznie iść nasypem kilkanaście kilometrów i jedynie z daleka zobaczyć zabudowania kolejnej małej miejscowości – Mokrej.

Dawna stacyjka znajdowała się w szczerym polu, pozostał po niej jedynie peron i mała wiata, pod którą od biedy można się było schronić przed deszczem. W Mokrej był tylko jeden sklep i właśnie tam Witek postanowił zaopatrywać się w podstawowe produkty, kiedy skończą się mu zapasy.

Zaplanował sobie wszystko. Rano, kiedy robiło się jasno, wybierał się do pobliskiego lasu i zbierał drewno, które następnie przynosił do dróżnikówki i układał pod ścianą, żeby schło. W nocy podkradał z prywatnych posesji, na których nie było psów, po kilka grudek węgla – niewielkie ilości, żeby nikt się nie zorientował. W ten sposób każdego ranka przynosił pół opału i zsypywał na

kupkę w kuchni. Po tygodniu miał już spory zapas. Na razie palił tylko drewnem, węgiel trzymał na wypadek, gdyby wróciły mrozy.

Z opuszczonego poddasza nad lecznicą weterynaryjną przyniósł sobie śmierdzący stary koc i używał go jako wkładu do śpiwora. Odkrył, że jeśli założy na siebie kilka warstw ubrań, podgrzeje koc nad ogniskiem, a następnie owinie się nim jak mumia i wpełźnie do śpiwora, to nie zmarznie. Nawet w wilgotne, wietrzne dni, kiedy w dróżnikówce trudno było wytrzymać, owinięty w ten sposób Witek spał jak dziecko.

Budził się około szesnastej, kiedy zaczynało robić się szaro. Właściwie budził go głód. Jadł kilka kawałków chleba, otwierał jedną z konserw albo słoiczek dżemu i wypijał butelkę wody, którą wkładał sobie na czas snu do śpiwora, żeby nie była lodowata. Potem albo szedł na zakupy do Mokrej, albo plątał się bez celu po okolicy. Dopiero kiedy zapadał prawdziwy zmrok, zbierał się na odwagę, by pójść do miasteczka.

Właściwie nie wiedział, czego dokładnie się boi. Podejrzewał, że babcia nie zgłosiła na policję zaginięcia wnuka, przecież zostawił jej kartkę, że nic mu nie jest i niedługo wróci. Starsza pani nie darzyła go uczuciem, zresztą on jej także nie. Nie przypuszczał, żeby martwiła się o niego.

Na pewno nie szukała go także szkoła. Był pełnoletni, mógł w każdej chwili rzucić naukę w liceum i nikomu nic do tego. Jedyne pani Beata mogła się zainteresować, dlaczego chłopak nie uczęszcza na zajęcia oraz na sesje u psychologa – ale ona miewała czasem tak dużo zajęć, że zapominała o różnych rzeczach. Witek nigdy nie potrafił zrozumieć, jak można zapomnieć o czymś, o czym dzień wcześniej powiedziało się, że to ważna sprawa. Jednak z biegiem czasu przywykł do tego, że tak właśnie funkcjonowała cała reszta ludzkości – poza nim.

Martwił się, że Magdzie może stać się jakaś krzywda. Uciekł z domu wyłącznie po to, żeby ją chronić. Wiedział, że nie zdoła skłamać ani zataić przed policją tego, co wie. Odkąd nauczył się żyć w nocnym trybie, chodził pod blok



Magdy i tęsknie zaglądał w jej okna. Niepokoiło go to, że w jej mieszkaniu nie świeciło się światło. Wiedział, że miała problemy ze snem, sama mu to mówiła, zresztą od września zdążył przecież poznać jej zwyczaje. Nigdy nie zasypiała przed północą, tymczasem teraz, choć czasem był na miejscu już o dwudziestej drugiej, okna były ciemne. Raz nawet odważył się wejść do klatki schodowej i zapukać. Wewnątrz nie rozległ się najłżejszy szmer. Co to mogło oznaczać?

Że wyjechała, mówił jakiś głos w jego duszy. Że nic dla niej nie znaczyłeś, więc nawet się nie pożegnała. Może wróciła do tej Irlandii, a może znalazła sobie miejsce gdziekolwiek indziej? W końcu nic jej tu nie trzymało. Kiedy zaczęły się kłopoty, ziała, bo nikt nie lubi nieprzyjemnej atmosfery wokół siebie. Tego akurat nie trzeba było Witkowi tłumaczyć. Druga możliwość była jeszcze gorsza: ktoś zrobił jej krzywdę. Skoro zabił Filipiuka, to mógł zabić i ją. Nawet jeśli Witek kompletnie nie widział powiązań między Magdą a tym podejrzanym typkiem, zdawał sobie jednak sprawę, że mógł istnieć ktoś, kto takie powiązanie widzi. Niekoniecznie ktoś dobry. Niekoniecznie mądry.

Myśl o tym, że być może Magda potrzebuje jego pomocy, a on sterczy jak kołek pod jej blokiem albo śpi w pozycji embrionalnej na podłodze dróżnikówki, doprowadzała Witka do szału. Po raz pierwszy w życiu martwił się o kogoś i czuł każdą komórką swojego ciała i każdym włókienkiem nerwowym, że kocha tę dziewczynę i potrzebuje jej jak powietrza.

Czy była jakaś trzecia opcja? Czy pomiędzy tym, że Magda mogła wyjechać bez pożegnania i go zostawić, a możliwością, że ktoś ją skrzywdził, było coś pośredniego? Witek nie był pewien. Logicznie rzecz biorąc, zapewne tak. Nauczył się przecież, że między czernią a bielą było całe mnóstwo odcieni szarości. Tylko co by to miało oznaczać w tym wypadku? Że Magda nie chce się z nim widywać, bo ją zdenerwował? Przecież podczas ich ostatniej rozmowy czuł, że była na niego zła. Nie rozumiał, co takiego właściwie zrobił – dlaczego dziewczynę tak rozzłościł fakt, że włóczył się za nią od września. Nie zaczepiał jej, nie był natrętny (pamiętał, jak matka tłumaczyła mu, że ludzie tego nie lubią)

– chciał tylko patrzeć.

Gdyby nie rozładował mu się telefon, zadzwoniłby do Magdy, ale pod wpływem wilgoci i zimna bateria wysiadła już w drugiej dobie po ucieczce z domu. Witek nie miał pomysłu, jak sobie poradzić. Gdyby mógł być pewien, że babcia nie zgłosiła na policji zaginięcia, poszedłby do miasta za dnia, pokręciłby się na przykład po podstawówce albo po ośrodku zdrowia i tam podładowałby telefon. Nie miał jednak pewności, czy jest bezpieczny.

Wreszcie nie wytrzymał. Niepewność, tęsknota, wychłodzenie – sam nie wiedział, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby dotarł do jakiegoś kresu, do granicy, za którą nie było już nic. Spakował śpiwór i koc do plecaka, założył na siebie wszystko, co miał do ubrania, zapasowe buty oraz karimatę ukrył pod stertą drewna, zjadł obfitą kolację i wyruszył przed siebie nasypem kolejowym.

Nie miał pojęcia, co znajdzie dalej, za Mokrą. Nigdy nie zapuszczał się tak daleko. Postanowił jednak, że będzie szedł aż do rana, niezbyt szybko, żeby nie opaść z sił, ale nieustannie, aby nie zamrznąć. W końcu dojdzie do jakiejś miejscowości, w której nikt nie będzie go znał. Tam zje coś ciepłego, umyje ręce, zrobi zakupy i podładuje telefon. Potem wróci i będzie mógł odespać wyprawę.

Już po paru kilometrach zrobiło mu się gorąco. Zdejmował z siebie kolejno sweter, bawełnianą bluzę i szalik, rozpiął kurtkę, bo mimo przenikliwego chłodu pocił się okropnie. Zapewne trochę rozgrzewał go strach, który nadawał tempa jego krokom. W nocy las, przez który prowadziła dawna linia kolejowa, wydawał się żyć jakimś magicznym życiem. Witek nigdy nie wierzył w duchy, zjawy i magiczne stworzenia, nie potrafił czytać baśni ani oglądać filmów fantasy – teraz jednak wzrok płatał mu figle. Wydawało mu się, że zza drzew śledzą go czyjeś oczy, czuł na karku gorący oddech kogoś niewidzialnego.

Jakąś godzinę po tym, jak minął Mokrą, wokół nasypu pojawiły się betonowe podesty. Był to znak, że dawniej znajdował się tutaj peron. W oddali zamajaczyły jakieś światła, jednak Witek uznał, że miejscowość jest zbyt mała

jak na jego potrzeby. Szedł więc dalej. Nie miał zegarka, mógł więc jedynie domyślać się, że do rana jeszcze daleko. Że też nigdy nie nauczyłem się mapy nieba, myślał. Teraz byłbym w stanie określić czas chociaż w przybliżeniu.

Wreszcie, kiedy już wydawało się chłopakowi, że czerń nad głową zaczyna się rozjaśniać, doszedł do budynku dawnej stacji kolejowej. „Rakowice” – głosił napis na czarno-białej tabliczce, przekrzywionej przez czas. Nad peronami znajdowały się drewniane zadaszenia. Budynek – o ile Witek mógł to ocenić po ciemku – był wciąż w dobrym stanie. Niestety drzwi i okna poczekalni oraz holu z kasami zostały zabite płytami pilśniowymi, nie mógł więc wślizgnąć się do środka i przespać resztę nocy na podłodze.

Rozejrzał się w poszukiwaniu zegarów dworcowych, ale najwidoczniej je zdemontowano, kiedy zlikwidowano linię kolejową do Stawów i dalej do Gorzowa. Zamknięto też toaletę i – niestety – bufet dworcowy.

– Zwiedzimy teraz Rakowice – powiedział do siebie Witek, naśladując głos dziennikarza z jakiegoś programu podróżniczego, który oglądał w dzieciństwie.  
– Może mają tu zegarmistrza, który wystawił w witrynce zegarki.

Sam nie wiedział, do czego jest mu potrzebna informacja, ile zostało do świtu. Może po to, by dodać sobie otuchy. Noc trwała stanowczo zbyt długo, by zmagać się z nią w samotności. Idąc stromą uliczką w dół, w stronę pobliskich zabudowań, rozmyślał o tym, czy godziny ciągnęłyby się tak samo, gdyby mógł spędzić je w towarzystwie Magdy. Co by zrobił, gdyby ona postanowiła uciec wraz z nim?

Odpowiedź była prosta. Po pierwsze nie potrzebowałyby telefonu, więc cała ta wyprawa nie miałaby miejsca. Wystarczyłyby zakupy spożywcze w Mokrej. Zjedliby, a potem wymościли sobie legowisko w dróżnikówce i rozmawialiby. Patrzyliby na nią, na jej usta jak z bibułki, na niebieskie oczy, na wyraźnie zarysowane brwi, oglądałby szczupłe palce z długimi paznokciami, których nigdy nie malowała na jaskrawe kolory, lecz na delikatny róż albo odcienie beżu. Może odważyłby się dotknąć jej dłoni, a może nawet włosów.

Spałby, obejmując ją ramieniem. Pamiętał, że tak właśnie spali rodzice. Tata zawsze przygarniał mamę tym gestem, w którym była jakaś zaborczość, ale też chęć obronienia jej przed złem. Kiedyś Witek tego nie pojmował i był o mamę zazdrosny. Teraz zaczynał widzieć te sprawy inaczej. Zrozumiał, że mężczyzna może pragnąć chronić swoją kobietę. Dotychczas wyobrażał sobie, że to kobiety są od tego, by zapewnić bezpieczeństwo tym, których kochają. Zapewne wyrobił sobie takie przekonanie, ponieważ miał nadopiekuńczą matkę, próbującą otoczyć go czymś w rodzaju klosza, w dodatku nie do stłuczenia.

Ulica sprowadziła go do miasteczka – za zakrętem w lewo wystarczyło przejść obok starego budynku poczty i ponownie skręcić. Chłopak wahał się przez chwilę, w którą stronę się udać, znalazł się bowiem na skrzyżowaniu. „Być może chodzę tak bez celu i nie wiem, w którą pójde stronę”, zacytował fragment dawno usłyszanej piosenki, ponieważ jak zwykle wtedy, gdy miał problem z podjęciem decyzji, jego pamięć szukała jakiegoś punktu zaczepienia.

Ostatecznie wybrał drogę wiodącą w prawo. Miasto było jasno oświetlone, nadal pełne świątecznych dekoracji. Witek skierował się na coś w rodzaju deptaku i właśnie tam, wśród wielu innych wystaw, znalazł w końcu to, czego szukał – maleńką witrynę sklepu z zegarkami. Dochodziła czwarta, a informacja ta, zwielokrotniona na kilkunastu tarczach zegarowych, wydała się chłopakowi czymś absolutnie przecudownym. Jeszcze dwie godziny i otworzą sklepy spożywcze. Gdzieś tu na pewno jest piekarnia, można będzie kupić sobie gorące bułki albo cały bochenek chleba, który – gdy się go włoży pod kurtkę – zadziała jak grzejnik.

Zdążył obejść miasteczko kilkakrotnie, zanim rzeczywiście otwarto sklepy. Piekarni niestety nie było, lecz do jednego ze spożywczych dowieziono świeże pieczywo, więc chłopak kupił sobie słodkie bułki, jeszcze ciepły chleb i zapas ciastek – pół kilo kruchych gwiazdek z kleksem konfitury na środku. Pomyślał, że przyjemniej będzie się szło nocą przez pola i lasy, jedząc rozpływające się w ustach ciasteczka.

Postanowił odpocząć trochę na skwerku, który zapewne w cieplejszych porach roku musiał być oblegany przez młodzież. Na środku stała fontanna, teraz oczywiście nieczynna, a wokół niej ustawione były ławki. Na jednej z nich siedział jakiś zakapturzony człowiek. Witek przysiadł na drugiej, wyciągnął z papierowej torebki drożdżówkę z budyniem i z rozkoszą zatopił w niej zęby. Przez chwilę czuł się chyba nawet lepiej niż w rodzinnym domu, kiedy matka stawiała przed nim talerz gorącego żurku z białą kiełbasą. A w każdym razie tak samo dobrze.

– Jakbyś już nie chciał, to nie wyrzucaj – usłyszał nagle głos dobiegający z sąsiedniej ławki.

Spojrzał w tamtą stronę. Mężczyzna w kapturze zwrócił się w jego stronę. Witek poruszył się niespokojnie. Słowa, które właśnie usłyszał, wydały mu się bardzo blade i drżące. Właściwie nie miały koloru.

– Nawet okruchy – powiedział obcy.

Chłopak zrozumiał, że tamten prosi go o jedzenie. Niewiele myśląc, wstał i podał obcemu torebkę, w której była bułka z dżemem morelowym. Mężczyzna mruknął coś niezrozumiale, a potem wyciągnął pieczywo i zjadł je w okamgnieniu.

– Dzięki – powiedział ochryple. Potem przez chwilę przyglądał się Witkowi, choć niewiele mógł zobaczyć w świetle pobliskiej latarni. Wciąż jeszcze było ciemno. – Skąd jesteś?

– Nie stąd – odpowiedział chłopak, gratulując sobie w duchu, że robi postępy. Jeszcze niedawno bez namysłu mówił szczerze wszystko, o co go pytano.

– To już wiem – zaśmiał się mężczyzna. – Gdybyś był tutejszy, znałbym cię. I nie łąziłbyś z plecakiem.

– Mógłbym do kogoś przyjechać – odparł Witek.

– Ale nie przyjechałeś.

– Nie. Przyszedłem.

– Z daleka?

– Nie.

Dziwna była ta rozmowa. Mężczyzna w kapturze przesiadł się na ławkę Witka i zwrócił ku niemu twarzą, zupełnie jakby chciał go powąchać.

– Jesteś zmarznięty – zauważył. – Gdzie spędziłeś noc?

– Szedłem – odburknął Witek.

– Przez cały czas?

– Tak jest ciepłej.

Tamten milczał przez parę minut, ocierając wierzchem dłoni usta, do których przyłgnęły resztki lukru.

– Uciekłeś? – zapytał. – Nie, nie musisz odpowiadać. Właściwie wcale nie chcę wiedzieć. Samo mi się powiedziało.

– Uciekłem.

– Szukają cię?

– Chyba nie.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Tak jest właśnie najgorzej – powiedział po chwili namysłu. – Kiedy już nawet nikt człowieka nie szuka. A ty? Szukasz czegoś? Albo kogoś?

– Prądu.

– Co takiego?!

– Prądu – powtórzył Witek. – Muszę do kogoś zatelefonować, a wyładowała mi się komórka.

Obcy zaczął się śmiać. Trwało to kilkanaście sekund. Co go tak bawi – pomyślał ze złością chłopak.

– Człowiekowi marzy się mielony z ziemniakami i ciepły kaloryfer, a ten mówi, że prądu mu trzeba – rzekł wreszcie tamten. – No, muszę przyznać, że to niewiele. Czyli generalnie z pieniędzmi u ciebie w porządku? Tylko jesteś na gigancie?

Witek nie rozumiał, o jakim gigancie mowa, więc nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

– Chodź – powiedział mężczyzna i podniósł się z ławki. – Pokaż, duży masz ten bagaż? Spory. Ale chyba dasz radę, co? Bo kawałek trzeba podejść.

– Dam.

Zarzucił plecak na ramiona i ruszył. W nozdrza uderzył go przykry zapach dawno niepranych ubrań. Najwyraźniej miał do czynienia z prawdziwym bezdomnym. Jakby na potwierdzenie tej myśli, nieznajomy poprowadził go między blaszanymi garażami w stronę ogródków działkowych. Zaczynało świtać i Witek dostrzegał już szczegóły zabudowy miasteczka. Chciał zapytać, po co idą na działki, przecież raczej nie będzie tam prądu, ale przypomniał sobie, że niektórzy działkowicze mają w domkach gniazdka.

– Nie pytam, co ci się w życiu poplątało – odezwał się mężczyzna. – Ja jestem, na ten przykład, byłym wuefistą. Studia skończyłem, trenowałem tu u nas lokalną drużynę siatkarską. I co? I gówno. To się nie ułożyło, tamto nie poszło zgodnie z planem, kredyt był za duży, a zarobki za małe, żona poszła z gachem. Żeby się jakoś pocieszyć, zacząłem popijać, z roboty mnie wyrzucili... I człowiek z dnia na dzień został z niczym.

Zamilkł. Witek czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, co by to mogło być. Na domiar złego słowa nieznajomego przybrały jadowicie zieloną barwę. Były oślizgłe, umykały, nie dało się zatrzymać na nich wzroku.

Tymczasem znaleźli się dość daleko od ostatnich zabudowań. Szli krętą ścieżką. Po prawej stronie znajdowały się ogródki działkowe, a po drugiej zarośla pełne śmieci i gruzu.

– Kiedyś były tu magazyny – usłyszał Witek. – W ponemieckich bunkrach, wyobraź sobie. Dobre, szkopskie mury, trzymają równą temperaturę. Czy lato, czy zima, nigdy nie ma tu ani mrozu, ani upału. Potem magazyny przenieśli, bo nie było tu dobrego dojazdu, i tak bunkier stoi, niszczejąc. To my z Bogusiem pomyśleliśmy, czemu nie, takie samo dobre lokum jak każde inne. Jedno, czego

brakuje, to kibel. Zimą w krzaki nieprzyjemnie chodzić.

Witek pokiwał głową. Chciał powiedzieć, że opuszczone budynki kolejowe są pod tym względem lepsze, ponieważ często stawiano przy nich wychodki, jednak nie zdążył, bo z chaszcy wyłonił się brodaty mężczyzna.

– Patrz, kogo przyprowadziłem, Boguś – powiedział ten w kapturze. – Koleś na gigancie. Przy forsie, telefon ma, ale rozładowany. Wiesz, czego mu potrzeba do szczęścia? – Zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie. – Prądu.

Boguś rzucił okiem na plecak Witka, a potem zerknął na swojego kolegę. W tym spojrzeniu było coś, co bardzo się chłopakowi nie spodobało.

– Tędy – wskazał szerokim gestem.

Dopiero teraz Witek zauważył, że w gęste zarośla wiedzie wąziutka ścieżka. Tamci dwaj byli nieco niżsi, on musiał się mocno schylić, żeby zmieścić się w korytarzu utworzonym przez gałęzie krzewów. Zgięty wpół, przeszedł krętą dróżką na drugą stronę chaszcy. Potknął się o niski murek, ale utrzymał równowagę.

Nagle poczuł palący ból z tyłu głowy. Odwrócił się, a wówczas spadł na niego kolejny cios – tym razem mężczyzna w kapturze celował w twarz. Na szczęście Witek zdążył podnieść rękę, a metalowy łom uderzył go w okolice zgiętego łokcia, powodując straszliwy ból. Witek zawył, a potem strząsnął z siebie tego brodatego, który w międzyczasie wskoczył mu na plecy i usiłował ściągnąć plecak.

Cała scena rozegrała się bez słów. Witek chwycił za łom i wyrwał go z rąk faceta w kapturze, uderzył na odlew, po czym ponownie odepchnął brodacza. Odnosił wrażenie, że czas zwolnił jakoś dziwacznie – sekunda po sekundzie obserwował, jak ciało tamtego niczym bezwładny worek opada na sterczące z gruzów pręty. Chłopak odwrócił się, a jego dłoń sama zacisnęła się w pięść. Doskoczył do zakapturzonego i uderzył go w nos. Palce zabolowały, a chrzęst, który się spod nich wydobył, sprawiły, że zebrało mu się na wymioty. Nieznajomy zalał się krwią i padł na kolana. Kiwał się jednostajnie, trzymając



się obiema dłońmi za twarz. Po brodzie ciekła mu krew.

Witek stłumił chęć, by uderzyć jeszcze raz. Miał ochotę pobić obu tak, aby już nigdy nie byli w stanie nikogo oszukać. Miał ochotę ich zabić. Czuł pod czapką krew, początkowo bardzo ciepłą, ale teraz już coraz chłodniejszą. Zaczął drzeć. Odwrócił się, poprawił plecak na ramionach i szybko ruszył ścieżką, którą wcześniej przeszli. Skrzywił się z bólu, gdy bezlistne gałęzie uderzyły go w zranione miejsce na potylicy. Kiedy znalazł się na dróżce przy ogródkach działkowych, zaczął biec.

Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że oddala się od miasteczka. Nie był pewien, co właściwie zamierza. Chyba musi wrócić, poszukać jakiejś kawiarni, napić się czegoś ciepłego... Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógłby poprosić o podładowanie komórki. Pewnie ludzie tak robią, pomyślał. Tylko nie wiedział, jak to załatwić. Na wszelki wypadek, korzystając z tego, że znalazł się w szczerym polu i nikt nie mógł go usłyszeć, przećwiczył kilka razy tekst: „Przepraszam, czy mógłbym gdzieś tu podładować baterię w telefonie? Jestem w podróży i nie mogę zadzwonić”.

A może trzeba wyjaśnić, skąd jest i dlaczego chce skorzystać z telefonu? Zdenerwowany i niepewny, zaczął recytować *Sitowie* Tuwima, żeby trochę się uspokoić:

– „Nie wiedziałem, że się będę tak męczył, słów szukając dla żywego świata, nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy, to potem trzeba cierpieć długie lata”.

Chłodny wiatr smagnął go po twarzy, powodując nowe uderzenie bólu i zimna na karku. Witek ostrożnie zdjął czapkę i pomacał ręką głowę. Na szczęście od dawna się nie strzygł, dzięki czemu półdługie, gęste włosy złagodziły cios. Rana nie była duża i nawet niespecjalnie bolało, kiedy jej dotykał, ale krwi wydawało się sporo. Chłopak zdjął plecak i wyciągnął z niego rolkę papieru toaletowego. Urwał sporą garść i zrobił z niej prowizoryczny opatrunek, a następnie ponownie założył czapkę i dodatkowo naciągnął na

głowę kaptur. Teraz było mu cieplej. Odwrócił się i ruszył w stronę miasteczka.

# B

Beata miała właśnie przerwę na kawę, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zabrakło jej tchu. Dzwonił Wit Malczyk. Albo ewentualnie ktoś, kto znalazł jego telefon. Wszystkie lęki, wszystkie głupie wyobrażenia wyświetliły jej się w głowie niczym przesuwany zbyt szybko film.

– Witek? – zapytała z niedowierzaniem. – To ty?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem dobrze jej znany głos odparł ostrożnie: – Ja.

– Gdzie jesteś? Skąd dzwonisz?

Nie wiedziała, od czego zacząć – było tyle pytań, które chciałyby mu zadać...

– Z kościoła – odparł chłopak. – Dzwonię z kościoła.

Tego się nie spodziewała. Rodzina Malczyków nie była religijna. Witek był ateistą, jego babcia twierdziła, że opowieści biblijne były dla niego czymś w rodzaju mitów – zwyczajnie nie potrafił w nie uwierzyć.

– Dlaczego jesteś w kościele?

– Bo akurat otworzyli. Było zimno i leciała mi krew. A potem okazało się, że tu jest prąd.

Beata kompletnie nic z tego nie rozumiała.

– Witek, błagam, opowiedz po kolei. Gdzie jesteś?

– W kościele.

– Dlaczego?

– Bo zmarłem.

Westchnęła. W ten sposób nigdy się z nim nie dogada. W takich sytuacjach był dosłowny do szpiku kości.

– Opowiedz mi – powtórzyła. – Najpierw powiedz, dlaczego tak bardzo zmarłeś.

– Poszedłem do... – zawahał się – do takiego jednego miasta, żeby podładować telefon. Chciałem zadzwonić... – znów urwał.

– Do Magdy? – domyśliła się Beata. – Witek, możesz mi zaufać. Nie bój się, jestem po waszej stronie.

Nie odpowiedział. Nie wierzył jej. A więc zaszła w nim aż tak wielka zmiana, pomyślała Beata. Choć sam nadal nie potrafi kłamać, sądzi, że inni ludzie robią to nieustannie.

– Posłuchaj – dodała łagodnie. – Magda jest w szpitalu, ale nie martw się o nią, nic jej nie grozi. Wróć i przyjdź do mnie do poradni, porozmawiamy. Opowiem ci, co się wydarzyło.

– Dlaczego jest w szpitalu? – W jego głosie zagrała histeria.

– Przyjdź, opowiem ci. Jeśli zechcesz, wybierzemy się do niej w odwiedziny.

– Ona nie życzy sobie mnie widzieć. Wyprosiła mnie. Nie chciała, żebym został u niej.

– Ale teraz tego żałuje. Bardzo się o ciebie martwi. Dzwonię do niej często i za każdym razem pyta, czy się odnalazłeś.

– Ja się wcale nie zgubiłem.

– Witek, proszę, wróć. Dlaczego uciekłeś z domu?

– Policja by mnie pytała. Tak samo jak pani. Musiałem się schować.

– Oczywiście, że byłbyś przesłuchiwany, ale to nic złego. Magda sama nam

wszystko powiedziała. Pamiętasz? Kiedyś wyjaśnialiśmy sobie, co to znaczy, że kłamstwo ma krótkie nogi. Ona też o tym wie, dlatego od razu powiedziała prawdę.

Pobożne życzenia, pomyślała, czekając na odpowiedź chłopaka. Bardzo liczę na to, że ta dziewczyna nie wodzi nas wszystkich za nos.

– Ale dlaczego jest w szpitalu? – zapytał jeszcze Witek.

– Wszystko ci opowiem. Wracaj. Przyjdiesz jutro do poradni?

– Nie wiem, czy dam radę. Zanim dojdę... – W jego głosie zabrzmiało wielkie znużenie, a Beata miała przez chwilę wrażenie, że rozmawia ze starcem.

– I jeszcze będę musiał odespać. Nie wolno zasypiać w nocy, bo można zamarznąć.

– O czym ty mówisz, Witek?

– A policja mnie szuka? – zapytał, nagle zmieniając ton na rzeczowy. – Moja babcia zgłosiła zaginięcie?

– Nie, skądże. Nikt cię nie szuka.

– Aha. – Milczał przez chwilę. – Czyli mogę wrócić autobusem? Tylko z drugiej strony... sam nie wiem, bo teraz może zaczną mnie szukać z innego powodu.

– Stało się coś?

– Czy jeżeli uderzę kogoś, kto chciał mi zrobić krzywdę, to jest bardzo złe?

– Opowiedz mi, co się wydarzyło! Co zrobiłeś?!

– Bardzo złe? – powtórzył jak echo.

– Nie, tłumaczyłam ci wiele razy, że masz prawo się bronić. Pamiętasz?

– Pamiętam. Tak.

– Witek, skąd ty właściwie dzwonisz? Jakie to miasto?

Ale on zdążył się już rozłączyć.



Zdenerwowała się nie na żarty. To niemożliwe, myślała, nie mogłam się aż tak pomylić co do tego chłopaka. Nie jest zdolny do agresji; może tylko mu się wydaje, że zachował się brutalnie, przecież wiele razy sam mówił, że nie umie się nawet bronić. Nie mógł zrobić nic naprawdę złego.

Jeszcze tego samego popołudnia Beata pojechała do szpitala. Magda wydawała się wyjątkowo spokojna, jakaś senna. Psycholog zastanawiała się, czy nie jest to efekt terapii jakimś paskudztwem. Była przeciwna stosowaniu leków uspokajających u takich pacjentów jak ta dziewczyna. Tu potrzebna jest rozmowa, akceptacja i zrozumienie, myślała. Żaden lek nie zawiera tych składników.

– Mam dobre nowiny – oznajmiła, siadając na niewygodnym krześle przy szpitalnym łóżku. – Ale opowiem wszystko, gdy wstaniesz. Nie możesz ciągle leżeć.

Pacjentka patrzyła na nią, mrugając powiekami dziwnie powoli, jakby ktoś puścił film w ślimaczym tempie.

– Chodź – powtórzyła Beata. – Wstań, przejdziemy się trochę. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Ale jest tak zimno.

– Pomyśl sobie, jak marznie Witek.

Powieki dziewczyny rozchyliły się nieco szerzej.

– Gdzie jest? – zapytała. – Dlaczego miałyby marznąć?

– Dzwonił dziś do mnie. Najpierw próbował dodzwonić się do ciebie...

– Zabrali mi ładowarkę – przerwała ze złością Magda. Wyglądała, jakby dopiero teraz przebudziła się ze snu. – Przecież chyba nie powieszę się na kabelku.

Kto cię tam wie, pomyślała Beata, a na głos powiedziała: – Trzeba było mówić, podładowałabym ci baterię. Jak chcesz, to wezmę twój telefon i przywiozę ci naładowany.

Magda się zawahała. Najwyraźniej nie do końca ufała swojej rozmówczyni.

- A nie może pani przywieźć mi ładowarki?
- Mogę, oczywiście. Przywiozę. Ale podładujemy przy mnie, a potem ją zabiorę.
- Pani też mi nie ufa – stwierdziła ponuro dziewczyna.
- Musisz zrozumieć, że boimy się o siebie.
- Tak. Rozumiem. – Ileż sarkazmu brzmiało w jej głosie.
- Gdybyś nie próbowała... gdybyś wtedy nie zerwała opatrunków i nie próbowała rozgryźć ran...

Magda odwróciła się do ściany.

- Pani nie ma pojęcia, prawda? – szepnęła. – Jest pani psychologiem, ale wszystko zna tylko z teorii. Nigdy pani nie chciała naprawdę uciec.
- Czy to źle? – zapytała Beata. – Uważasz, że psycholog w depresji byłby lepszy od takiego, który lubi żyć? Czy gdybym była sfrustrowana, załamana, gdybym chciała popełnić samobójstwo... byłabym w stanie komukolwiek pomóc?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nadal leżała odwrócona plecami do gościa, zwinięta jak embrion.

- Do widzenia. Przywiozę tę ładowarkę, będziesz mogła porozmawiać z Witkiem.

Odpowiedzi nie było.

## 25

*Mamo!*

*Nie odzywałem się przez parę dni. Było kilka powodów. Po pierwsze było mi bardzo zimno w ręce, a w rękawicach jest niewygodnie. Po drugie długopis nie bardzo chciał pisać, chyba z powodu wilgoci.*

*Stało się wiele rzeczy, o których nie mam z kim porozmawiać. Dzwoniłem do Magdy, ale jej komórka musi być wyłączona, bo słyszę tylko, że abonent jest chwilowo nieosiągalny. Pani Beata, do której zatelefonowałem później, wyjaśniła mi, że Magda jest w szpitalu. Czy ktoś jej zrobił krzywdę? Czy to ma związek z zabójstwem Filipiuka? Nic nie rozumiem, a pani Beata nie chciała mi tego wytłumaczyć przez telefon. Nie wiem, co robić. Nie mam nawet pojęcia, gdzie znajduje się ten szpital.*

*Siedzę teraz w barze na dworcu PKS. Właściwie to nie jest bar, tylko budka, w której kupuje się coś do jedzenia, ale obok stoją stoliki i właśnie usiadłem z talerzem gorącej grochówki. Pływa w niej obrzydliwa, tłusta kiełbasa, ale jest mi tak zimno, że zamówiłem tę zupę, bo tylko to mają tu na ciepło. Są jeszcze hot dogi i hamburgery, ale tym bym się przecież nie rozgrzał.*

*Dzisiaj stało się coś bardzo złego. Pobitem dwóch mężczyzn. Pani*



*Beata twierdzi, że miałem prawo się bronić, bo oni chcieli mnie skrzywdzić i okraść. Ale ja się tym bardzo martwię. Nie, Mamo, nie tym, że zadałem im ból. Nienawidziłem ich i dalej nienawidzę, i wcale nie żałuję, że tak postąpiłem. Zresztą w tamtej chwili nie miałem czasu pomyśleć i ocenić, czy to będzie dobre, czy złe. Wszystko zrobiło się samo. Na szczęście samo też się zatrzymało, bo inaczej tłukłbym dalej i pewnie bym ich zabił.*

*Martwię się czymś zupełnie innym. Uświadomiłem sobie, że jeśli ja mogłem pobić obcych ludzi i życzyć im śmierci, to każdy może. Nawet dobry człowiek może pod wpływem takich złych emocji wpaść we wściekłość i popełnić zbrodnię. Więc Magda też, prawda? Wspominała, że „szarpała się” z tamtym zamordowanym facetem, tyle że ja dokładnie nie wiem, co to znaczy. To na pewno jedna z tych sytuacji, kiedy nie należy czegoś rozumieć dosłownie, ale nie omawiałem nigdy tego słowa ani z Tobą, ani z panią Beatą.*

*A co jeśli ona zabiła tego Filipiuka?*

*Nie mogę dalej pisać, Mamo, bo zjadłem już zupę i idę na autobus. Muszę pojechać do pani Beaty i wypytać, co stało się Magdzie. A potem chyba pójdę do babci i wreszcie się wykąpię i wyśpię, bo podobno moje zeznania nie mają znaczenia, więc nie ma sensu, żebym się nadal ukrywał. Tak powiedziała pani Beata.*

*Wiem, że gdybyś tu była, zawiozłabyś mnie do szpitala, do Magdy. Tylko właściwie już nie jestem pewien, czy chciałbym tam pojechać.*

Autobus podjechał na stanowisko i chłopak wsiadł, ciężko powłócząc nogami. Kupił bilet, usiadł na ostatnim siedzeniu, gdzie było zupełnie pusto, i delikatnie zdjął czapkę. Syknął z bólu, ponieważ krew zaczęła już krzepnąć i włosy przykleiły się do wełny oraz do zlepionego w kulkę papieru toaletowego. Nie mogę oprzeć głowy, pomyślał, bo poplamie siedzenie autobusu. Po czym, jakby na przekór samemu sobie, oparł się i natychmiast zasnął. Jeszcze przez

parę minut krew sączyła się leniwie, wsiąkając w tapicerowane oparcie, ale on już tego nie czuł.

Obudziło go przecucie, że powinien natychmiast otworzyć oczy. Autobus zatrzymał się, rżąc i zgrzytając. Witek nieprzytomnie rozejrzał się po wnętrzu pojazdu, a potem zerknął przez szybę. Stawy. O mały włos przespałby swój przystanek. Wstał, z wysiłkiem dźwignął plecak i ruszył do wyjścia. Nogi miał jak z waty. Dopiero teraz poczuł cały ogrom własnego zmęczenia. Pomyślał, że nazajutrz pójdzie do pani psycholog, bo teraz nie miał na to siły.



Do domu nie tyle doszedł, ile się dowłókł. Na jego widok babcia, która oczywiście o tej porze była już podchmielona, wymamrotała coś, w czym domyślił się pytania:

– Jak tam? Wycieczka się udała?

Ponieważ kiwnięcie głową byłoby kłamstwem, bo ani nie była to wycieczka, ani się nie udała, Witek tylko wzruszył ramionami, miętosząc w rękach zakrwawioną czapkę. Starsza pani nie zwróciła na to uwagi, obrzuciła natomiast zniesmaczonym spojrzeniem zabłocone buty wnuka.

– Będziesz sprzątał – powiedziała już wyraźniej. – Napaskudziłeś, jakbyś z pola przylazł.

Chłopak rzucił plecak w przedpokoju i zdjął buty. Babcia poszła już do kuchni, po brzęku szkła poznał, że nałała sobie jeszcze wina. Witek udał się do łazienki i napuścił wody do wanny. Wiedział, że staruszka zaraz zacznie walić w drzwi, żeby mu przypomnieć, ile płaci za gaz. Zazwyczaj dawał za wygraną i kąpał się pod prysznicem, ale nie tym razem. Dziś potrzebował wymoczyć się w wannie, pozwolić gorącej wodzie ogrzać każdy centymetr jego zmęczonego ciała.

Nie spodziewał się, że ledwie zanurzy się po szyję i ogarnie go błogie ciepło, coś w nim pęknie niczym zbyt mocno naciągnięty postronek. Odczuł to tak,

jakby w magiczny sposób ktoś nacisnął w jego sercu jakiś przycisk: otworzyła się tama i łyzy po prostu ruszyły, a wraz z nimi potężny szloch. Może dlatego, że głowa mnie szczypie, myślał bezradnie, próbując zrozumieć, co się z nim dzieje.

Leżał zanurzony po szyję i pozwalał łzom spływać po nieogolonych policzkach. Może leżałby tak jeszcze długo, aż by nie zmarł, ale nagle zorientował się, że wokół jego ramion pojawiły się czerwone nitki krwi, która szybko rozplątywała się, nadając wodzie obrzydliwe różowe zabarwienie. Witek podniósł się gwałtownie, ponieważ zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, że musi umyć głowę, jednak bał się własnej reakcji na widok wanny pełnej krwi.

– To tylko tak paskudnie wygląda – powiedział do siebie, stając nago przed lustrem. – Dużo czerwonego. Tylko tak wygląda.

Zamknął oczy, kiedy nachylał się nad wanną i delikatnie mył włosy. Potem zużył całą rolkę papieru toaletowego na tamowanie krwi, która pod wpływem ciepłej wody zaczęła naprawdę mocno sączyć się z rany. Wreszcie udało mu się powstrzymać krwawienie przynajmniej na tyle, żeby móc owinąć głowę ręcznikiem i pójść do pokoju. Tak właśnie, z turbanem na głowie, aby nie zapaskudzić łóżka, przespał całą noc.

Obudził go skrzeczący głos babci.

– Idziesz do szkoły? – spytała. – Bo jeśli nie, to weź się przynajmniej do jakiejś roboty. Za moich młodych lat takich darmożjadów się do wojska posyłało. Tam by cię od razu nauczyle, co i jak.

Witek w milczeniu podniósł się i obejrzał poduszkę. Na szczęście nie było na niej czerwonych plam. Poszedł do łazienki i ostrożnie odwinął ręcznik. Na głowie miał coś w rodzaju wielkiego kołtuna. Chłopak delikatnie rozplątał palcami włosy, ale z tyłu utworzył się skrzep, więc wyciągnął z szuflady nożyczki i skrócił nieco pozlepiane kędziory. Potem przypomniał sobie, że ma umówione spotkanie z panią Beatą i że nie powinien wyglądać tak niechlujnie. Tego nauczyła go matka: trzeba dbać o to, by jego wygląd nie sprawiał ludziom przykrości. Witek wprawdzie nie rozumiał, dlaczego komuś robi różnicę fakt, że

on się na przykład nie uczesał albo nie ogolił, skoro sam nie zwracał uwagi na wygląd innych ludzi.

Poza Magdą. Właśnie to sobie uświadomił. I dotkliwie odczuł, jak bardzo tęskni za jej widokiem.

## 26

# N

ie możecie po prostu wejść tu i zadać mu tych waszych pytań, które zbijają człowieka z tropu i powodują, że czuje się jak przed oddziałem snajperów – zdenerwowała się Beata Kremczuk. – To nie wchodzi w grę przy kimś takim jak Wit Malczyk.

– Proszę pani... – wychrypiął Wańkosz, zerkając na nią z ukosa, co sprawiało nieco upiorne wrażenie, ponieważ szklane oko wciąż patrzyło przed siebie. – Pani musi zrozumieć, że to jest dość poważna sprawa.

– Ależ rozumiem to doskonale – odparła zimno. – To pan czegoś nie rozumie. Jeżeli ten chłopak się zamknie, to nie wydusicie z niego ani słowa.

– Nie musi się sam zamykać. My go zamkniemy, jeżeli nie będzie z nami współpracował.

Policjant stał przed nią w wyzywającej pozie. Obok niego, wyraźnie zdenerwowany, przestępował z nogi na nogę Paweł. Prawdopodobnie wyczuwał, że żona jest na granicy furii, i usiłował jakoś zapobiec wybuchowi.

– Kochanie – rzucił pojednawczo – przecież będziesz przy tym. Sama ocenisz, czy pytania są...

– Ja będę mu zadawała pytania – warknęła. – Ja i nikt inny. Wy możecie co najwyżej słuchać, jeśli zechce przy was mówić. Pan – zwróciła się do Wańkosza – nie zna sytuacji. To jest dysfunkcyjny dzieciak, który stracił oboje rodziców.

Wychowuje go zapijaczona babcia. Właściwie nie tyle wychowuje, ile karmi i pozwala nocować u siebie. Tylko tyle. Wit ma zaburzenia ze spektrum autyzmu; zresztą diabli wiedzą, jakie ma zaburzenia, bo drugiego takiego przypadku z pewnością nie ma na całym bożym świecie...

– Czyli świr. – Ni to stwierdził, ni zapytał policjant.

– No, nie wiem – powiedziała Beata, cedząc słowa. – Gdybyśmy przeprowadzili testy inteligencji, stawiam miesięczną pensję, że wypadłby pan przy nim jak przedszkolak przy studencie.

Nie należało tego mówić, pomyślała natychmiast, obserwując, jak twarz mężczyzny tężeje pod wpływem zranionej dumy. Cieszył się opinią „mózgowca”, który potrafi rozwiązywać najtrudniejsze zagadki kryminalne. Informacja, że jakiś licealista miałby być inteligentniejszy od niego, nie mogła mu się spodobać.

Paweł spocił się z nerwów. Wprawdzie Wańkosz nie był jego przełożonym, ale to oczywiste, że z kimś takim lepiej nie zadzierać.

– O której przyjdzie ten twój trudny pacjent? – zwrócił się do żony.

– Nie wiem, ale przyjdzie na pewno.

– Po prostu wezwijmy go na komisariat...

– Pan nadal nie rozumie! – Nie wytrzymała, podniosła się z miejsca. Była o kilkanaście centymetrów niższa, ale nie zbiło jej to z tropu. – Psychika tych dzieciaków jest delikatna, nie można się z nimi obchodzić obcesowo. Mało wam dwóch prób samobójczych Madelaine? A jeżeli Witek też targnie się na życie? Wie pan, jakie piekło rozpęta się w mediach?

Doskonale wiedziała, jak na nich podziała groźba „medialnej zawieruchy”. Jeśli istniało coś, czego policjanci kryminalni starali się unikać za wszelką cenę, był to rozgłos i wizyta ekipy telewizyjnej. Zwłaszcza że – Beata wiedziała o tym od Pawła – śledztwo w sprawie zabójstwa Filipiuka utknęło w martwym punkcie. Był to niewątpliwie łakomy kąsek dla lokalnych dziennikarzy.

– Może po prostu zadzwonię do was, kiedy się zjawi – dodała pojednawczo.

– Zanim tu dotrzecie, ja będę miała chwilę, żeby z chłopakiem pogadać, nastawić go pozytywnie...

Urwała, ponieważ drzwi otworzyły się i do pomieszczenia zajrzał Wit Malczyk. Na widok mężczyzny stropił się wyraźnie, jednak wbrew temu, czego się Beata spodziewała, po chwili wszedł do środka.

– Miałem przyjść – mruknął, po swojemu wpatrując się w czubki własnych butów.

Wyglądał bardzo mizernie. Miał dziwnie wystrzyżone włosy i zapadnięte policzki. Jego cera miała niezdrowy odcień. Beata pomyślała, że chłopak powinien się przede wszystkim porządnie najeść.

– Usiądź, Witek – powiedziała łagodnie. – Ci panowie są z policji, chcieliby być obecni przy naszej rozmowie.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, w którym skrywało się bolesne rozczarowanie. To nie tak, chciała zawołać, nie zdradziłam cię, po prostu policja musi cię przesłuchać.

– Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym. – Starła się mówić spokojnie, choć głos jej drżał. – Magda już zeznawała, teraz chcemy usłyszeć twoją wersję wydarzeń.

– Młody człowieku – zachrypiął Wańkosz. – Pani zasugerowała, żebyś usiadł. Słyszałeś?

– Tak – potwierdził Witek, po czym zasłonił uszy dłońmi. Nadal stał.

Beata doskonale wiedziała, co to oznacza. Zbyt dużo bodźców i emocji. Zapewne słowa policjanta wydały się chłopakowi wściekle fioletowe. Pamiętała, że on nie znosi tego koloru i reaguje na niego jakimś wewnętrznym dygotem. Trzeba rozładować napięcie. Wstała, podeszła do Malczyka i delikatnie dotknęła jego łokcia.

– Chodźmy – szepnęła. – Nie zrobiłeś nic złego, nie musisz się denerwować. Przejdziemy do większego pomieszczenia, tu jest zbyt ciasno dla czterech osób.

Paweł, który w takich sprawach bezgranicznie ufał żonie, bez słowa

otworzył drzwi i przepuścił najpierw nastolatka, a potem Beatę. Wańkosz mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak zduszone przekleństwo. Przez chwilę stał niezdecydowany, potem jednak poszedł za pozostałymi, choć jego wyraz twarzy świadczył o tym, że gdyby to zależało od niego, zwyczajnie skułby tego smarkacza i pokazał mu, jak się kończy zatykanie uszu, kiedy mówią do niego starsi.



# W

itek zapragnął zwinąć się w ciasny supeł i wpełznąć w głąb samego siebie, aby odgrodzić się od tego mężczyzny z nieruchomym okiem, które wydawało się żyć własnym, szklanym, zimnym życiem. Bał się tego policjanta, podskórnie czuł, że z jego strony grozi mu coś złego.

Pani Beata starała się załagodzić sytuację. Zaprowadziła ich do dużej sali, gdzie znajdował się okrągły stół i siedem krzeseł. Witek usiadł w taki sposób, aby światło nie raziło go w oczy, i aby znaleźć się jak najdalej od jednookiego.

Pytania zadawała wyłącznie pani psycholog, ale chłopak doskonale wyczuwał, że nie ona jest ich prawdziwą autorką. Najwyraźniej wcześniej rozmawiała o tym wszystkim z policją, była z nimi związana jakąś umową. Witek, który nie znał świata i nie rozumiał skomplikowanej siateczki powiązań między ludźmi, traktował to jak zdradę. Nie chciał rozmawiać. Jeśli nie uciekł, to wyłącznie dlatego, że liczył na informacje, w którym szpitalu znajduje się Magda. Może nawet na to, że pani Beata zawiezie go do dziewczyny.

Dlaczego chodziłeś za Madelaine Robson? Co robiłeś, kiedy ona udzielała lekcji Karolowi Filipiukowi? Czy coś ich łączyło? Czy opowiadała ci o ich relacji? Co czułeś? Byłeś zazdrosny? Chciałeś mu zrobić krzywdę? Czy tamtego dnia, kiedy Madelaine wybiegła, wróciłeś w to miejsce? Dlaczego potem uciekłeś z domu? Co ukrywasz? Co ukrywa ta dziewczyna? Dlaczego chciała się

zabić?

I tak dalej. Te same pytania, tylko ubrane w inne słowa. Pewnie po to, żeby złapać go na niekonsekwencji. Potem pouczenia: co będzie, jeśli coś zatai, co grozi za składanie fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa. Witek miał ochotę wrzeszczeć. Zamykał oczy, zatykał uszy. Pani Beata czekała chwilę, a potem pytała znów.

Wreszcie sobie poszli. Jednooki i ten drugi, Kremczuk. Pani psycholog przez chwilę wpatrywała się w widok za oknem w ciężkim milczeniu, które wydawało się Witkowi podobne do nasączonej wodą gąbki w sinoniebieskim kolorze. Witek podniósł się i też chciał pójść, ale pani Beata ręką pokazała mu, żeby został jeszcze chwilę. Sam nie wiedział, dlaczego usłuchał. Przecież był na nią zły.

– Przepraszam cię – szepnęła. – To wszystko wyszło nie tak, jak sobie wyobrażałam.

– Powiedzieli, że mam zakaz zbliżania się do Magdy – zauważył Witek. – Co to znaczy? Że nie mogę do niej pojechać?

– Zrozum, to jest bardzo poważna sprawa. Chodzi o zabójstwo. Wierzę, że nie masz z tym nic wspólnego. I wierzę, że Magda też tego nie zrobiła. Ale czy do końca zdajesz sobie sprawę, co to wszystko oznacza?

Pokręcił głową.

– Że zabójca jest gdzieś w pobliżu. Być może przygląda się działaniom kryminalnych, może obserwuje ciebie i mnie... Jest ciekaw, ile już wiemy, ile wie mój mąż i ten drugi policjant. Rozumiesz?

Witek powoli kiwnął głową. Może to dobrze, że Magda znalazła się w szpitalu, pomyślał. Jest przynajmniej bezpieczna.

– Chciałbym ją tylko zobaczyć – odezwał się, choć przedtem obiecywał sobie, że nigdy więcej nie zwierzy się pani Beacie.

– Wiem. Ona też by tego chciała.

– Nie, ona nie chce. Wygoniła mnie.

– Nieprawda. Prosiła mnie o ładowarkę, bo zamierzała do ciebie zadzwonić.

– Ale teraz pani jej nie zawiezie tej ładowarki?

– Nie. Witek, nie zrozum mnie źle, ale to oficjalny zakaz. Ten policjant ma swoje powody. Chodzi o to, żebyście nie mogli ustalić ze sobą zeznań. Ale nie martw się. Dopóki każde z was osobno relacjonuje to samo, dopóty muszą wam wierzyć. Bo przecież mówiąc prawdę, nie można się pomylić.

– Ale dlaczego w ogóle nas podejrzewają?

– Nie wiem, Witek. Nie mam pojęcia, ile udało się im ustalić. Wiem natomiast, że nie mają żadnych dowodów przeciwko wam, bo gdyby je mieli, aresztowaliby was.

– Magdę aresztowali. To dlatego próbowała zrobić sobie krzywdę, prawda?

– Niezupełnie. Została zatrzymana do wyjaśnienia. To nie to samo co aresztowanie.

Witek milczał przez chwilę. Rozpaczliwie chciał skontaktować się z Magdą, nawet za cenę złamania prawa. Rzecz w tym jednak, że nie miał pomysłu, jak się do tego zabrać.

– Powie mi pani, w którym szpitalu ona leży?

Pani Beata długą chwilę patrzyła na niego poważnie, zanim odpowiedziała.

– Nie. Nie mogę.

– Dlaczego? – zapytał z rozpaczą.

– Bo wiem, co się wtedy wydarzy. Spakujesz plecak albo nawet tego nie zrobisz i po prostu tam pójdziesz. Tak jak do tych Rakowic. Nie zważając na to, że ktoś cię może po drodze napaść, że możesz zamarznąć, jeśli przyjdą mrozy, nie śpiąc, nie jedząc...

– Mam pieniądze. Mogę po prostu pojechać autobusem...

– Witek, właśnie w tym rzecz, że nie możesz. Policja zabroniła, pamiętasz? Dla dobra śledztwa po prostu zrób to, czego oni chcą. To nie jest wymierzone w ciebie.

– A w kogo?

– Chcą znaleźć winnego. Tylko tyle. Ktoś zabił Filipiuka w ten sam wieczór, kiedy on napastował twoją dziewczynę. To oczywiste, że znalazłeś się na liście podejrzanych. I równie oczywiste, że jest na niej Madelaine.

Witek milczał. Przesłuchiwał w głowie słowa „twoją dziewczynę” – zupełnie jakby puszczał wciąż na nowo ulubione nagranie. Tylko dwa wyrazy, a najpiękniejszy kolor na świecie. Złocistość miodu, smugi słońca na żółtawych listkach brzozy, pluszowy brąz kapeluszy grzybów. Wszystko, co najładniejsze.

– Chciałbym napisać do niej list – rzucił impulsywnie. – Doręczyłaby go pani? Nie napiszę nic o zabójstwie. Ani słowa.

– Nie wiem. Nie powinnam. – W głosie pani psycholog zabrzmiało wahanie.

Pewnie zastanawia się, czy nie zaszyfruję tam jakiejś wiadomości, przemknęło Witkowi przez głowę. A ja przecież chcę tylko, żeby Magda o mnie nie zapomniała. Żeby wiedziała, że tęsknię i czekam na nasze rozmowy.

– Dobrze – powiedziała w końcu pani Beata. – Ale uprzedzam, że go przeczytam. Muszę to zrobić. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – Pani musi wiedzieć, czy nie napisałem nic o tym... morderstwie.

Dała mu kartkę i długopis. Witek zastanawiał się przez chwilę, zamknął oczy i usiłował wyobrazić sobie, że trzyma w dłoni telefon, patrzy na Magdę przez okno opuszczonego poddasza i obserwuje, jak ona przyrządza sobie coś do jedzenia. Jasne włosy ma splecione w luźny warkocz, jest w koszuli nocnej, na którą zarzuciła jeden ze swoich obszernych swetrów. Zateęsknił za tym widokiem tak, że aż zabolalo go gdzieś w klatce piersiowej.

Otworzył oczy i wziął głęboki wdech jak przed skokiem do wody.

*Magda!*

*Nie pozwalają mi do Ciebie pojechać ani porozmawiać z Tobą przez telefon. Żałuję teraz, że wtedy uciekłem, bo nie mogliśmy się pożegnać. Kazałaś mi wyjść, nie chciałaś ze mną rozmawiać, więc nie zdążyłem Ci*

*nic wyjaśnić. To nie było tak, jak myślisz. Nie chciałem być natrętem, nie jestem stalkerem. Chodziłem za Tobą od września, bo się w Tobie zakochałem. Wiem, że to dziwne, zakochać się w dziewczynie, której się nie zna, ale ja w ogóle jestem dziwny. Wszystko jest we mnie dziwne. A w dodatku zakochałem się pierwszy raz i zupełnie nie wiedziałem, co z tym wszystkim zrobić.*

*Nadal nie wiem.*

*Chciałem tylko na Ciebie patrzeć, nie miałem złych zamiarów i chyba nawet wcale nie zamierzałem zawrzeć z Tobą znajomości. Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? Potoczyła się sama, nie sądziłem, że zaczniemy rozmawiać. Myślałem, że tylko zadzwonię, usłyszę Twój głos i od razu się rozłączę.*

*A potem Ty zadzwoniłaś do mnie. Pamiętasz?*

*Nie wiem, co jeszcze napisać. Bardzo bym chciał usłyszeć Twój głos, a jeszcze bardziej – zobaczyć Cię w jednym z Twoich kolorowych swetrów. Chociaż nigdy nie lubiłem kolorów. Ale te Twoje są inne.*

*Nie umiem dobrze pisać.*

*Przekazuję ten list przez Panią Beatę. Jest moim psychologiem. Pamiętasz? Kiedyś Ci o niej mówiłem. Ona wierzy, że nie zrobiliśmy nic złego, ale nie może złamać zakazu policji, więc nie przywiezie Ci ładowarki, o którą prosiłaś.*

*Mam nadzieję, że szybko znajdą tego zabójcę i wyjdiesz ze szpitala, a wtedy będzie jak dawniej, będę mógł do Ciebie dzwonić wieczorami. Albo Ty do mnie.*

Witek

# B

Beata czekała, aż Madelaine skończy czytać.

– Jeszcze chwilkę.

Albo szło jej to naprawdę powoli, albo przebiegała wzrokiem tekst wielokrotnie. Siedziała na szpitalnym łóżku tyłem do gościa, z plecami skulonymi, jakby było jej zimno. Beata wiedziała, że dziewczyna chce ukryć emocje, dlatego chowa twarz.

– Nie powinnam tego robić – powtórzyła pani psycholog. – Jeśli ktoś się dowie, że przekazałam ci ten list, wszyscy troje będziemy mieli ogromne kłopoty.

– Właściwie dlaczego? – zapytała Madelaine, odwracając się wreszcie i przyciskając list do piersi takim ruchem, jakby ktoś usiłował go jej wyrwać z rąk. – Przecież tu nie ma nic złego.

Beata nie przyznała się, że czytała korespondencję.

– A co Witek pisze? – zapytała. – Opowiedział ci, gdzie był, kiedy uciekł?

– On nie uciekł, tylko się schował – odparła spokojnie dziewczyna. – I nie, nie opowiedział. Kiedyś opowie, gdy już to wszystko się skończy i będziemy mieli czas na normalną rozmowę.

– Witek ma problemy z rozmową. Musisz pamiętać, że...

– On nie jest taki jak wszyscy, wiem – przerwała jej Madelaine. – Nie bez

powodu mówią na niego „Przypał”. Tylko wie pani... Ja też powinnam mieć taką ksywkę. No, nie taką samą, ale jakąś podobną. Nie jestem taka jak inni.

– A jaka jesteś, Madelaine? – Beata przysunęła się bliżej, ale wówczas dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej.

– *I'm an alien.* – Dziewczyna chyba nie zorientowała się, że na chwilę przeszła na angielski. – Lubię samotność. Lubię, kiedy wokół mnie jest kilka metrów przestrzeni i nikt w tę przestrzeń nie wchodzi. Wystarczy?

– Nie. Nie wystarczy. Nadal nie rozumiem. Wiele osób ma taką dość poszerzoną strefę intymną i...

– Nie, to nie o to chodzi. Pani nie rozumie. Ja w ogóle nie lubię... ludzi. Nie lubię, kiedy są.

Beata przyglądała się jej w milczeniu. To, co mówisz, nie świadczy o tobie zbyt dobrze, pomyślała. Więc zastanów się, panienko.

– Nieważne. Zmieńmy temat. Czy byłaby pani tak miła i... Czy zawiezie pani list Witkowi? Chciałabym mu odpisać.

Pokiwała głową. Nie miała odwagi dodać tego, co powiedziała chłopakowi: że będzie musiała ten list przeczytać. Wyszła na korytarz, żeby dać dziewczynie odrobinę intymności przy redagowaniu odpowiedzi. W głowie wciąż pobrzmiwały słowa: „Nie lubię ludzi. Nie lubię, kiedy są”. Czy to nie jest tekst żywcem wyjęty z pamiętnika psychopaty? Czy osoba, która tak mówi, mogłaby zabić, gdyby ktoś naruszył jej strefę intymną? Albo czy mogłaby nakłonić do zabójstwa zakochanego w niej do szaleństwa nastolatka, który nie do końca odróżnia dobro od zła?



Beata przejechała kilkanaście kilometrów, zanim wreszcie zdecydowała się zajrzeć do listu. Jeśli będzie tam cokolwiek, co wzbudzi mój niepokój, porozmawiam o tym z Pawłem, postanowiła. Robię to tylko dlatego, że nie ufam tej dziewczynie. Nie z ciekawości. Absolutnie.

Zjechała na leśny parking i zaparkowała przy wielkim, ośnieżonym świerku. Od dwóch dni niemal bez przerwy sypał drobny śnieg – na szczęście droga do Stawów była wystarczająco rozjeżdżona, by nie sprawiało to problemów kierowcom. Świat wyglądał bajkowo. Beata wyciągnęła z torebki złożoną na czworo kartkę, rozwinęła ją i zaczęła czytać.

Ręce jej drżały, ale tylko odrobinę.

*Witek!*

*Dziękuję za Twój list! Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie to znaczy, że tu, gdzie teraz jestem, dotarł do mnie Twój głos. I jaka to ulga, że się na mnie nie gniewasz.*

*Uświadomiłam sobie, że to był dla Ciebie pierwszy raz. Po raz pierwszy do mnie napisałeś. Mnie jest łatwiej, ponieważ napisałam do Ciebie mnóstwo listów. Tyle że nie wiedziałam wtedy, jak wyglądasz, więc były one trochę bezosobowe. Wyobrażałam sobie chyba jakiegoś chudego facecika w okularkach. Wiesz, taki stereotypowy obraz „mózgowca” – kogoś, kto potrafi mnożyć w pamięci skomplikowane liczby, podaje bez namysłu rozwiązania najtrudniejszych zadań, ale za to nie chwyta dowcipów. Tak się ich przedstawia w filmach: mały, blady, z zapadniętą klatką piersiową, łysawy, w okularkach.*

*Tymczasem mój tajemniczy rozmówca o nadludzkiej inteligencji okazał się potężnym, zarośniętym Rumcajsem. Pamiętasz taką kreskówkę? Oglądałam ją kiedyś, moja mama miała na kasetach video. Rumcajs to był dobry rozbójnik. Mama miała szczególny sentyment dla tej bajki, przywiozła ją z Polski.*

*W tamtych listach, które porwałam na kawałeczki i spuściłam z wodą w kiblu, opowiedziałam Ci wszystko o mojej mamie i dzieciństwie w Irlandii. Więc teraz dziwnie mi się pisze, bo mam nieznośne wrażenie, że Ty już to wszystko wiesz, a przecież tak nie jest. Będę musiała*



*opowiedzieć Ci wszystko od początku. Jeśli tego nie zrobię, nigdy mnie nie zrozumiesz. Zresztą pewnie i tak nie zdołasz, nawet jeżeli wywlekę na wierzch wszystkie flaki. Ale spróbować warto. Zwłaszcza że chyba mi pomagało. To pisanie.*

*Szkoda, że wtedy – gdy widzieliśmy się po raz ostatni – wyszedłeś. Czasem kiedy ktoś mówi „wyjdz”, tak naprawdę ma na myśli „zostań i weź mnie za rękę”. Niekiedy to oznacza wołanie o pomoc. Może gdybym nie została sama tamtego dnia, nie wystraszyłabym się tak bardzo. Niby byłam przygotowana. Wiedziałam, że policjanci po mnie przyjdą i będą chcieli zadać parę pytań. Już raz przez to przechodziłam. Przygotowałam się: właśnie wtedy porwałam na kawałki wszystkie listy, które wcześniej do Ciebie napisałam, i spuściłam w ubikacji. Zniosłam też drobiazg dla Ciebie w to samo miejsce, gdzie kiedyś czekał prezent dla mnie. Na pewno znajdziesz. Wiedziałam, że mogą mnie zatrzymać na jakiś czas. Nie wiedziałam natomiast, że Ty odejdziesz na tak długo. I że ten facet ze sztucznym okiem będzie mnie traktował tak, że poczuję się znowu bardzo źle. Zapomniałam już, że można być aż tak nieważnym, niewidocznym, niesłyszalnym. Cokolwiek bym powiedziała, nikt nie słuchał. Jakikolwiek barwy ostrzegawcze założyłabym na siebie, nikt mnie nie widział. Dlatego uciekłam przed nim do szpitala.*

*Wiem, że piszę trochę niezrozumiale, ale to dlatego, że się spieszę. Twoja pani psycholog patrzyła na mnie nieprzychylnie; wiem, że mi nie ufa. Boję się, że wcale nie odda Ci tego listu.*

*Napisz do mnie.*

*Magda*

Beata zamyśliła się głęboko. Ta dziewczyna skrywała niejedną tajemnicę – to było pewne. Instykt psychologa podpowiadał jej, że listy do Witka pomogą odpowiedzieć na wiele pytań. Dlatego – nawet jeśli było to absolutnie sprzeczne z tym, czego życzył sobie Wańkosz i czego spodziewał się po niej Paweł –

zamierzała nadal pośredniczyć w wymianie korespondencji. I nadal czytać  
wnikliwie każdą linijkę.

## W

itek szedł przed siebie jak w transie. Minął budynek poczty, przeszedł pod starym ponemieckim wiaduktem i skręcił w lewo, na gruzowisko pozostałe po wyburzeniu grożącej zawaleniem starej mleczarni. Wiedział, że o tej porze roku nikogo nie spotka w zakamarkach utworzonych po wywiezieniu cegieł i pozostawieniu jedynie nieforemnych brył betonu, których nikomu nie opłaciło się uprzętnąć.

Chciał być sam, aby w spokoju przeczytać list od Magdy. Właściwie „chciał być sam” to za mało powiedziane – on chciał zapomnieć, że świat istnieje, że jest na nim ktokolwiek inny poza nim i Magdą. Od chwili, gdy pani Beata wręczyła mu kartkę, był jak nieprzytomny. Nie umiałby odtworzyć w myślach tego, jak wyszedł z gabinetu psychologa, czy cokolwiek powiedział, czy się w ogóle pożegnał.

Wreszcie znalazł zaciszne miejsce: betonowe płyty utworzyły tam coś w rodzaju namiotu, w którym wprawdzie było zimno, ale przynajmniej sucho. Wokół padał śnieg, wielkie płatki spadały cicho na ziemię niczym martwe motyle, a Witek, skulony z zimna, siedział na resztkach zburzonego muru i czytał.

Pierwszy raz w życiu dostał od kogoś list. Matka, jedyna osoba, której miłość odczuwał namacalnie, nie pisała do niego, bo nie było takiej potrzeby –

nigdy się przecież nie rozstawali. Potem – po jej śmierci – nie było nikogo, kto pisałby do Witka, a już na pewno takiej potrzeby nie odczuwała babcia, która przygarnęła wnuka raczej dla świętego spokoju niż z poczucia jakiegokolwiek więzi rodzinnej.

Tym bardziej więc teraz, kiedy po raz pierwszy trzymał w zmarzniętej ręce list – który ktoś napisał z myślą o nim: o Witku Malczyku, Przypale, chłopaku niepasującym do świata – nie radził sobie ze wzruszeniem. Z trudem panował nad oddechem, rozsadzającym mu klatkę piersiową.

Po przeczytaniu chciał zerwać się i biec. Najpierw po prostu przed siebie, gdziekolwiek, ale zaraz potem do Magdy. Po chwili ochłonął na tyle, by zrozumieć, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie do domu i napisze kolejny list. Ona czeka na odpowiedź. Zapewne nie ma w tym szpitalu zbyt wiele do roboty – jeszcze mniej niż on, kiedy mieszkał w dróżnikówce. Nie może zająć się zbieraniem drewna, a w bezsenne noce szwendać się po okolicy. Nic nie może – poza leżeniem, patrzeniem w ścianę i rozmyślaniem.

Przeczytał list od Magdy jeszcze raz. „Zaniosłam też drobiazg dla Ciebie...”. Dopiero teraz zwrócił uwagę na te słowa. „W to samo miejsce, gdzie kiedyś czekał prezent dla mnie”. Witek podniósł się i schował list do kieszeni kurtki. W coraz gęściej sypiącym śniegu ruszył w stronę Biedronki i Netto, a gdy dotarł na zaśnieżony parking, skręcił w nierozjeżdżoną drogę prowadzącą przez pole w stronę dawnego przejazdu kolejowego. Ostatnie metry przebył biegiem. Wyciągnął telefon i włączył latarkę, ponieważ zrobiło się zupełnie ciemno. Otworzył starą skrzynkę. Jest. Zawinięta w woreczek foliowy koperta, na której zamiast imienia i nazwiska widniało tylko słowo „przepraszam”. W środku znajdowało się coś twardego. Drżącymi rękoma Witek rozerwał folię, a następnie papier. Ze zdumieniem stwierdził, że dostał... klucz. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co o tym myśleć, a potem nagle zrozumiał – ma iść do mieszkania Magdy.



Czuł się jak złodziej, kiedy otwierał drzwi, a potem zapalał światło. W mieszkaniu było chłodno. Panował lekki rozgardiasz, jakby Magda opuszczała to miejsce w pośpiechu i nie zdążyła posprzątać. W korytarzyku leżały rozrzucone kaptcie, obok luźny sweter, który chłopak doskonale znał. Magda używała go jako czegoś w rodzaju szlafroka. Musiał zsunąć się z wieszaka.

Witek zajrzał do kuchni. Na stole znalazł pudełko obwiązane niebieską kokardką. Rozwiązał je i zajrzał do środka. Dwie babeczki, intensywnie pachnące kokosem. Ostrożnie wyjął je z opakowania. Pokryte były szarawym puszkciem pleśni. Witek rozejrzał się w poszukiwaniu kosza na śmieci, ale po namyśle zaniósł ciastka do ubikacji i tam wyrzucił.

Pod pudełkiem znalazł kartkę: *Jeszcze raz przepraszam. Jesteś moim jedynym przyjacielem, a ja Cię źle potraktowałam. Szczególnie teraz boję się być sama i marzę o tym, żebyś odebrał telefon, a Ty zniknąłeś. Mam za swoje.*

*Kiedyś powiedziałeś, że łazisz bez celu po ulicach, bo nie lubisz być w domu. I że nikogo nie obchodzi, czy jadłeś kolację. Mnie obchodzi, Witek. Zjedz dzisiaj babeczki kokosowe – sama je dla Ciebie upiekłam.*

*Nie musisz już marznąć na dworze. Jeśli chcesz, zaczekaj na mnie tutaj. Nie wiem, kiedy wrócę i czy w ogóle dam radę, ale jeśli tak się stanie, chciałabym, żebyś tu był i żebyśmy mogli dokończyć tamtą rozmowę. A także żeby Pan Trawiastogłowy wciąż żył. Pewnie to głupie, ale przywiozłam go z Irlandii i jestem do niego przywiązana. Dotrzymywał mi towarzystwa w najczarniejsze dni.*

Zdezorientowany chłopak rozejrzał się po pomieszczeniu. Już po kilku sekundach zrozumiał, kim jest Pan Trawiastogłowy – na parapecie stało naczynie podobne do laboratoryjnej kolby. Ze znajdującej się na nim kulki uszytej z brązowego płótna wyrastały nędzne kosmyki wątlej trawy. Od spodu sterczało coś w rodzaju knota, który zapewne powinien być zanurzony w wodzie. Witek delikatnie zdjął „główkę” i postawił naczynie pod kran.

*Magda!*

*Niestety babeczki były spleśniałe; pewnie nie spodziewałaś się, że tak długo to potrwa. Ale i tak dziękuję. Pamiętam, kiedy ostatnio dostałem coś, co byłoby zrobione z myślą o mnie – to był szalik wydziergany na drutach przez moją mamę. Niebieski, dość ciemny, z jaśniejszymi smugami, bo wykonany ze specjalnej cieniowanej włóczki. Trochę gryzł mnie w szyję, więc podarowałem go pewnemu pijakowi na zielonogórskim deptaku. Mamie powiedziałem, że dałem ubogiemu. Jak już Ci kiedyś wspominałem, nie potrafię kłamać, a to przecież nie było kłamstwo. Zresztą ona się ucieszyła, ponieważ rzadko zdarzało mi się okazywać empatię. Według niej był to przejaw normalności.*

*Nie wiedziałem wtedy, że ostatni raz dostałem coś od matki. Gdybym wiedział, pewnie bym go zachował. W wielu sprawach postąpiłoby się inaczej, gdyby człowiek mógł znać choćby najbliższą przyszłość.*

*Są tacy, którzy umieją przewidzieć, co się może zdarzyć. Ja tego nie potrafię. Umieję tylko – już po fakcie – bawić się w „co by było, gdybym postąpił inaczej...”. Tej zabawy uczyła mnie matka, a potem trenowałem to z panią psycholog.*

*Kiedyś Ci powiedziałem, że jestem pozbawiony wyobraźni, ale pewnie mi nie uwierzyłaś. Wtedy jeszcze nie wiedziałaś, że chłopak, z którym rozmawiasz, to Przypał.*

*Straciłem Cię z oczu, Magda. Jesteś za daleko, a ja nie mogę sobie z tym poradzić. Zastanawiam się, co można było zrobić lepiej. Rozważam różne scenariusze. Gdybym na przykład, zamiast wędrować wzdłuż nasypu do Rakowic, żeby móc podładować komórkę i do Ciebie zatelefonować, napisał list i włożył go do skrzynki przy przejeździe... Wówczas znalazłbym klucz, wszedłbym tu i czekałyby na mnie muffinki, a Pan Trawiastogłowy miałby bujną czuprynę.*

*To rozumowanie ma jednak pewien słaby punkt: nie mogłem napisać*

*do Ciebie listu, ponieważ wiedziałem, że nie ma Cię w domu. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziewasz. Wieczorami zakładałem na siebie kilka warstw ubrań i przychodziłem pod Twój blok. Nigdy nie paliło się światło, choć przedtem wiele razy obserwowałem, jak je zapalasz; widziałem, o jakich porach robisz sobie posiłek i kiedy chodzisz spać.*

*Nie gniewaj się. Wiem już, że nie podobało Ci się, że za Tobą chodzę. Ale wówczas nie wiedziałem.*

*No więc światło było ciągle zgaszone. Martwiłem się. Snułem się po Stawach, raz nawet zawędrowałem pod dom Filipiuka. Widziałem taśmy policyjne wokół tarasu.*

*Zastanawia mnie, co się stało z psem. Nie wiesz?*

*Przepraszam, że piszę chaotycznie. To dlatego, że nie bardzo umiem rozmawiać. Kiedy się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że jedyną osobą, z którą umiałem prowadzić rozmowę, byłaś Ty.*

*Bardzo ucieszył mnie klucz. Będę tu na Ciebie czekał. Lepsze to niż marznąć na ulicy albo w dróżnikówce.*

*O dróżnikówce kiedyś Ci opowiem. Moglibyśmy nawet pójść tam kiedyś na spacer, gdy już przyjdzie wiosna.*

*Nie wiem, co jeszcze napisać. Kiedy rozmawialiśmy, było łatwiej. Nawet jeżeli nie miałem pojęcia, co powiedzieć, Ty się odzywałaś i jakoś nam szło.*

*Proszę, napisz do mnie jak najdłuższy list. Kiedy Cię nie ma, znowu jestem zupełnie sam.*

*Witek*

Od tamtego dnia chłopak spędzał sporo czasu w mieszkaniu Magdy. Posprzątał, poukładał wszystkie drobiazgi tak, aby tworzyły rytmiczny porządek – na szczęście dziewczyna miała mało przedmiotów, więc niewiele było z tym roboty. Zdjął znieawidzone tkaniny w indiańskie wzory i dzięki temu wpuścił

więcej światła do wnętrza. Kupił storczyka o purpurowych płatkach i ustawił go na kuchennym parapecie. Wyprał śpiwór i wypłukał go w wodzie z dodatkiem olejku z werbeny, a potem klął jak szewc, ponieważ nasączony wodą wkład za nic nie chciał wyschnąć. Trzeba było kupić sznurek i rozciągnąć go między szafą a drzwiami od łazienki, żeby wreszcie pozbyć się wilgoci. Po co to robię, pytał Witek sam siebie. Po co wtrącam się w jej życie?

– Ponieważ nie wiesz, co innego mógłbyś uczynić, żeby być bliżej niej – odpowiedział swojemu odbiciu w plastikowej szybce lodówki, z której właśnie powyrzucał zepsute resztki dżemu i musztardy oraz zeschnięty serek topiony. – I ponieważ jesteś chory z tęsknoty za czymkolwiek, czego ona choćby dotykała.



# M

ijały krótkie, zimowe dni i zbyt długie noce. Magda pisała codziennie, ale pani Beata dostarczała te listy co kilka dni, dlatego Witek dawkował sobie wiadomości od dziewczyny, aby dłużej się nimi cieszyć.

Znów zaczął chodzić do szkoły. Trochę z nudów, a trochę dlatego, że nie kosztowało go to specjalnie dużo wysiłku – wystarczyło przejrzeć podręczniki, żeby nadrobić zaległości i zaliczyć kilka testów. Martyna zaoferowała pomoc koleżeńską, skserowała Witkowi notatki i nawet wpadła dwa razy, żeby go przepytac z biologii i chemii.

Poza tym lubił być na bieżąco – wiedzieć, „co ludzie gadają”, a nigdzie nie można nasłuchać się tylu nowin, co w małomiasteczkowym liceum. Zwłaszcza gdy się jest Przypałem, na którego nikt nie zwraca uwagi.

Po kilkunastu dniach wiedział już wszystko, co go interesowało. Po pierwsze, że policja nie zdołała nic ustalić w sprawie makabrycznego zabójstwa. Jakimś cudem, choćby sprawa była nie wiadomo jak tajna, w małym miasteczku takie wieści zawsze się rozejdą. Sztuką było jedynie odsiać ziarno od plew – bo wiadomo, że każdy, kto tę wieść przekazywał dalej, dodał do prawdy coś od siebie. Witek dowiedział się więc, że zwłoki Filipiuka, z kilkoma ranami kłutymi w okolicach gardła, leżały przykryte śniegiem na tarasie. Jeden z chłopaków twierdził, że „przykryte” to za dużo powiedziane – po prostu przyszła odwilż,

śnieg zsunął się z dachu i trafiło na trupa. W sumie była w tym jakaś logika.

Żadnej logiki nie było natomiast w kolejnych sensacjach. „Podobno” Filipiuk miał ściągnięte spodnie, a w penisie... wkład od długopisu. Witek nigdy o czymś takim nie słyszał, ale od samego myślenia o tym robiło mu się niedobrze. Usiłował dowiedzieć się czegoś na temat śladów biologicznych, które zostawił morderca – ale albo był to ktoś tak sprytny, że wszelkie ślady pozacierał, albo po prostu gawiedź szkolna nie była tak dobrze poinformowana, jak jej się zdawało.

Martyna, zapytana o psa, bardzo się zdziwiła.

– A tam w ogóle był jakiś pies? Może to trzeba powiedzieć policji?

Witek machnął ręką.

– Oni na pewno wiedzą. Przesłuchiwali Magdę.

– Magdę? Masz na myśli Madelaine? – Głos Martyny stał się czujny. – A co ona ma do tego?

Witek spojrzał zdziwiony na jej usta. Wyływały z nich fioletowe słowa. A przecież wydawało mu się, że Martyna jest do niego przyjaźnie nastawiona.

– Przecież wiesz. Udzielała Filipiukowi korepetycji.

– A, tak. Słyszałam o tym. Ale myślałam, że to bujda.

Słowa nadal miały odcień fioletu i Witek nagle zrozumiał: Martyna nie lubiła Magdy. Zapewne jej nie ufała. Zastanawiał się nad tym przez chwilę i z każdą sekundą coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że wszyscy, którzy mówią o Madelaine, używają tego samego tonu. Jadowitego. Złego. Nieufnego.

– W każdym razie – zakończyła Martyna – mnie się wydaje, że policji lepiej powiedzieć o tym psie. A on był jakiś duży...? Owczarek czy coś w tym stylu? Bo taki facet jak Filipiuk to chyba miał dużego zwierzaka.

– Dużego – potwierdził Witek. – Chyba mastiffa.

– No, ale skoro mówisz, że policja już o tym wie, to rzeczywiście nie ma sensu tego zgłaszać. – Dziewczyna zmieniła temat. – To jak? Jutro też wpaść? Mogę cię popytać z kwasów karboksylowych.

- Po co? – Witek wzruszył ramionami. – Przecież wystarczy, że przeczytam.  
– No tak. Ciągłe zapominam, że ty się uczysz inaczej niż my wszyscy.

Nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, dlaczego Martyna uparła się, aby przyjść i pomóc mu w nauce. Nie prosił przecież o to – zresztą o nic w ogóle nie prosił. Jak dawniej unikał towarzystwa, nie spoglądał ludziom w oczy, jedynie przysłuchiwał się rozmowom. Miał jednak niejasne wrażenie, że rówieśnicy zaczęli traktować go inaczej. Nie tylko Martyna – zresztą ona akurat najmniej, bo zawsze usiłowała się nim na swój pokręcony sposób „opiekować” – ale zasadniczo wszyscy zmienili swój stosunek do niego. Zastanawiał się czemu. Musieli w jakiś szczególny sposób zinterpretować jego kilkutygodniową nieobecność w szkole. Witek nie wykluczał też, że za tą zmianą – ledwie wyczuwalną, ale jednak – stała pani Beata. Albo policja. Tak czy owak, było to niepokojące, jak każda rzecz, której nie rozumiał.

Z dnia na dzień coraz więcej czasu spędzał u Magdy, coraz mniej w domu babci. To była prawdziwa ulga: nie musieć patrzeć, jak ubywa wina w butelce, nie musieć „skoczyć” do pobliskich delikatesów po kolejne. Wpadał tylko na obiad, brał w kieszeń coś do przegryzienia w porze kolacji – i znikał. Pewnego dnia odważył się wreszcie i nie wrócił na noc. Nie zdobył się jednak na spanie na materacu dziewczyny. Czuł, że byłaby w tym intymność, na którą Magda nie wyraziła zgody. Przyniósł sobie karimatę i własny śpiwór – ten sam, w którym spał w dróżnikówce.

*Magda!*

*Moje dni dzielą się teraz na dobre, kiedy dostaję listy od Ciebie, i te pozostałe, może nie tyle złe, co nijakie, bez wyrazu. Kiedy pani Beata przywozi mi zapisane Twoim pismem kartki, wychodzę z tego świata przez wąskie, białe drzwi – i przenoszę się do Ciebie, do szpitala. Wprawdzie nie wiem, jak tam jest, bo nigdy nie byłem w szpitalnej sali. Oczywiście z wyjątkiem tych kilku dni tuż po narodzinach, ale ich – tu*

*niespodzianka – nie pamiętam.*

*Ostatnio opowiadałaś o tym psychiatrze, który z Tobą rozmawia. Nie możesz mu po prostu powiedzieć, że jesteś już zdrowa? Wówczas wypuściłby Cię ze szpitala i moglibyśmy porozmawiać, zamiast pisać listy. Gdybyś nie życzyła sobie, żebym za Tobą chodził, siedziałbym w domu babci i tylko czekał na telefon. Wiem już, że nie chcesz, żebym był natrętny i wiem też, bo rozmawiałem o tym z panią Beatą, że jeżeli ja Ci napisałem, że jestem zakochany, a Ty zignorowałaś ten temat, to widocznie nie odwzajemniasz moich uczuć. Widzisz, że mną jest tak, że mówię wszystko wprost i wolę, żeby mi też mówiono wprost. Mam problemy z wyłapywaniem aluzji, nie chwytam ironii, w każdym razie nie zawsze.*

*Mógłbym z Tobą rozwiązywać zadania z matematyki. To znaczy Ty byś je rozwiązywała, a ja bym tylko patrzył, a na koniec sprawdzałbym Ci wyniki.*

*Witek*

Odpowiedzi przyszły po trzech dniach. Od razu dwie. Trzeci list, jak przekazała mu pani Beata, „właśnie się pisał”, a że łąły się przy tym łyzy, należało dać Madelaine trochę czasu.

– Dlaczego łyzy? – zapytał skołowany Witek.

– Nie wiem – odparła pani psycholog, ale dziwnie odwracała przy tym wzrok, z czego wywnioskował, że czytała każdy list Magdy.

Nie wiedział, czy to dobrze, czy nie powinien uprzedzić dziewczyny, że ich korespondencja nie jest do końca prywatna. Nie zrobił tego jednak, ponieważ bardzo się bał, że wówczas Magda przestałaby pisać.

*Cześć, Witek,*

*bardzo długo przymierzałam się do tego, co chcę napisać. Już raz o tym*

wspominałam – że opowiedziałam Ci wszystko w tamtych listach, które porwałam w drobny mak, i dlatego teraz mam dziwaczne wrażenie, że przecież wszystko już o mnie wiesz.

To nie jest tak, jak wyjaśniła Ci pani psycholog. Nie zawsze unikanie jakiegoś tematu oznacza, że nie chce się o nim rozmawiać. Czasem znaczy to, że się nie potrafi. Albo że się nie wie, czy to nie zepsuje czegoś, co jest... może nie idealne, nie takie, jak by się chciało, ale... dobrze, że w ogóle jest.

Nie rozumiesz, prawda? Napisałeś mi przecież, że lubisz, żeby było wprost. Kawa na łąkę, bez metafor. Chyba musiałabym zacząć od dnia moich narodzin, a może jeszcze wcześniej – od poczęcia. To, co się wtedy wydarzyło, w jakiś sposób wpłynęło na moje dalsze losy. Zresztą chyba zawsze tak jest, prawda? Takie drobiazgi: gdzie, kiedy i przez kogo zostajemy sprowadzeni na świat, w jakiś sposób kształtują naszą dalszą drogę.

Zrobiło się filozoficznie. Pewnie za tym nie przepadasz.

Kiedyś Ci powiedziałam, że nie chcę rozmawiać o przeszłości. Trochę na zasadzie: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ale to nieprawda. Zresztą nawet nie tyle chcę, ile MUSZĘ z Tobą porozmawiać o tym, co było. Po to, żebyś zrozumiał, skąd się bierze moja inność.

Do rzeczy: moja mama pochodzi ze Stawów. Kiedy tu przyjechałam, byłam ciekawa, czy ktoś mnie rozpozna, bo podobno jestem do niej trochę podobna. W każdym razie taką opinię słyszałam wiele razy jako dziecko. Potem, kiedy poznałam prawdę, zaczęłam podejrzewać, że żadnego podobieństwa w rzeczywistości nie ma; po prostu widząc, że kompletnie nie przypominam mężczyzny, którego nazywałam ojcem, ludzie automatycznie szukali we mnie podobieństwa do matki.

Jednak były to tylko pobożne życzenia. Nie jestem podobna do mamy. Ani trochę. Nie mam jej lekko zadartego nosa ani orzechowych oczu. Nie

mogę się pochwalić tak olśniewającym uśmiechem, pełnymi wargami ani lokami. Najwyraźniej dostałam geny po ojcu. Tylko problem w tym, że nie mam najlepszego pojęcia, kto miałby nim być.

Przyjechałam do Stawów właśnie po to: żeby go znaleźć.

Ale znów wybiegam za bardzo do przodu, a miałam przecież zacząć od poczęcia. Nadążasz za mną, Witek?

Mama ma na imię Gabrysia. Ładnie, prawda? O tym wszystkim, co się wydarzyło, kiedy miała siedemnaście lat, opowiedziała mi dopiero, gdy trafiła do psychiatryka. Na swój sposób jednak ją przypominam, tak sobie teraz pomyślałam, w końcu nie bez powodu jestem tu, gdzie jestem.

Gabrysia miała te swoje siedemnaście lat, kiedy zakochała się na zabój. Nie chciała mi powiedzieć, w kim. W każdym razie oboje mieszkali w Stawach, on był, zdaje się, starszy, ona chodziła do naszego liceum. Grała w tenisa stołowego i nawet odnosiła jakieś sukcesy. Pierwszego dnia, zaraz kiedy przyjechałam do miasteczka, rozglądałam się po szkole w poszukiwaniu jakichś śladów jej obecności. Może jakiś dyplom, puchar, zdjęcie z tamtych czasów... Jednak nic nie znalazłam; zupełnie jakby Gabrysia nigdy nie istniała.

Spotykali się w domu kultury. Tam było kiedyś kino, tak powiedziała, i on miał jakieś klucze od tylnego wejścia albo coś w tym rodzaju. Zastanawiałam się nawet, czy nie mogło być tak, że na przykład jego ojciec był kierownikiem tego kina – chciałam kogoś o to zapytać, ale kompletnie nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Bo przecież nie ma już nie tylko kina, ale nawet domu kultury.

Mama o tym nie opowiadała, ale wyobrażam sobie, że właśnie tam, oglądając filmy od drugiej strony (wiedziałaś, że siedząc za ekranem, można oglądać wszystko jakby w lustrzanym odbiciu?), zrobili to po raz pierwszy. Nie mam pojęcia, czy potem był drugi i kolejny, ale pewnie tak, bo chyba niewiele osób ma takiego pecha, żeby od razu przy tym

*pierwszym razie począć niechciane dziecko.*

*Nigdy się nie dowiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby mama nie stchórzyła. Bała się powiedzieć rodzicom, wyobrażasz sobie? Wymyśliła, że wyjadą za granicę – rzuciła szkołę i najpierw zahaczyła się na czarno w Niemczech, gdzieś w okolicach Hamburga, a potem, kiedy miałam cztery latka, Polska weszła do Unii Europejskiej i można było wyjechać na Wyspy. Tak trafiłyśmy do Cork.*

*Ten chłopak, mój biologiczny ojciec, miał do nas dołączyć. Na początku, jeszcze w Niemczech. Jednak nie dołączył. Może nie chciał dziecka, a może nigdy tak naprawdę nie kochał Gabrysi. Chciałabym go o to zapytać.*

*W Cork mama poznała Josha Robsona. Nie pamiętam tego, wiesz? Nie pamiętam żadnego dnia sprzed przyjazdu do Cork. Dlatego byłam przekonana, że to mój tata. Zresztą pewnie na początku tak mi mówiła, żebym go łatwiej zaakceptowała. Ożenił się z nią, zamieszkali w jego domu rodzinnym, w jednej z wielu kolorowych kamieniczek o spadzistych dachach. To była stroma uliczka z widokiem na morze. Ale z naszego okna nie było widać morza, tylko sąsiednie podwórko. Nic szczególnego.*

*Było dziwnie. Nie umiem tego inaczej nazwać. Na początku – mam takie luźne wspomnienia z tamtego czasu – chyba żyło się nam fajnie. Byli jeszcze na świecie rodzice Josha. Potem dziadek zmarł na serce, a babcia wkrótce potem na raka płuc, bo całe życie kopała jak smok. To pamiętam bardzo wyraźnie. Może zapamiętałam ten moment także dlatego, że tata, to znaczy Josh (wciąż mi się jeszcze myli) dostał właśnie wtedy pracę na platformie wiertniczej. Życie zaczęło się dzielić na sześciotygodniowe okresy – jedzie na morze, wraca, jedzie, wraca.*

*Kończy mi się kartka, Witek, a drugiej nie mam. Jutro poproszę panią Beatę, jeśli przyjedzie, żeby mi kupiła zeszyt. A tymczasem dobranoc. Zrobiło się późno. W szpitalu dzień zaczyna się bardzo wcześnie.*

*Śpij dobrze.*

*Magda*

Drugi list był napisany na kartce wyrwanej byle jak z kołonoatnika. Cały brzeg miała postrzępiony. Witek, który nie umiał się skupić na treści, kiedy forma była nieuporządkowana, najpierw starannie oskubał papier, by móc w spokoju czytać dalej.

*Dziś mam kiepski dzień, Witek. Nie wiem, czy zdołam opowiedzieć Ci ciąg dalszy mojej historii. To jeden z tych dni, kiedy człowiek ma ochotę zwinąć się jak ślimak i wycofać w głąb swojej skorupki.*

*Rozdeptałeś kiedyś ślimaka, Witek? Ja tak. Niejednego. Nie zrobiłam tego specjalnie, nie myśl, że jestem jakimś potworem. Po prostu w parku, gdzie bawiliśmy się z dziećmi, była taka alejka – cieniste, wilgotne miejsce. Raz w roku, nie pamiętam dokładnie, chyba w maju albo w czerwcu, wylęgały się tam ślimaki. Nie mam pojęcia, dlaczego przełaziły akurat przez alejkę, czego szukały po drugiej stronie asfaltu... W każdym razie kiedy się tamtędy szło albo jechało na rowerze, nie sposób było uniknąć miażdżenia muszelek. Nie mogłeś postawić stopy, żeby kilku nie rozdeptać. Chrząściło pod nogami i człowiek patrzył w górę, żeby nie widzieć, co wylazi spod podeszwy.*

*Więc wycofanie się w głąb własnej muszli nic nie da, prawda? Nie ma takiego miejsca, gdzie byłoby się całkiem bezpiecznym. Bo to, że Ty nie widzisz świata, nie znaczy, że świat nie widzi Ciebie. Widzi. To, że siedzisz skulony w ciemnym kącie, nie gwarantuje Ci, że zaraz nie zmiążdży Cię buciór kogoś większego niż Ty, dla kogo jesteś tylko jednym z tysięcy ślimaków.*

*Nie dam rady, Witek. Nie dziś. Miałam rozmowę z psychiatrą i znowu mu nakłamałam, że myślę o samobójstwie. Wszystko po to, żeby dłużej tu być. Nie gniewaj się, to nie ma związku z Tobą. Moja decyzja o ucieczce*



*związana jest wyłącznie z dwiema sprawami: z zabójstwem Filipiuka oraz facetem o szklanym spojrzeniu. Wszystko Ci wytłumaczę. Ale nie dziś.*

*Magda*

# B

Beata była niespokojna. Martwiła się o Wita Malczyka – i wbrew temu, co początkowo myślała o Madelaine Robson – zaczęła martwić się także o nią.

W domu od kilku tygodni mieli z mężem ciche dni, co było nieomylnym znakiem, że śledztwo utknęło i ani rusz nie dało się pchnąć go do przodu. Nie udało jej się podsłuchać zbyt wiele, a Paweł nie chciał mówić o postępach policjantów kryminalnych, zwłaszcza odkąd pokłócił się z żoną o tamtą sytuację z Witkiem. Beata uważała, że wszystko dałoby się załatwić inaczej: delikatniej, taktowniej. Malczyka należało chronić, to był jej obowiązek jako psychologa. Paweł niby trzymał jej stronę, ale nie postawił się Wańkoszowi, co ona odebrała niemal jak zdradę małżeńską. Przez kilka dni nie odzywała się zupełnie, potem wreszcie przemówiła, ale tylko po to, by wygarnąć mężowi, że nigdy więcej mu nie zaufa.

Wyrzucała sobie, że dała się zmanipulować. Gdyby nie poprosiła wtedy Witka o przyjście do poradni – gdyby na przykład umówiła się z nim gdzieś w kawiarni albo po prostu odwiedziła go w domu babci – chłopak nadal by jej ufał. Wyznałby wszystko, co chciałyby wiedzieć. Nie musiałyby ukradkiem czytać jego prywatnej korespondencji, by dowiedzieć się, czy jest, czy też nie jest zamieszany w sprawę śmierci Filipiuka.

No właśnie, sprawa Filipiuka. Beacie udało się dowiedzieć jedynie tyle, że

policja prześledziła jego dawne zatargi z przygraniczną mafią białoruską czy też litewską, a także wszelkie kontakty związane z prowadzeniem domu uciech, kradzieżami samochodów i „biznesem rozrywkowo-spożywczym”, jak Paweł określił kebab-bar oraz salony gier. Nic podejrzanego nie znaleźli. To znaczy na swój sposób wszystko to było podejrzane, ale żaden z tropów nie prowadził do zabójstwa.

Jedynym śladem, jaki policja zabezpieczyła na miejscu zbrodni, było kilka odcisków podeszwy na śniegu w okolicach furtki. Beata zapytała o to Pawła, kiedy jeszcze nie była na niego obrażona.

– Ale co właściwie chciałabyś wiedzieć? – odparł, a w jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Czy to wykorzystamy?

Potwierdziła ruchem głowy.

– A niby jak to sobie wyobrażasz? – rzucił Paweł, wyraźnie już teraz podenerwowany. – Mamy chodzić po domach jak heroldzi z pieprzonego *Kopciuszka* i prosić o pokazanie nam butów? A jeśli ktoś nie pokaże, to co? Rewizję robić? U wszystkich mieszkańców Stawów?

– No nie. Ale przecież macie jakieś tam podejrzenia, prawda? Więc może wystarczyłoby się ograniczyć do butów tych ludzi, których z jakichś względów uważacie za potencjalnych...

– Nie ma kogoś takiego jak potencjalny podejrzany – przerwał jej mąż. – Albo jest motyw i wtedy mamy podejrzanego, albo są ślady na miejscu zbrodni i wtedy, o ile uda się je dopasować do konkretnego człowieka, łapiemy drania. Ale nie typujemy sobie ludzi ot tak, jak nam przyjdzie do głowy.

– Rozumiem, oczywiście – powiedziała Beata pojednawczo. – W takim razie, jeśli mowa o motywie, kogo podejrzewasz?

– Szczerze?

Prychnęła. Nie znosiła tego pytania.

– Nie – wycedziła – Nieszczercze. Okłam mnie, przecież o to mi chodzi.

Paweł wzruszył ramionami.

– Po co tyle jadu? Okej, powiem szczerze, sama tego chciałaś. Jeśli chodzi o motyw, to pasuje mi jedynie twój Malczyk. Ewentualnie ta siksa z Irlandii.

– Co ty opowiadasz?!

– Mówię, jak jest. Jeśli to prawda, co zeznała, że Filipiuk się do niej dobierał, to sprawa układa się w całość.

– Kobiety nie zabijają facetów, którzy się do nich dobierają... Gdybyśmy to robiły, świat byłby usiany trupami.

– Okej, normalne dziewczyny może tego nie robią. Ale pamiętaj, że Madelaine Robson nie miała normalnego dzieciństwa ani normalnych wzorców.

– Masz na myśli jej matkę? Dowiedziałeś się czegoś?

Paweł westchnął, a potem zerknął w stronę drzwi, jakby bał się, że ktoś podsłuchuje pod drzwiami ich sypialni.

– Nie mogę o tym rozmawiać.

Beata przekrzywiła głowę. Oboje wiedzieli, że to tylko kwestia czasu.

– No dobrze – odezwał się znowu, choć żona nie zdążyła nawet podać żadnego argumentu. – Powiem ci, ale tylko dlatego, że jako psycholog możesz mieć trafne spostrzeżenia. Zatem sprawa wygląda tak: matka tej Robson to Gabriela Boniak. Pochodzi ze Zgorzelca. Jej matka, czyli babcia Madelaine, uciekła przed mężem do Stawów, zdaje się, że tam była przemoc domowa i pijaństwo. W każdym razie Gabriela i jej młodsza siostra chodziły tu do liceum. Kiedy miała siedemnaście lat, rzuciła szkołę i wyjechała za granicę. Nie wiadomo dokładnie, gdzie i jak długo przebywała, w każdym razie ostatecznie wylądowała w Irlandii i tam wyszła za mąż.

– Zaczekaj, gubię się. A matka i młodsza siostra? Skoro mieszkały w Stawach, to powinniśmy je znać.

– Sprawdziłem, mieszkały tu raptem dwa lata. Potem ten pijący i bijący ojciec je odnalazł, i znowu wyjechały.

– Rozumiem. I co dalej?

– Madelaine nie może być dzieckiem tego Irlandczyka, bo urodziła się w

Niemczech na cztery lata przed tym, jak jej mama wyjechała do Cork. Czyli kiedy wyjeżdżała z Polski, musiała już być w ciąży.

– Okej. A jej prawdziwym ojcem jest...

– Nie wiadomo. W papierach ma wpisane: ojciec nieznany.

Beata milczała.

– Dowiedziałem się natomiast, jak było z tym zabójstwem – ciągnął Paweł, a jego żona nadstawiała uszu. – Znaczy, no wiesz, że ta matka zabiła męża.

– Tak, pamiętam. Czego się dowiedziałeś?

– Chodziło o niewierność. Odkryła, że ją zdradzał, i w afekcie pchnęła go nożem.

– Mówiłeś, że kilka razy.

– Owszem. Wpadła w szal. Nie wiem dokładnie, jak było z dziewczyną, czy została w tym samym pomieszczeniu, czy uciekła. W każdym razie potem, jak już wiesz, matka usiłowała się okaleczyć, bo nie mówię, że zabić. Jeśli ktoś się dziabie nożem w udo albo w biodro, to raczej nie chce trafić...

– Paweł, człowiek w amoku nie myśli rozsądnie.

– Taaa... Pozwól, że pozostanę przy swoim zdaniu. Matka trafiła do szpitala psychiatrycznego, to też ci mówiłem. Dziewczyna najpierw była w szoku, trafiła pod opiekę psychologa, a że była nieletnia, rozpoczęły się poszukiwania krewnych, którzy by się nią zajęli, i tak trafiła do Polski.

– Rozumiem.

– Początkowo mieszkała u ciotki w Gorzowie, to jest obecnie jej jedyna krewna.

– Młodsza siostra Gabrieli? Ta, która wraz z matką uciekła przed bijącym je ojcem?

– Ta sama.

– A ta matka... babcia Madelaine?

– Nie żyje. Już od ładnych paru lat.



Ta rozmowa przypomniła się Beacie, kiedy kupowała blok listowy i porządny długopis dla Madelaine, bo dotychczas dziewczyna pisała pożyczonym, na byle jak wyrwanych kartkach, o które musiała prosić pielęgniarki. Może w następnym liście pojawią się informacje o tym, dlaczego Magda wyprowadziła się od ciotki, pomyślała Beata.

Wsiadając do samochodu, zerknęła w lusterko wsteczne.

– Nie gap się – powiedziała do swojego odbicia. – Okej, czytanie cudzych listów jest wciąż tak samo paskudne. Jednak robisz to, żeby ich chronić, tych dwoje smarkaczy, którzy chyba nie mają pojęcia, w jaką ponurą historię wdepnęli.

## 32

*Witek!*

*Pani Beata kupiła mi porządny blok listowy i długopis. Teraz będę mogła pisać więcej i częściej. Głupio mi prosić Cię o to, ale jednak muszę, bo poza Tobą nie mam przyjaciół: czy mógłbyś oddać jej pieniądze? Ja tutaj nie mam ani grosza. Ciotkę wprawdzie powiadomiono o moim pobycie w szpitalu, ale mnie nie odwiedziła (zresztą nie spodziewałam się, że to zrobi), a kasę na mieszkanie i życie przelewa mi na konto, więc nie mam w tej chwili gotówki.*

*Powinnam wreszcie wyjaśnić Ci wszystko – żebyś zrozumiał, dlaczego ze mną jest tak, jak jest. Dlaczego unikam tematu zakochania, dlaczego nie umiałam Cię poprosić, żebyś ze mną został. Wiesz, tamtego dnia, kiedy dowiedziałam się, kim jesteś.*

*Skończyłam (o ile pamiętam) na tym, że Josh dostał pracę na platformie wiertniczej, prawda? Zaczął wyjeżdżać z domu na długie tygodnie, a potem na równie długo wracał. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło.*

*Trudno mi o tym pisać, ale kiedyś powiedziałaś mi, że nie ma dla Ciebie tematów wstydlivych – więc chyba się odważę. Myślę, że powinieneś to o mnie wiedzieć, żeby móc zrozumieć, dlaczego nie jestem*

taka jak inne dziewczyny. Dlaczego zwijam się w ciasny rulonik na dźwięk słowa „miłość” i dlaczego nie dotknęłam wtedy twojej ręki, chociaż miałam na to wielką ochotę; nie odważyłam się wyjść poza rękaw. Bo dotykanie tkaniny jest w porządku, ale dotyk skóry odczuwam jako coś nie do zniesienia. Tak ze mną jest, Witek.

Josh przyjeżdżał na sześć tygodni, bo pracował w takim systemie: sześć na sześć. Tak to się nazywało. Wtedy jeszcze myślałam, że jest moim ojcem. Kochałam go. Chyba każda córeczka kocha tatę, prawda? Podobnie jak każdy synek jest zakochany w mamie. Tak czytałam.

Nie pamiętam dokładnie, ile miałam lat, kiedy to się zaczęło. Najpierw były słowa. Josh spędzał ze mną całe dni. Odbierał mnie ze szkoły, czasem, gdy mama poszła już do pracy, pozwalał mi wagarować (wtedy tak tego nie nazywaliśmy). Zabierał mnie na lody, na spacer, na karuzelę... I cały czas mówił. Znacznie później, podczas sesji u psychoterapeuty, dowiedziałam się, że tymi słowami wlewał mi do głowy jad, zatruwał mnie. Mówił mi, że jestem śliczna, ładniejsza niż mama, że jestem seksowną dziewczynką. „To będzie nasza mała tajemnica – powiedział – że ciebie kocham bardziej niż mamę. Kiedy dorośniesz, ożenię się z tobą”.

Uwierzyłam w to wszystko. Czułam się adorowana, uwielbiana, najpiękniejsza na świecie. Nie wiedziałam wtedy, co znaczy słowo „seksowna”. Mama nigdy nie obdarzała mnie przesadną czułością; dopiero potem zrozumiałam, że byłam dzieckiem niechcianym i chyba niespecjalnie kochanym. To, że Josh brał mnie na kolana i obcałowywał, uważałam początkowo za coś w rodzaju rekompensaty za jego długą nieobecność. Wiesz, to zupełnie tak, jakby dzieciak na co dzień nie dostawał słodyczy, ale gdy rodzice wyjeżdżają na długo, chcą mu jakoś wynagrodzić czas rozłąki i kupują stopy łakoci.

Potem czułości zaczęło się robić więcej. Nadal brał mnie na kolana,



*ale całował przy tym w kark, szyję i uszy, lubił wtykać mi do ucha koniuszek języka. Nie muszę Ci chyba wyjaśniać, że nienawidziłam tego i cała sztywniałam, gdy tak robił. Zaczęłam go unikać. Coraz więcej czasu spędzałam z koleżankami na dworze, coraz później wracałam do domu. Ale przecież w końcu musiałam wrócić. Josh czekał na mnie zawsze stęskniony, mama krzyczała, że znów za późno, że się włóczę, a on brał mnie w obronę, tulił, mówił, że to nic, że jestem tylko dzieckiem, i prowadził mnie do łazienki. „Musimy cię wykąpać – mówił – żebyś była różowiutka i pachnąca”. Płakałam, że chcę się myć sama, a on – pewnie żeby mama się nie zorientowała – mówił, że naturalnie, sama, on tylko popatrzy, czy robię to dokładnie. Czasem mówił, że właśnie niedokładnie, i poprawiał. Chyba się domyślasz, gdzie zazwyczaj było umyte „niedokładnie”.*

*Przepraszam Cię, Witek, nie dam rady dzisiaj dokończyć tego listu. Beczę. Muszę się od tego odgrodzić, przerwać na jakiś czas – może resztę dopiszę jutro, a może nigdy. Teraz wyjdę na korytarz i przejdę z jednego końca na drugi osiemnaście razy. Potem zajrzę do pielęgniarek, by zapytać, czy w czymś pomoc. Kiedy jest siostra Iwona, zaprasza mnie czasem do siebie i gramy w karty. Nauczyłam się, bo nigdy nie umiałam. Gramy w wista.*

Witek odłożył kartkę na brzeg stolika, wcześniej skrupulatnie wygładziwszy pogięte brzegi. Zdawał sobie sprawę, że pani psycholog obserwuje go z uwagą. Nie rozumiał tylko, dlaczego to robi – podobnie jak nie miał pojęcia, dlaczego nalegała, aby przeczytał ten list w jej obecności.

– Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – zapytała ostrożnie pani Beata.

Patrzył na nią w milczeniu i zastanawiał się, co odpowiedzieć. O co właściwie zapytała? Musiał mieć nie najmądrzejszy wyraz twarzy, bo parsknęła lekkim śmiechem.

– Pytam, czy zrozumiałeś, co ten Josh jej robił – wyjaśniła po chwili.

– To się nazywa molestowanie – odparł Witek. – Jest to zachowanie o charakterze seksualnym, naruszające godność...

– Hej, hej! Nie pytam o definicję.

Zapadła cisza. Chłopak gorączkowo szukał w pamięci cytatu na taką okoliczność. Poezja tak dobrze koiła nerwy. Rzecz w tym, że chyba żaden ze znanych mu poetów nie pisał o molestowaniu nieletnich.

– Witek... Musisz być przygotowany na to, że... takie dzieciństwo pozostawiło u Madelaine poważne ślady.

– To znaczy?

Pani psycholog westchnęła głęboko.

– Po pierwsze dziewczyna może mieć zakodowane przekonanie, że przyjemność seksualna to coś złego. Rozumiesz?

Pokiwał głową, bo w zasadzie rozumiał każde słowo z osobna. Tylko nie bardzo wiedział, co z tego wynika. Potrzebował więcej czasu.

– Poza tym czuje się zdradzona. Ktoś, kto miał się nią opiekować, bo przecież wtedy jeszcze sądziła, że to jej biologiczny ojciec... No więc ten ktoś zawiódł. Wykorzystał ją. Ona być może już nigdy w życiu nikomu nie zaufa.

Tym razem Witek zrozumiał doskonale, bo to dotyczyło także jego. Przypomniał sobie niepokój Magdy, kiedy dotarło do niej, że była śledzona i obserwowana. A więc dlatego tak bardzo się wystraszyła.

– Więc co powinienem zrobić? – zapytał rzeczowo.

– Dać jej czas. Nie dążyć do kontaktów fizycznych.

Chłopak się zachnął. Ani mu w głowie były kontakty fizyczne. Chciał tylko na nią patrzeć. Słyszeć jej głos. Wiedzieć, że jest bezpieczna.

– To nie wszystko – kontynuowała pani Beata. – Bardzo możliwe, że Madelaine boryka się z poczuciem bezsilności. Nie wierzy, że ma realny wpływ na to, co ją spotyka. Stąd już bardzo blisko do apatii i depresji. Twoja dziewczyna może mieć zaburzenia lękowe, koszmary senne, może czuć się stygmatyzowana.

Pokiwał głową. Rozumiał wszystko i przeczuwał, że to trafna diagnoza.

– Ona nie lubi spać – rzucił po namyśle. – Tak powiedziała. Że nie lubi snów.

– A widzisz. To pasuje.

– I że jawy też nie lubi.

– A mnie powiedziała, że także powinna nosić ksywkę...

– Przypał?

– Tak. Albo jakąś podobną.

Zamilkli oboje. Zegar stojący na szafce w gabinecie pani psycholog tykał dziwnie nerwowo.

– Ale to jeszcze nie jest powiedziane, że z tego trauma – odezwała się w końcu Beata Kremczuk. – Jest wiele czynników, które mają na to wpływ. Po pierwsze czas. Nie wiemy, ile trwało molestowanie.

– Napisała, że była małą dziewczynką, kiedy to się zaczęło.

– Ale nie podała konkretnego wieku. Bardzo możliwe, że trochę wyparła ten początek, skoro nie pamięta go wyraźnie.

– To źle – odezwał się Witek, któremu natychmiast przypomniał się przeczytany kiedyś artykuł. – Wyparcia mogą być przyczyną nerwic.

– Ale nie muszą. Freud nie we wszystkim miał rację.

Chłopak milczał. Bardzo chciał zostać sam i przetworzyć wszystkie te informacje. Nie było ich za dużo, ale były zbyt trudne. W okolicach serca odczuwał dziwny ciężar.

– Ofiary wykorzystywania seksualnego mają także tendencje do samookaleczania się – odezwała się ponownie pani Beata. – Ale z tego, co wiem, Madelaine nie robiła tego wcześniej. Być może wpadła w panikę... Zakładając, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Filipiuika.

Witek rzucił jej ostre spojrzenie.

– Mówiła pani, że nam pani wierzy.

– Wierzę – potwierdziła, ale kolor tego słowa nie był taki jak zwykle; Witkowi wydało się zbyt jaskrawe i nieco oślizgłe. – Jednak pamiętaj, że zawsze trzeba zostawić sobie jakiś wąski margines na inną interpretację. W świetle tego, czego się właśnie dowiedzieliśmy o Madelaine, stałoby się dla mnie zrozumiałe, gdyby zaatakowała mężczyznę, który usiłował ją zgwałcić. Byłabym skłonna całkowicie ją rozgrzeszyć. Rozumiesz?

Rozumiem, pomyślał ponuro Witek. Rozumiem doskonale, zwłaszcza dotarło do mnie, jak bardzo źle się stało, że czytałaś moją korespondencję z Magdą. Jeśli teraz wykorzystasz to wszystko przeciwko niej, w Stawach zdarzy się następne zabójstwo. Tym razem ja zabiję ciebie.

– Mogę już iść? – zapytał cicho, starając się nie zdradzić emocji.

– Oczywiście. Przemyśl sobie wszystko, uspokój się, a potem odpisz, bo ona bardzo czeka na odpowiedź. Tylko... Jeśli mogę coś zasugerować, to nie wypytuj o nic. Pozwól, żeby opowiedziała Ci to wszystko w swoim tempie.

Witek podniósł się, założył kurtkę, starannie złożył list od Magdy i schował go do kieszeni, a potem wyszedł, mruknąwszy coś w rodzaju pożegnania.

# Z

miął w dłoniach kolejną kartkę. Jak powinien sformułować odpowiedź, żeby ostrzec Magdę? Wiedział, że jeśli napisze wprost, Beata Kremczuk może zwyczajnie nie dać dziewczynie listu. Albo co gorsza, odmówi dalszego pośredniczenia w przekazywaniu korespondencji.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy nie dałoby się wysłać listu tradycyjnie, pocztą. Ten pomysł miał jednak sporo wad. Po pierwsze Witek nadal nie miał pojęcia, w jakim szpitalu leży Magda. Po drugie skoro policja zabroniła mu kontaktować się z dziewczyną, to być może personel szpitala został o tym poinformowany. A w takim wypadku list albo wróciłby do adresata (to była opcja optymistyczna), albo zostałby przekazany Beacie Kremczuk, która natychmiast by go przeczytała (i to była opcja bardzo pesymistyczna, bo wówczas Witek straciłby jedynego sprzymierzeńca). Nawet jeśli pani psycholog nie ufała Magdzie, to jednak w jakiś sposób im obojgu pomagała.

Jedyną rzeczą, jaka ostatecznie wymyślił, było zaszyfrowanie ostrzeżenia. Coś w rodzaju: „Nasze listy ktoś czyta”. Można to było zrobić na różne sposoby: zaczynając poszczególne wersy od określonych liter albo właśnie kończąc je tymi literami, albo wreszcie pisząc wybrane litery nieco inaczej, na przykład pogrubiając je. Ostatecznie Witek zdecydował się właśnie na tę trzecią metodę, ponieważ była najłatwiejsza.

*Magda!*

*Nie wiem, co **n**apisać. Twoja historia jest zarazem straszna i smutna. Nic dziwnego, że opisanie tego wszystkiego w liście przyszło Ci z **t**rudem.*

*Może z ciągiem dalszym **p**oczekaj trochę, wstrzymaj się **d**o powrotu do Stawów. Myślę, że znacznie łatwiej byłoby Ci mówić niż pisać. Podczas rozmowy niektórych rzeczy nie trzeba nazywać po imieniu, bo one wynikają z koloru słów, z ich faktury, z mimiki i tonu.*

*Czekam na Ciebie. Pan Trawiastogłowy ma się świetnie, wyrosła mu bujna czupryna. Wymieniłem żarówkę w lampce **n**a biurku.*

*Wracaj szybko.*

*Witek*

Celowo dodał zdanie o żarówce – Magda nie miała żadnego biurka, musiała więc zadać sobie pytanie, o co mu chodzi. Liczył na to, że przebiegnie wzrokiem tekst jeszcze raz i wówczas zobaczy pogrubione litery.

Gdyby tak się jednak nie stało, na wszelki wypadek zawarł w liście bezpośrednią prośbę o to, by się wstrzymała z dalszą częścią opowieści. Nie miał tylko pewności, czy dziewczyna się o to nie obrazi. Przecież nie do końca rozumiał ludzkie reakcje.

Zaniósł list do pani Beaty, ale nie skorzystał z zaproszenia na herbatę, tylko czym prędzej wyszedł. Nosił go, nie mógł usiedzieć na miejscu. A jeśli Magda nie odczyta ukrytej wiadomości? – pytał sam siebie. Jeśli spisze mi ciąg dalszy swoich losów i będzie w nim coś, co Beata Kremczuk uzna za dowód na jej udział w zabójstwie Filipiuka? Może nawet cała ta sprawa z listami była zaplanowana przez policję właśnie w tym celu, aby wydobyć z Magdy obciążające zeznania?

Chłopak zapragnął wrócić do poradni, odebrać pani Beacie list i wykrzyczeć jej w twarz oskarżenie. Chciał powiedzieć, że zawiodła, oszukała go i stanęła po niewłaściwej stronie. Miał jednak świadomość, że nie zrobi żadnej z tych rzeczy.

Po pierwsze nie miał odwagi, a po drugie – pewności, że w jego podejrzeniach jest jakiś sens.

Żeby jakoś rozładować napięcie, postanowił powłóczyć się po okolicy, jak dawniej. Nogi same zniosły go w stronę osiedla, gdzie mieszkała Magda, jednak nie miał jeszcze ochoty wchodzić do mieszkania – potrzebował przestrzeni. Najpierw pójdę gdzieś, gdzie nie ma ludzi, pomyślał. Wiatr wywieje mi z głowy złe myśli i pozwoli uspokoić rozdygotane serce.

Poszedł w stronę przejazdu kolejowego z głupią nadzieją, że Magda – jakimś magicznym sposobem – przesłała mu list bezpośrednio do ich tajnej skrzynki. Oczywiście niczego tam nie znalazł. Zaczynało się robić ciemno, więc zrezygnował ze spaceru wzdłuż torów; zawrócił i wielkim łukiem obszedł blokowisko, by dotrzeć w rejony, gdzie mieszkał Filipiuk.

Witek dawno nie był w tych stronach. Z ciekawością obejrzał posesję. Zniknęły już taśmy policyjne, teraz przy furtce widniał wielki napis: „Na sprzedaż”. Lekki wiatr, w którym wyczuwało się nadchodzącą wiosnę, bawił się na trawniku zeschniętymi liśćmi i przybrudzonym woreczkiem foliowym. Widać było, że od jakiegoś czasu nikt tu nie sprzątał.

Podszedł do wiaty przystanku, pod którą spędzał dawniej ciągnące się niemiłosiernie godziny w oczekiwaniu na Magdę. Usiadł na tym, co pozostało z ławeczki i się zamyślił. W jego głowie, jak zwykle w takich sytuacjach, przesuwają się jeden za drugim obrazy. Wszystko, co widział, siedząc tutaj i czekając. Magda wchodząca i wychodząca. Magda zmarznięta, skulona, z rękami wbitymi w kieszenie. Magda w rozpiętej kurtce. Magda gubiąca maskotkę. Z włosami rozpuszczonymi, z warkoczem, z końskim ogonem. Z drobinkami śniegu skrzącymi się na czole przez te kilka sekund, zanim stopnieją.

Tęsknota stała się bolesna, więc Witek zmusił się do porzucenia tych wspomnień. Postanowił skupić się na tym, co się zmieniło w obrazie, który miał przed sobą, trochę na zasadzie łamigłówni typu „znajdź różnicę”. Tamtej nocy,

kiedy zginął Filipiuk, leżało mnóstwo śniegu, cały dach był biały. Teraz jest sucho – to pierwsze, co przyszło mu do głowy. Wówczas z rynien zwisały wielkie sople. Spod śniegu nie było widać ścieżki wiodącej na taras – podczas gdy teraz trawa zieleniła się z nieśmiałą nadzieją, dach był suchy, a wzdłuż ścieżek sterczało w niebo coś w rodzaju malutkiego szczypiorku. Pewnie jakieś rośliny cebulowe.

No i pies. Wtedy tuż za ogrodzeniem przechadzała się warcząca, ośliniona bestia. Teraz było tam pusto, każdy mógł wejść na teren posesji. Witek rozejrzał się czujnie. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Zapadła szarówka, o tej porze większość ludzi siedziała w domach. Podniósł się z ławeczki, podszedł do furtki i spróbował. Tak jak się spodziewał, było zamknięte. Odbił się od ziemi, wcisnął czubek buta między ozdobne elementy ogrodzenia i przeskoczył na drugą stronę.

Najpierw obszedł dom i obejrzał uważnie taras. Po lewej stronie dostrzegł psie drzwiczki, zapewne te, o których wspominała Magda. Witek zdziwił się wprawdzie, jakim cudem tak duży zwierzak mógłby korzystać z tak niewielkiego otworu, ale gdy podszedł bliżej i przez chwilę manipulował przy uchylanej klapie, przekonał się, że jak najbardziej jest to możliwe.

Jak mogła wyglądać scena zabójstwa? Witek wiedział, że w chwili, gdy Magda wybiegła z domu Filipiuka, pies biegał luzem. Były więc dwa wyjścia: albo potem właściciel go zawołał i zamknął drzwiczki – ale wówczas czworonóg byłby w domu przez parę dni i policjanci znaleźliby go, zapewne wychudzonego i odwodnionego – albo pies biegał luzem przez cały czas, także wtedy, gdy na posesję wszedł zabójca. Co by z tego wynikało? Że ktokolwiek zabił Filipiuka, zabił także psa. Albo na odwrót – nie musiał go zabijać, ponieważ się go nie bał. Innymi słowy, mordercą jest ktoś, kto był tu stałym bywalcem. Ogrodnik, który dbał o trawniki? Jakiś pomocnik typu „złota rączka”? Przyjaciel Filipiuka? Jego kobieta?

Witek obszedł dookoła dom jeszcze dwa razy, zastanawiając się nad tym, jak to wszystko wyglądało tamtego feralnego dnia. Wszędzie leżał śnieg. A w takim



razie pies, jeżeli rzeczywiście biegał po terenie, zostawiłby mnóstwo śladów. Nie, to niemożliwe, policja znalazłaby odciski łap i zadałaby sobie pytanie, gdzie się podział czworonóg.

– Właściwie skąd ta pewność, że nie znaleźli psa? – szepnął chłopak, idąc w stronę zabudowań gospodarczych. – Może po prostu pani psycholog o niczym mi nie mówi. A przecież to byłby dowód. Oni nie wiedzą, jak bardzo pies warczał na Magdę i jak ona się go bała. Może gdyby wiedzieli, przestaliby ją podejrzewać.

Miotał się, chodząc bez celu po posesji, zaglądając w każdy kąt, jakby spodziewał się znaleźć tam psie szczątki. Że też nie przyszedłem tu od razu, kiedy jeszcze leżał śnieg, zżymał się w myślach. Można by było dokładnie obejrzeć cały teren i ze śladów na białym puchu wyczytać, co się tu wydarzyło.

Wiedział, że sam nic nie działa. Musi z kimś o tym porozmawiać. Rzecz w tym, że do pani Beaty stracił zaufanie po tym, co powiedziała na temat Magdy. Może przesadzał, ale bał się teraz tej kobiety. Pozostawali dwaj policjanci. Paweł Kremczuk i ten ze szklanym okiem, przerażający jak robot.

– „Jako w żelaznej skrzyni klejnot drogi, tak w prawej piersi jest dusza bez trwogi” – zacytował fragment z Szekspira, żeby dodać sobie odwagi. – Nie muszę się bać, bo nie mam nic do ukrycia. A zresztą, jeśli nawet się boję, to mądrze będzie uczynić tego, kto budzi we mnie lęk, sprzymierzeńcem.

Roześmiał się cicho, bo tym razem nikogo nie cytował, sam to wymyślił. Kocim ruchem przeskoczył przez ogrodzenie i nie zważając na późną porę, udał się na komisariat policji.

# B

Beata z niepokojem odczytała odpowiedź Witka jeszcze raz. Dlaczego poprosił Madelaine, żeby wstrzymała się z dalszym ciągiem opowieści? Przecież dziewczyna właśnie zaczęła się otwierać. Od tego, co napisze, co jeszcze wyzna w tych listach, tak wiele zależy! Nawet jeśli rzeczywiście zamordowała Filipiuka, to te listy będą dla sądu bardzo mocnym argumentem, że działała pod wpływem traumy z przeszłości.

Beata zastanawiała się, jak mogłaby dotrzeć do dokumentów z Irlandii, bo zapewne takowe istniały. Dziewczyna wspominała o tym, że przez jakiś czas pozostawała pod opieką psychoterapeuty. Trzeba będzie nacisnąć porządnie Pawła, niech zdobędzie, co się tylko da. Tymczasem zaś nie wolno dopuścić, żeby Madelaine przestała pisać. Beata skrupulatnie gromadziła kopie tych listów, wciąż jednak brakowało jej wielu informacji.

Postanowiła zniszczyć list Witka. W zasadzie nie zawierał przecież niczego ważnego, tylko słowa otuchy. Informacje o tym jakimś panu Trawiastym czy kimś takim można przekazać ustnie. Żarówka w lampce na biurku jest kompletnie nieistotna. Coś się wymyśli. Najważniejsze, żeby dziewczyna ciągnęła dalej swoją historię tak długo, aż dojdzie do dnia, w którym zabito Filipiuka.

*Witek!*

*Cieszę się, że zadbałeś o pana Trawiastogłowego. Dziękuję. Tak jak pisałam wcześniej, to pamiątka z Irlandii – zresztą dojdę do tego w swoim czasie.*

*Chciałam napisać do Ciebie wcześniej, a kiedy przyjedzie pani Beata, po prostu dać jej przygotowaną już kartkę. Ale słowa jakoś nie chciały płynąć. Siadałam nad blokiem listowym, gryzłam końcówkę długopisu (wiesz, że kiedy byłam mała, potrafiłam przegryźć wszystkie długopisy na wylot? Z dupki wyłaził im wkład. Zawsze za to obrywałam od mamy).*

*Dopiero te słowa o panu Trawiastogłowym sprawiły, że poczułam się wystarczająco silna, aby pociągnąć moją historię. Dobrze jest wiedzieć, że gdzieś tam jest moje miejsce (nawet jeśli tak naprawdę nie jest ono wcale moje) – i że jakiś kawałek świata trwa w niezmienionym kształcie.*

*Pani Beata przechadza się po lesie, bo mamy tu w Ciborzu coś w rodzaju lasu i jezioro. Mnie nie pozwalają tam chodzić, ponieważ teoretycznie wciąż mam tendencje samobójcze. Ale pacjenci z tych oddziałów, gdzie leczy się uzależnienia, spacerują sobie bez przeszkód. Czasem myślę, że gdyby w grę wchodziło morze, no wiesz, spacerować nad morzem, powiedziałabym doktorowi, że jestem już całkiem zdrowa. Powiedziałabym mu wszystko, co chciałby usłyszeć, byle tylko móc iść wieczorem na plażę i poczuć ten słony zapach. Dla wielu ludzi morze śmierdzi, ale nie dla mnie, nawet jeśli rzeczywiście morskie powietrze czuć rybami. Dla mnie jednak ma ono przede wszystkim zapach wolności.*

*Kiedyś marzyłam, że właśnie morze mnie uwolni. Pewnego dnia, tak sobie po cichutku myślałam, rozpęta się sztorm i zmyje Josha z platformy. Następnego dnia załoga znajdzie jego dryfujące zwłoki (bo chciałam mieć pewność, że nie żyje, że nigdy nie wróci). Gdy mijały kolejne lata, a on jednak przyjeżdżał i za każdym razem posuwał się o krok dalej, a ja nienawidziłam go jeszcze bardziej, wymyśliłam, że to ja*

ucieknę na morze. Było mi wszystko jedno dokąd, byle zwać. Chodziłam na nabrzeże w pobliżu portu i zastanawiałam się, jak by to było: schować się w jednej z tych wielkich skrzyń, które przenoszono dźwigami na statki. Zakładając, że przeżyłabym sam załadunek i potem zdołałabym się jakoś uwolnić – co by się ze mną stało później? Czy zostałabym na tym statku, na przykład jako pomocnica kucharza? A może dopłynęłabym do jakiegoś dalekiego lądu, do Zanzibaru albo w równie magiczne miejsce, i wiodłabym tam życie wolne od Josha, od matki, która nie chciała mnie wysłuchać, od szkoły, od rówieśników, do których nie pasowałam i nie chciałam pasować...

Już wiesz, że najpierw Josh dotykał mnie podczas kąpieli. Potem zaczął to robić także przy innych okazjach. Kiedy wkładałam buty i gdy wracałam ze szkoły; kiedy jadłam i kiedy kładłam się spać. Mówił, że mnie kocha i pragnie. „Mama nie może się dowiedzieć – szeptał – bo cię znienawidzi z zazdrości. Wtedy nas zostawi, odejdzie i zostaniemy całkiem sami. A przecież ją kochamy, prawda?”

Dotykał moich rosnących piersi i wkładał mi rękę do majtek. Chciałam go zabić, Witek. Przysięgam, że chciałam go zamordować we śnie. Jednak zupełnie nie wiedziałam, jak to zrobić. Myślałam o nożu, lecz wydawał mi się zbyt tępy. Oglądałam różne narzędzia, które trzymał na poddaszu, i szukałam doskonałego narzędzia zbrodni.

Pierwszy raz zgwałcił mnie, kiedy miałam trzynaście lat i zaczęłam miesiączkować. Otworzył sobie śrubokrętem drzwi do łazienki, bo przez szybkę zobaczył, że piorę zakrwawione majtki. „Teraz już wiemy – powiedział – że jesteś prawdziwą kobietą. Zapamiętaj, kiedy robisz to w odpowiednim momencie, dzidziusia nie będzie. I teraz jest właśnie odpowiedni moment”. Wziął mnie od tyłu, patrząc na moją twarz w lustrze. Myślałam, że rozerwał mnie w środku na strzępy, wyłam z bólu, ale jego to chyba podniecało. Odtąd robił to zawsze, gdy miałam okres.

*Przepraszam za te szczegóły. Ale jeśli kiedyś muszę Ci to wyjaśnić, wolę teraz i w taki sposób. Ciężko znoszę dotyk, nie wyobrażam sobie, że jeszcze kiedykolwiek pozwolę się komuś całować. Skoro twierdzisz, że jesteś we mnie zakochany, powinieneś to wiedzieć. Taki ze mnie „Przypał” w dziewczęcej skórze, wiesz? Może naprawdę pasujemy do siebie, choć niekoniecznie jesteśmy pokręcani pod tym samym względem.*

*Uciekałam z domu. Pisałam już o tym? Najpierw po prostu spędzałam coraz więcej czasu poza domem, ale potem zaczęły się prawdziwe ucieczki. Razem z Kathryn, która właściwie wcale nie miała domu... Chyba Ci o niej opowiadałam. No więc z Kathryn po prostu wybierałyśmy kierunek i szłyśmy przed siebie. Czasem udało się podjechać trochę stopem, innym razem ona kradła pieniądze albo puszczała się za stacją benzynową i dzięki temu miałyśmy fundusze na dalszą podróż. Nie gorsz się, Kathryn tak po prostu żyła, tak żyła też jej matka i babka. Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem ją to nie boli, ale kiedy o to pytałam, śmiała się ze mnie. „Dlaczego miałyby boleć? – dziwiła się. – Może szалу nie ma, nie jest to głaskanie po główce, ale to tak, jakby ci płacili za kilka klapsów. Albo za ocieranie się o pośladki. Nic szczególnego”.*

*Dotarłyśmy w ten sposób w wiele cudownych miejsc. Powroty do domu były wyjątkowo paskudne, bo obrywałam od matki, ale to nie mogło mnie powstrzymać. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że jedynie wtedy naprawdę żyłam: podczas tych naszych wariackich wypraw. Byłyśmy w Killarney, w Dublinie i w Galway, odwiedziłyśmy parki narodowe Glenveagh i Ballycroy. Glenveagh podobał mi się bardziej, bo z wizyty w Ballycroy zapamiętałam głównie chłód i wilgoć. Wiesz, myślałam, że kiedy zamieszkam w Polsce, będę ją zwiedzać w ten sam sposób. Wiedziałałam, że będzie mi brakować pieniędzy, ale jakoś głupio myślałam, że to się da zrobić – tak jak dawało*

się zrobić wtedy.

*Nie dało się jednak. Wszystko tu u was jest inaczej. Nie wiem, może gdybym pewnego dnia wyszła z domu, pojechała do Gorzowa i poszła na obwodnicę, i spróbowała złapać stopa, udałoby mi się dojechać gdzieś daleko, w jakieś ładne miejsce. Jednak nie zrobiłam tego. Dlaczego? Chyba się bałam. Dałam się zniewolić strachowi. Uwierzyłam, że nie jestem tu u siebie, że niewiele mi wolno. To dlatego stało się całe to nieszczęście z Filipiukiem.*

List urywał się w tym miejscu. Beata Kremczuk westchnęła i otarła oczy, choć tak naprawdę były suche. Jeśli uroniła jakąś łzę, to tylko w wyobraźni. Nie dlatego, że nieszczęście Madelaine było zbyt małe – lecz z powodu szoku. Kiedy człowiek jest wstrząśnięty, nie płacze. Płacz wymaga otwarcia się, pewnego rozluźnienia, a na to z kolei potrzeba czasu.

Z jednej strony ta dziewczyna mogła zabić, nie było w tej kwestii żadnych wątpliwości. Ktoś, kto chłodno analizuje narzędzia pod kątem przydatności do zamordowania ojczyrna, może popełnić zbrodnię. Zwłaszcza gdy tego kogoś doprowadzi się na skraj wytrzymałości, na samą krawędź zadawnionej traumy.

Z drugiej strony jednak na miejscu przestępstwa nie było żadnych śladów poza odciskiem obuwia. Beata wiedziała już, że policja gruntownie przeszukała mieszkanie i sprawdziła buty Madelaine – oprócz martensów i kapci miała jedynie trampki o zupełnie innej zelówce. Poza tym nie zgadzał się rozmiar – tamten but, którego odcisk zachował się w pobliżu furtki Filipiuka, należał do osoby o znacznie większych stopach. Jednocześnie – i tu pani psycholog odetchnęła z ulgą – była to stopa zbyt mała, by mogła należeć do Witka.

– Nie podniecaj się tym za bardzo – powiedział jej wtedy Paweł. – Nie mam żadnej pewności, że buty mają jakiegokolwiek znaczenie. Może wcale nie należały do sprawcy.

– Ale czekaj. – Coś jej przyszło do głowy. – Skoro tamtego wieczoru Madelaine Robson była u Filipiuka i udzielała mu lekcji, to odciski jej butów

powinny się znajdować na ścieżce, tak?

– Powinny, ale się nie znajdowały. Bo rzecz w tym, kochanie, że ktoś pozamiatał.

– Pozamiatał? – Beata nie zrozumiała.

– Tak. W sensie dosłownym. Na tarasie była taka miotła do liści, wiesz, jakby słomiana. I sprawca zwyczajnie zamiótł swoje ślady, zresztą nie tylko swoje. Pięknie odśnieżył teren wokół tarasu, ścieżkę i podjazd. Zostały tylko odciski psich łap wzdłuż ogrodzenia, kompletnie dla nas nieprzydatne, no i ten jeden ślad buta. I teraz pytanie: czy sprawca go przeoczył, czy zostawił specjalnie, bo chciał nas wpuścić w maliny?

– Przeoczył – odparła z całym przekonaniem.

– Skąd ta pewność?

– Nie wiem. Po prostu czegoś trzeba się chwycić.



Czegoś trzeba się chwycić – powtórzyła w myślach Beata Kremczuk, kiedy ruszała z leśnego parkingu po przeczytaniu listu Madelaine. I tylko pytanie czego. Czy mam się trzymać opcji, że dziewczyna zabiła, bo miewała takie myśli już wcześniej, czy może – że fakt, iż opowiada o tym otwarcie i niczego nie ukrywa, świadczy o jej niewinności?

– Potrzebujemy więcej listów – szepnęła do siebie, po czym dodała gazu.

# M

arian Wańkosz przyglądał się siedzącemu przy stoliku nastolatkowi z rosnącą nieufnością. Przecież nie tak dawno stawał okoniem, zatykał uszy, nie chciał współpracować. Co w niego nagle wstąpiło? Wańkosz żył już wystarczająco długo, by nie wierzyć w cudowne ozdrowienia i metamorfozy, w wyniku których opryszek stawał się przykładowym obywatelem.

No, tu nie mamy wprawdzie opryszka, poprawił się w myślach, ale na pewno ostrego popaprańca. Nawet jeśli przyjąć za prawdę słowa tej lekko nawiedzonej psycholożki, Kremczukowej. Niech sobie będzie inteligentny jak delfin, ale i tak źle mu z oczu patrzy.

Chłopak przyszedł na komisariat poprzedniego wieczoru i poprosił o spotkanie z Marianem Wańkoszem. Jednak ponieważ inspektor nie mieszkał w Stawach, lecz w Gorzowie, sprawa musiała poczekać do rana.

– Kluczem jest pies – powtórzył teraz Malczyk po raz nie wiadomo który.

Zachowuje się jak automat, gada w kółko to samo, pomyślał policjant. Może to jeden z objawów tej jego dysfunkcji? Za wariatem nie trafisz.

– Niby dlaczego? – zapytał wreszcie, siadając okrakiem na odwróconym krześle i wpatrując się w chłopaka groźnym wzrokiem, który miał świadczyć o tym, jak bardzo mu nie ufa.

Wit Malczyk odetchnął. Brzmiało to tak, jakby poczuł wielką ulgę. Wzrok



miał utkwiony w podłogę, przez co dziwnie się z nim rozmawiało.

– Gdyby zabójcą była obca osoba, nie poradziłaby sobie z psem. To była bestia, musiałby pan zobaczyć... Ślina kapiąca z pyska, kły na wierzchu, w gardle czerwony bulgot...

– Co to znaczy, że czerwony? Krew?

Chłopak się zmieszał i zamknął oczy.

– Nieważne.

– Ważne. Pytam, czy miał w pysku krew?

– Nie, tylko... Ja widzę kolory.

– Ja też, kurwa, widzę kolory – warknął Wańkosz.

Wit Malczyk się wzdrygnął. Wygląda teraz, jakby chciał skrócić się w ciasne kółko i zniknąć, pomyślał policjant.

– Dźwięki mają kolory – wyjaśnił Witek słabym głosem. – Mówiłem, że nieważne.

Zapadła cisza, przerywana jedynie posapywaniem gliniarza.

– No i co z tym psem?

Malczyk otworzył oczy, ale nie spojrzał na swego rozmówcę, lecz w okno. Wzrok miał ponury i złowrogi. Wańkosz pomyślał, że nie chciałby spotkać się z tym typkiem w ciemnej uliczce. Zwłaszcza że „typek” miał prawie dwa metry wzrostu i wyglądał na silnego.

– Gdyby zabójcą był ktoś obcy, na posesji musiałyby się znaleźć albo krew czworonoga, albo zabójcy. Któreś z nich musiałyby zginąć lub przynajmniej ucierpieć. To raz. Po drugie w miejscu walki byłoby mnóstwo psich śladów. Pies, kiedy atakuje, cofa się i rusza do przodu. Obiega ofiarę, próbuje ugryźć raz z jednej, raz z drugiej strony.

– Skąd to wiesz?

– Wiem.

– Ale skąd?

Malczyk po raz pierwszy zahaczył przelotnym spojrzeniem o twarz policjanta.

– Po prostu wiem – wyjaśnił. – Wystarczy, że raz coś zobaczę i już wiem.

– Pamięć fotograficzna?

– Można to tak nazwać.

– W porządku. Mów dalej.

– Rozumiem, że nie znaleziono krwi zwierzęcia?

Wańkosz powoli pokręcił głową.

– A inne ślady? – zapytał jeszcze chłopak. – Odbitki linii papilarnych i tak dalej?

– Interesujesz się tym?

– Nie, dlaczego?

– Bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent osób powiedziałoby „odciski palców”.

– Gdzieś czytałem, że tak się nie mówi. Już wspominałem, mam niezłą pamięć. No więc co z nimi?

– Nie ma kompletnie nic, co by się nam przydało. Cała rzecz rozegrała się na dworze, sprawca miał rękawiczki. Pamiętaj, że był mróz.

– Pamiętam. A ślady na śniegu?

– Zostały zatarte.

– W jaki sposób?

Może on się próbuje dowiedzieć, ile my wiemy, przeszło policjantowi przez myśl. Może jest cwany i chce ze mnie wyciągnąć, jak daleko rozpracowaliśmy sprawę. Zobaczymy, jak zareaguje na kłamstwo.

– Ktoś polał cały teren wokół tarasu wodą – zablefował. – Ostry strumień z węża. Rozmył ślady na amen. Zresztą potem przysłała odwilż, zanim zaalarmował nas jeden ze współników ofiary, i wszystko poza śniegiem na ciele Filipiuka pokrywała już brudna ciapa. Żadnych śladów.

– Tam nie było węża – powiedział powoli Wit Malczyk. – Byłem tam wczoraj i nigdzie nie było węża ani kranu ogrodowego.

– Jest w jednym z zabudowań gospodarczych.

– Skąd miał klucz? Są zamknięte.

Bystry jest, powiedział sobie w duchu Wańkosz.

– Wtedy były otwarte. Policja je zabezpieczyła – skłamał gładko.

– Okej. Ale to kolejny dowód, że zabójcą był ktoś obeznany z tym miejscem.

Wiedział, gdzie jest kran i wąż, wiedział, że domek gospodarczy jest otwarty.

Albo umie doskonale kłamać, albo naprawdę nie wie, że nie było żadnego węża i żadnej wody, pomyślał policjant.

– I co z tego wynika? – zapytał.

– Musiał zabrać psa. Albo go zabić. Bo nie było go w domu, prawda?

– Nie.

– A gdyby tak spróbować szukać właśnie zwierzaka? Popytać ludzi, może ktoś coś widział. To dość charakterystyczny pies, chyba niewiele jest takich w okolicy.

– Charakterystyczny, czyli jaki?

– No... trochę jakby mastiff angielski. To znaczy na pewno nie był w stu procentach rasowy, znam wzorzec rasy, ale powiedzmy, że w typie mastiffa.

– Co to, kurwa, jest mastiff?

Malczyk znów skurczył się trochę, z czego Wańkosz wywnioskował, że chłopak nie lubi przekleństw. W sumie to dobrze o nim świadczy, pomyślał.

– Taka rasa. Jeden z największych psów świata. Dobrze prowadzony jest łagodny jak baranek, ale ten najwyraźniej był uczony stróżowania. W najgorszym znaczeniu tego słowa.

– Skąd to wszystko wiesz?

Malczyk spojrzał na niego jakoś dziwnie.

– Pani psycholog nie uprzedzała?

– O czym?

– Że ja dużo wiem.

Policjant prychnął. Zabrzmiało to bardzo zarozumiale. Dużo wiem, też coś! Wspominała jeszcze o innych rzeczach. Że jesteś nie do końca normalny. Zmiał w ustach przekleństwo.

– Okej, dajmy na to, że znajdziemy zwierzaka. Co dalej?

Malczyk wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Pan jest policjantem kryminalnym. A ja jednym z podejrzanych typków. Wydaje mi się, że ten pies nie może biegać sobie gdzieś luzem, bo już by tu wrócił. Psy zawsze wracają.

– Chyba nie zawsze.

– Ale dajmy na to, że przeważnie. Moim zdaniem on nie został wypuszczony, tylko gdzieś jest... to znaczy sprawca gdzieś go uwięził albo na przykład trzyma w jakiejś kryjówce. W domku, szopie, altance... Jeśli zwierzak jeszcze żyje, to ktoś go poi i karmi.

– A gdyby nawet, to co? Przypuśćmy, że przeszukujemy okoliczne działki i znajdujemy psa w jednej z altan. Jak to sobie wyobrażasz? Bierzemy go na przesłuchanie? Chłopie, co ty sobie myślisz, że zwierzak doprowadzi nas do sprawcy? Przecież gdybyś był tym pieprzonym zabójcą, nie ukrywałbyś psa w swojej altance, tylko w cudzej prawda? W jakiejś rzadko odwiedzanej albo totalnie opuszczonej.

– Tak.

– No więc na cholerę nam pies!

– Po pierwsze mogą być jakieś ślady biologiczne – wyjaśnił Witek. – Na obroży czy coś w tym stylu. A po drugie można by go kolejno konfrontować z różnymi podejrzаныmi.

– Kon... – zaczął Wańkosz, ale aż go zatkało. – Psa? Co ty, kurwa, wymyślasz? I co, wskaże łapką winnego?

– Na człowieka, który to zrobił, ten pies nie będzie warczał. Będzie na jego

widok machał ogonem.

Policjant przyglądał mu się przez chwilę i myślał intensywnie. Wreszcie podjął decyzję.

– Wiesz co? – rzucił. – Okłamałem cię. Chciałem sprawdzić, jak zareagujesz.

– Na co?

– Na informację o zalaniu śladów wodą z węża.

Malczyk wzruszył ramionami.

– Tylko po co kłamać? – zapytał retorycznie.

– Nieważne. – Wańkosz nie dał się zbić z pantałyku. – Tak czy owak, prawda wygląda inaczej. Zamiast wody była miotła. Sprawca pozamiatał, wyobrażasz sobie? Ale mamy jeden ślad. A skoro masz pamięć fotograficzną, to może go rozpoznasz – zakończył odrobinę kpiąco.

Chłopak wyprostował plecy.

– Jaki to ślad? – zapytał.

– Odcisk podeszwy. Raczej nietypowy. Nie pasuje do butów dostępnych w popularnych sieciówkach ani w sklepie obuwniczym w Stawach. Jakiś inny typ zelówki.

– Górski? Takie buty do trekkingu?

– A co? Ktoś ci przychodzi do głowy? – Wańkosz zrobił się nagle czujny.

– Nie. Tylko jak pan powiedział, że inny...

– Za wąskie jak na trekkingowe. Pokażę ci, ale pamiętaj, że obowiązuje cię tajemnica śledztwa. Okej? Można ci zaufać?

Malczyk skinął głową. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Policjant pomyślał, że gdyby nie wyeliminował wcześniej Madelaine Robson jako posiadaczki zbyt małej stopy (i zbyt typowego obuwia), nigdy by nie pokazał chłopakowi odбитki tej podeszwy. Ale tego nie należało mu mówić.

Otworzył akta sprawy i wskazał Malczykowi, o jaką zelówkę chodzi. Chyba

nie liczył na żadną reakcję, zrobił to raczej z ciekawości. Obserwował twarz chłopaka i jego oczy, które zwęziły się w szparki.

– Widziałem to już – powiedział z namysłem Wit. – Pamiętam.

– Tak? Do kogo należy?

– Nie wiem.

– Podobno niczego nie zapominasz.

Malczyk spojrzał na swego rozmówcę z jakąś irytującą pobłażliwością. Wańkosz pomyślał, że dobrze byłoby pobawić się w złego glinę i spuścić łomot temu smarkaczowi.

– Nie zapominam – potwierdził chłopak. – Ale w tym wypadku nie mówimy o pamięci. Nie można pamiętać czegoś, czego się nigdy nie wiedziało. Znam odcisk tej podeszwy. Widziałem go kilkakrotnie w różnych miejscach, ale nie wiem i nigdy nie wiedziałem, do kogo należy.

– Rozumiem – wycedził policjant. – W takim razie pamiętaj z łaski swojej o dwóch sprawach. Po pierwsze dla dobra śledztwa jesteś zobowiązany do zachowania tajemnicy. Po drugie od dziś będziesz się rozglądał za taką zelówką, a gdy dowiesz się, kto jest jej pieprzonym właścicielem, zgłosisz się do mnie.

## 36

*L*

ist był długi i bardzo bolał. Czytanie bolało. Witek nie miał pojęcia, dlaczego Magda jednak zdecydowała się kontynuować opowieść o swoim dzieciństwie. Albo nie odczytała zaszyfrowanego ostrzeżenia, albo je zignorowała – na jedno wyszło. Tak samo jak zignorowała zdanie o biurku i żarówce. Czy to możliwe, że tak nieuważnie czytała jego listy?

Nie chodziło o to, że nie chciał tego wszystkiego wiedzieć. Chciał. Uważał, że im więcej wie o Magdzie, tym większe mają szanse zbliżyć się do siebie, stworzyć we dwójkę coś w rodzaju związku. „Coś w rodzaju” – tak to nazywał w myślach, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś taki jak on nie zbuduje związku w sensie tradycyjnym. Jednakże nic nie wskazywało na to, aby Magdzie miało to przyjść łatwiej. Rzeczywiście oboje jesteśmy Przypałami. Widocznie chce o tym opowiadać, pomyślał. Jest jej to potrzebne, może w jakiś sposób łatwiej jej uporać się ze wspomnieniami. Martwił się jedynie tym, że dziewczyna może sobie zaszkodzić. Doszukiwał się w liście zdań, które w oczach Beaty Kremczuk mogłyby obciążać Magdę. Znalazł ich kilka, na przykład to, gdzie wspominała o szukaniu najlepszego narzędzia zbrodni. I że zabiłaby Josha bez wahania.

Wiedział już przynajmniej, gdzie znajduje się jej szpital. W Ciborzu. Potrzebował więcej danych, musiał sobie jakoś zlokalizować w wyobraźni tę

miejscowość. Sięgnął więc po telefon, ale nie mógł sprawdzić, gdyż bateria była rozładowana. Trzeba zrobić coś, żeby ona więcej nie pisała, pomyślał. Jeśli ten Cibórz jest niedaleko, to pojedę tam albo pójdę; skoro mogłem dotrzeć do Rakowisk, to dotrę i tam. Tylko co dalej? Pewnie mnie do niej nie wpuszczą.

Siedział na zwalonym pniu w lesie. Listy Magdy zawsze odczytywał w odludnych miejscach, gdzie nikt nie mógł go rozpraszać. Każde jej słowo było jak dźwięk pięknej muzyki, którym człowiek chce się napawać w idealnej ciszy.

Zastanawiał się, co powinien odpisać. Czego ona tam, w tym szpitalu, potrzebuje najbardziej? Bo przecież nie zapewnień o tym, że on wciąż czeka. Mógłby o tym pisać bez przerwy, ale zaczynał rozumieć, że Magda na swój pokręcony sposób usiłuje mu wyjaśnić, dlaczego nie lubi czuć się osaczona. To przez historię ze zboczonym Joshem tak bardzo się wystraszyła, kiedy Witek wyznał jej, że wszędzie za nią chodził. Gdyby powiedział całą prawdę: że przesiadywał na poddaszu starego domu naprzeciwko, pewnie nigdy więcej nie chciałaby z nim rozmawiać.

Więc czego ona potrzebuje? Może poczułaby się lepiej, wiedząc, że śledztwo w sprawie zabójstwa Filipiuka w jakiś tam sposób – w ślimaczym tempie, ale jednak – posuwa się do przodu. Może pomogłaby jej także świadomość, że jednooki Wańkosz nie jest aż takim potworem, na jakiego wygląda. A wreszcie – może sprawiłaby jej przyjemność informacja, że dziewczyny ze szkoły często o niej rozmawiają, martwią się, a Martyna pytała nawet panią psycholog, czy mogłaby odwiedzić Magdę.

Postanowił napisać o tym wszystkim, gdy tylko wróci do domu, tymczasem zaś wstał z pniaka, otrzepał spodnie i ruszył dalej. Już drugi dzień z rzędu penetrował okoliczne lasy. Próbował sobie wyobrazić, że to on jest zabójcą. Dajmy na to, że dobrze zna Filipiuka i nie boi się psa. Idzie do domu ofiary z zamiarem dokonania zabójstwa. Najpierw musi się pozbyć czworonoga. Bierze go na smycz... Chyba że jest to pies przyzwyczajony do chodzenia luzem przy nodze. Niestety Witek nie posiadał wiedzy na ten temat, a bardzo nie lubił braku



danych. Zdenerwował się, więc kilkakrotnie powtórzył w myślach jeden z ulubionych wierszy Staffa: „Niech cię nie niepokoją cierpienia twe i błędy. Wszędy są drogi proste, lecz i manowce wszędy”. Trochę go to uspokoiło.

– „O to chodzi jedynie, by naprzód wciąż iść śmiało, bo zawsze się dochodzi gdzie indziej, niż się chciało” – wyrecytował na głos.

Co dalej z tym psem? Załóżmy, że idzie przy nodze i daje się zamknąć lub przywiązać gdzieś daleko. Sprawca wraca następnie do domu Filipiuka i dokonuje zbrodni, po czym zaciera ślady. I co z tego wynika?

No właśnie. Nie wynikało z tego kompletnie nic.

*Magda!*

*Twój list był bardzo smutny. Nie wolałabyś opowiadać mi tego, kiedy wrócisz? Mógłbym Ci zaparzyć herbaty, zgasilibyśmy światło i siedzieliśmy na materacu oparci o siebie plecami. Tak się łatwiej mówi o trudnych rzeczach. Próbowałem kiedyś z mamą.*

*Jak się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że poza mamą i panią psycholog długo nie rozmawiałem z nikim. Dopiero z Tobą.*

*Byłem na bardzo długim spacerze po lasach za domem Filipiuka. Szukałem psa albo jakiegoś śladu po nim. Nie wydaje Ci się dziwne, że zwierzak zniknął akurat tego wieczoru, kiedy zabito jego właściciela?*

*Przemyślałem to wszystko kilka razy. Poszedłem do tego policjanta ze szklanym okiem, Wańkosz się nazywa, pamiętasz? Ten przerażający. Teraz już się go nie boję. Wprawdzie wypowiada dużo czarnych słów i jest napastliwy, brutalny w sensie językowym, ale nie idzie za tym prawdziwa agresja. W każdym razie chyba udało mi się go przekonać, że pies odgrywa w całej tej historii ważną rolę. Pomyśl tylko, kto odważyłby się wejść na teren tej posesji i skrzywdzić Filipiuka, gdyby ta bestia, warcząca i ośliniona, kręciła się wokół domu? Pamiętasz, jak to bydlę chciało Cię zaatakować?*

*Nie mam jedynie pojęcia, gdzie go szukać. Pierwsza myśl była taka, że zwierzak może być przywiązany w lesie. Wańkosz wspominał też o altankach na ogródkach działkowych; wiem, że to możliwe, ale jednak ludzie bywają na działkach nawet zimą, a opuszczony pies by wył, więc pewnie ktoś już zgłosiłby sprawę.*

*Bardzo bym chciał, żebyś się odważyła i wyszła ze szpitala, o ile oczywiście jest to możliwe. Jednak z tego, co pisałaś, wywnioskowałem, że decyzja lekarza zależy od tego, co mu mówisz na swój temat. Potrzebuję Cię. Jestem całkiem sam.*

Witek

## 37

*Witek!*

*Nie odważę się wrócić do Stawów, dopóki nie opowiem Ci do końca mojej historii. Może rzeczywiście byłoby dobrze tak posiedzieć w ciemności i porozmawiać. Tyle że na jakiś inny temat, dobrze? Obiecuj, że tak zrobimy.*

*Jednak kiedy opowiadam o sobie, zdarza mi się wpadać w histerię. Otrzymując list ode mnie, widzisz jedynie produkt, nie obserwujesz procesu. A ten proces jest bolesny. Wiele razy spisując to wszystko, zaczynałam szlochać albo wręcz przeciwnie – kląć jak szewc. Niejednokrotnie darłam na strzępy kartkę, a raz nawet włożyłam ją sobie do ust i usiłowałam pogryźć. Śmieszne, prawda? Zwłaszcza że ostatecznie zwymiotowałam papką z papieru. Nie wiem, czy jestem normalna, Witek. Nie wiem nawet, co to znaczy „być normalnym”. Jedyne, co wiem, czego jestem pewna – to tego, że jeszcze nie przepracowałam ani tego, co wydarzyło się w Cork, ani tego, co spotkało mnie w Polsce. I dlatego wciąż nie mam odwagi wyjść stąd i stawić czoła prawdziwemu życiu.*

*Nie pamiętam dokładnie, na czym skończyłam ostatni list. Chyba na tym, że Josh zaczął mnie regularnie gwałcić. Ilekroć dostawałam okres, a*

*Josh był akurat na łądzie, urządzał sobie zabawę. Nic dziwnego, że zaczęłam uciekać z domu, kiedy tylko czułam, że „to” się zbliża. Jednak nie zawsze potrafiłam przewidzieć, że to już, bo nigdy nie miesiączkowałam regularnie. Przepraszam za te fizjologiczne szczegóły; kiedyś wspomniałeś, że nie masz problemu z takimi tematami.*

*Pewnego razu stało się coś, czego się przez cały czas podświadomie bałam: nakryła nas mama. Josh kazał mi się rozebrać i uklęknąć na dywaniku łazienkowym. Nie chciałam, zaczęłam płakać, więc zagroził mi, że opowie mamie, jak go celowo kusiłam i prowokowałam. Nie byłam już taka smarkata, żeby bać się każdej jego groźby, ale wiedziałam, że gdyby rzeczywiście to zrobił, mama uwierzyłaby jemu, a nie mnie.*

*Obok mojej twarzy wirowała pralka, znajdowały się w niej kolorowe ręczniki. Nigdy nie zapomnę tego widoku: mięsiste, wielobarwne frotté, skręcone w jakiś koszmarnie gruby sznur. To była stara pralka, okropnie hałasowała. Pewnie dlatego nie usłyszałam, jak mama wchodzi do domu. Źle się poczuła tamtego dnia, miała migrenę i wymiotowała w pracy, więc załatwiła sobie zastępstwo i poszła do domu się położyć. Robiła paznokcie żelowe, wspominałam o tym? Nie da się precyzyjnie zrobić komuś paznokci, gdy człowieka mdli. Wróciła więc wcześniej i przyszła do łazienki umyć ręce. Zobaczyłam ją dopiero, gdy zaczęła krzyczeć. Otworzyłam oczy – wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że je zamknęłam – i zobaczyłam jej niedokładnie wydepilowane łydki. Ten widok także mam do dziś przed oczami, podobnie jak skręcone ręczniki.*

*Josh przerwał, wstał i próbował szybko zapiąć spodnie, a ja usiadłam na podłodze i zaczęłam płakać. Coraz bardziej. Wyłam, zawodziłam, szlochałam i przez cały czas czekałam, aż mama do mnie przyjdzie. Byłam goła i było mi zimno. Jednak mama nie przychodziła, więc wstałam, starłam krew z podłogi, owinęłam się ręcznikiem i poszłam do*

kuchni. Josh leżał na podłodze. Zamiast gardła miał ciemną dziurę. Wszędzie było pełno krwi, ale ja w pierwszej chwili głupio pomyślałam, że to moja, no bo wiesz, miesiączkowałam. Jednakże Josh się nie ruszał, a twarz miał zastygniętą w jakimś głupim grymasie, jakby zdziwienie i wściekłość zmieszane w jedną okropną minę. Mama trzymała w ręce nasz najlepszy nóż, taki z ostrym czubkiem, piekielnie ostry. Używaliśmy go zawsze do jeszcze ciepłych bochenków chleba, bo ciężki jak brzytwa, nic się nie rozpadało.

Kołysała się dziwnie. Na twarzy miała ciemnoczerwone plamki, jakby tarła buraczki na tarce i prysnęło jej trochę w oczy.

– Tata mnie zmuszał – powiedziałam. – Mamo, słyszysz? Zmuszał mnie. Nienawidziłam go.

– To nie jest twój tata – odparła. – Nie był. I nie kłam, mała dziwko. Gdybyś nie chciała, to by cię nie posuwał.

Patrzyła na mnie z dziką nienawiścią i przez chwilę byłam absolutnie pewna, że teraz kolej na mnie – wbije mi ten nóż w gardło i zanim zdążę cokolwiek wyjaśnić, wykrwawię się tak samo jak ojciec. Tymczasem ona wbiła sobie ten nóż w udo, zawyła, a potem zaczęła się nim dźgać po brzuchu, po rękach... Tak dziwnie, na oślep i jakoś niezbyt mocno. Zupełnie jakby chciała się podziurawić albo zrobić coś równie głupiego. Pomyślałam, że jest w szoku. Pobiełam do holu i zadzwoniłam najpierw na pogotowie, a potem się zastanowiłam i zatelefonowałam jeszcze na policję. Dalej nic nie pamiętam, bo zemdlałam.

Dziwna ta moja historia, prawda? Psychoterapeuta – bo trafiłam na terapię, chyba o tym wspominałam. – pytał mnie potem, dlaczego nigdy nie powiedziałam matce, że dzieje się coś złego. Przez wiele tygodni nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, aż wreszcie któregoś dnia zrozumiałam. To przyszło do mnie niczym olśnienie, kiedy odwiedziłam mamę w szpitalu. Dopiero po trzech miesiącach zgodziła się ze mną

zobaczyć, tak bardzo mnie zniechęciła.

No więc odpowiedź była taka: bo mama kochała mnie mniej niż tata. Niż Josh. Zawsze to wiedziałam. Jakoś instynktownie wyczuwałam, że ona stanęłaby po jego stronie. Nie uwierzyłaby mi, tylko jemu.

Zresztą to nie było tak, że nie próbowałam prosić o pomoc. Próbowałam. Podczas tych wielu godzin sesji odkryliśmy z terapeutą mnóstwo takich sytuacji, kiedy usiłowałam w jakiś sposób wołać „ratunku!”. Tylko że nikt mnie nie słyszał. „Byłaś przezroczyista – tak powiedział psycholog. – Nie było cię widać. Niewielka, grzeczna, bezbarwna, nierzucająca się w oczy”.

Postanowiłam więc, że nigdy więcej nie będę przezroczyista. Będę się tak rzucać w oczy, jak to tylko możliwe. Zaczęłam się malować i wymyśliłam sobie wielobarwne stroje. Poznałam sposoby na odmawianie, trenowałam asertywność. Nauczyłam się robić to, co JA chcę, a nie – czego ktoś ode mnie oczekuje. Trwało to długo, ale się nauczyłam.

Matka też przeszła terapię, oczywiście. Po pierwszej próbie samobójczej przyszły następne, nałykała się prochów i usiłowała się powiesić, ale za każdym razem tak, żeby nie stało się jej nic poważnego. Nie jestem głupia, Witek. Doskonale wiem, że ona w ten sposób ucieka przed więzieniem. Woli siedzieć w psychiatryku.

No więc wracając do tej terapii – powiedziała mi kiedyś, bo wtedy dość często ją odwiedzałam, że nie zabiła go dlatego, że mnie skrzywdził. Tylko że skrzywdził ją. Zdradził i okłamywał. A przecież powinien był kochać. Ja nie byłam w tym wszystkim istotna.

W dniu, w którym to usłyszałam, podjęłam decyzję o wyjeździe. Chciałam zmienić wszystko: widok za oknem, szkołę, kraj i język. Akurat skończyłam osiemnaście lat, dlatego stało się to możliwe. W Polsce została ciotka, siostra mojej mamy, więc teoretycznie miał się mną kto

zająć, pomóc mi na starcie. Rzecz w tym, że ciotka znenawidziła mnie tak samo, jak mama. Musiały o tym rozmawiać przez telefon, bo pierwsze słowa, jakie od niej usłyszałam, brzmiały: „Jak suka nie chce, to psu nie da”. Chyba nie dziwi Cię, że nie chciałam u niej zostać. Zresztą nie nalegała. Zawarłyśmy układ: wybieram sobie jakieś małe miasteczko, bo w małych miasteczkach niewiele się płaci za wynajem kawalerki, dostaję tyle kasy, żeby zrobić wszystkie opłaty i żeby zostało pięć złotych na żarcie na dzień. To się wydaje mało, ale uwierz mi, da się za to przeżyć. Czasem udawało mi się nawet zaoszczędzić na kilka motków wełny, bo lubię robić swetry, no i jest o wiele taniej szyć ubrania niż kupować gotowe. Gdybym była lepszą kucharką, na pewno nie chodziłabym głodna, ale niestety jeszcze jestem w tym kiepska. Dlatego musiałam zacząć udzielać korepetycji. I sprzedałam mój ukochany rower, jedyną dużą rzecz, którą przywiozłam ze sobą z Irlandii.

Wybrałam Stawy, bo mama mi powiedziała, że tu się zaczęło moje życie. Moja historia ma swój początek w dawnym domu kultury, za ekranem. Tam właśnie maleńki plemnik zapłodnił komórkę jajową w brzuchu mojej matki, która nigdy mnie nie kochała. Jakoś głupio sobie wyobrażałam, że kiedy tu przyjadę, spotkam się z moim prawdziwym ojcem, który nie będzie pedofilem, tylko zupełnie normalnym facetem. I że on mnie polubi.

Jedyną osobą, która chciała odprowadzić mnie na lotnisko, była Kathryn. Oczywiście nie udało jej się to, bo za bardzo się naćpała. Poprzedniego dnia urządziłyśmy sobie łzawe pożegnanie. Dała mi pana Trawiastogłowego i poprosiła, żebym o niego dbała. „Jeśli uda ci się utrzymać go przy życiu przez rok – powiedziała – to ja obiecuję zrobić coś ze sobą. Może skończę jakiś kurs fryzjerski, kto wie. Pamiętasz, jak się nawzajem strzygłyśmy? Może uda mi się być kimś innym niż dziwką. Daj znać dokładnie za rok”.

*Dzwoniłam do niej co jakiś czas, kiedy się przeprowadziłam do Stawów. Potem przestała odbierać. Jak ją znam, to sprzedała telefon, żeby mieć na narkotyki. Albo go zgubiła. Jeśli jej się uda skołować następny, to się odezwie. Zawsze tak robiła.*

*To już koniec mojej opowieści, Witek. Co teraz ze mną zrobisz? Jesteś wystarczająco dziwny, więc może zupełnie nic. Może dla Ciebie nic nie znaczy to, że gwałcił mnie mój własny ojczym, o którym myślałam, że jest moim tatą. Że uciekałam z domu i upalałam się trawą, którą kupowałam za pieniądze z prostytutki mojej jedynej przyjaciółki. Że pierwszą rzeczą, którą kupiłam po przyjeździe do Polski, były porządne prochy, które pozwalają spać i się nie bać. I że tamtego wieczoru, kiedy zamordowano Filipiuka, też się nimi naćpałam i przez to nie pamiętam, co było dalej. Pamiętam tylko, że wyszłam szukać Czaroduszki, mojej małpki z dzieciństwa, a później wróciłam do domu i nałykałam się tabletek. Rano obudziłam się w kurtce i butach. Leżałam w poprzek materaca. Drzwi nie były zamknięte na klucz, Witek. A przecież zawsze je zamykałam.*

*Gdybyś nie napisał do mnie tego ostatniego listu, nadal zadreślałabym się myślą, że może to ja. Może poszłam tam, owładnięta nienawiścią, bo facet chciał mnie zgwałcić, a ja przysięgłam sobie, że już nigdy nikt nie tknie mnie wbrew mojej woli. Nie powiedziałam tego policji ani tej Twojej pani psycholog, ale tak sobie właśnie myślałam: może to ja go zabiłam. Dlatego próbowałam sobie podciąć żyły: żeby uciec. Tego nauczyłam się od matki.*

*Jednak teraz już tak nie myślę. Bo przecież ten pies zżarłby mnie żywcem. To nie mogłam być ja. Nawet naćpana nie przestałabym się bać tej wielkiej, oślinionej mordy.*

*Niedługo wrócę, Witek. Zgasimy światło i usiądziemy oparci o siebie plecami, i porozmawiamy tak, jak kiedyś rozmawialiśmy przez telefon.*



*Albo pomilczymy. W sumie jakie to ma znaczenie. Byle przez chwilę czuć,  
że człowiek nie jest całkiem sam na świecie.*

*Magda*

# A

więc jest już za późno, pomyślał Witek, zaciskając zęby. Nie zdążyłem. Magda napisała całą prawdę o sobie, a Beata Kremczuk zna teraz każdy szczegół i na pewno doniesie na policję, że tamtej nocy dziewczyna była naćpana, że wychodziła wieczorem i nic nie pamięta.

Rozejrzał się bezradnie po chłodnym wnętrzu mieszkania Magdy, gdzie przyszedł, by przeczytać w spokoju list. Nie mógł znieść beczynności, nosiło go z kąta w kąt. Sprawdził, czy pan Trawiastogłowy ma wodę, odchylił też osłonkę i ocenił stan korzeni kolejnego storczyka, którego kupił dla Magdy. Miał cudne białe płatki z delikatnym muśnięciem żółci, ale tego dnia Witek nie potrafił się nim zachwycić.

Żeby jakoś sobie poradzić z chaosem w myślach i uczuciach, chłopak wyszedł z mieszkania i postanowił pokręcić się trochę po mieście. Przez całe przedpołudnie padało, ale teraz wypogodziło się nieco i między chmurami zaczął się pokazywać chłodny błękit. Dni nie były już takie krótkie, zbliżała się wiosna i ziemia zaczynała nią pachnieć. Witek lubił ten zapach, ale tego dnia był zbyt zdenerwowany, by się nim cieszyć.

Magda się odstąpiła, krzyczał w myślach. Obnażyła się, nie wiedząc, że jej słowa przeczyta ktoś poza nią. Nie wolno mi było zataić tego przed nią. Powinienem być dla jej dobra przerwać naszą korespondencję, gdy tylko stało się

jasne, że zamierza mi się zwierzać.

Szedł przed siebie szybkim krokiem, najpierw główną ulicą miasteczka, potem bezwiednie skręcił wzdłuż rzeczki, którą należałoby raczej nazwać ściekiem. Za starym domem kultury skręcił w stronę hali sportowej. Czuł się dziwnie, jakby obserwował wszystko zza szyby albo na ekranie jakiegoś wielkiego telewizora. Ze sklepu spożywczego obok księgarni wychodziła starsza pani, niezgrabnie podpierając się laską. Naprzeciwko, przed budką z fast foodem, stały dziewczyny z jego klasy: Gośka, Olka i Martyna. Zatrzymał się. Z ruchu warg wyczytał, że Olka wypowiedziała słowo „Przypał”.

Gośka kupiła sobie kebab, a potem ruszyły w boczną uliczkę, jedną z tych, gdzie stary asfalt częściowo upstrzony był dziurami. Witek odczekał trochę, udając, że przegląda książki na witrynie księgarni. Wreszcie przeszedł na drugą stronę i podążył w tę samą stronę, co dziewczyny.

Przypomniał sobie, że tego dnia w szkole Martyna opowiadała o czymś z wielkim ożywieniem, raz po raz zerkając na niego. Być może wiedziała o czymś, o czym i on chciałby wiedzieć. To musiało dotyczyć jego samego, Magdy albo śledztwa. Jakimś cudem po miasteczku rozeszła się wieść, że te trzy tematy łączą się ze sobą.

Witek przyspieszył na tyle, by móc usłyszeć przynajmniej strzępy rozmowy.

—...zdechnąć już dawno – mówiła Martyna. – ...wody ani jedzenia...

Witek stanął jak wryty. Mówiła o psie. A więc dlatego zerkiała na niego w szkole – to przecież on jakiś czas temu pytał ją o psa Filipiuka. Chciał podejść bliżej i wypytać dziewczynę o szczegóły, ale krępował się tamtych dwóch, zwłaszcza Olki, w której spojrzeniu zawsze widział pogardę. Zamierzał więc iść za nimi i podsłuchać, ile się da. Pech chciał, że przed jednym z domów stał beczkowóz, który właśnie opróżniał przydomową oczyszczalnię, bucząc przy tym miarowo. Żeby nie zgubić wątku, chłopak przyspieszył. Wyszedł zza samochodu i nagle stanął jak wryty. Jedna z dziur w asfalcie wypełniona była błotem, a w nim widniał wyraźny odcisk buta. Wyglądał na świeży. Witek

podniósł wzrok, by ocenić, która z trzech dziewczyn mogła postawić stopę w tym miejscu. Nie zdążył jednak. Usłyszał pisk opon. Zza beczkowozu wyjechał – zdecydowanie zbyt szybko – stary, rozklekotany opel. Było za późno – i dla Witka, i dla kierowcy samochodu. Chłopak poczuł uderzenie na wysokości biodra i stracił równowagę. Czas zwolnił tak bardzo, że Witek zdążył się zastanowić, czy było słychać chrupnięcie kości. Chyba nie, pomyślał. Chwilę później zobaczył – niczym na filmie puszczone w zwolnionym tempie – jak do jego głowy przybliża się wysoki krawężnik.



Ocknął się w sali przeraźliwie pozbawionej kolorów. Początkowo odnosił wrażenie, że coś złego stało się z jego wzrokiem. Potem, kierując spojrzenie kolejno na obudowę łóżka, metalową szafkę, malutką umywalkę i wreszcie zasobnik z jakimś płynem do dezynfekcji, zrozumiał, że znajduje się w szpitalu.

Następnym zaskoczeniem był fakt, że nie mógł sobie przypomnieć, co tu robi i skąd się wziął w tym miejscu. Nie znał dotąd uczucia „nie mogę sobie przypomnieć” – nie miał pojęcia, że może to być aż tak męczące. Czuł się zdezorientowany i zagubiony.

Po chwili do pomieszczenia, w którym leżał, weszła kobieta w bieli.

– No i wszystko bardzo dobrze – powiedziała. Jej słowa także nie miały koloru. – Nie śpimy już i o to właśnie chodzi.

Witek chciał zapytać, co się wydarzyło, ale nie potrafił sobie przypomnieć odpowiednich wyrazów. Był jakby ogłuszony.

– Nie połamaleś się, a to najważniejsze – dodała jeszcze. – I czaszka cała. Ale poobserwujemy cię trochę, biedaku, bo po takim uderzeniu w głowę to sam wiesz.

Nie wiedział, ale otwarcie ust, by to powiedzieć, wydało mu się niepotrzebnym wydatkiem energii. Jedyne, na co jeszcze znalazł siłę, to zamknięcie oczu.

Ponownie obudził się, gdy siedziała przy nim zupełnie inna kobieta. Nie była ubrana na biało – miała na sobie granatowy żakiet i błękitne dżinsy. Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska, lecz był absolutnie pewien, że ją zna. Chciał jej coś powiedzieć. Miała jakiś związek z tym, że tu był. Z tym, co się wydarzyło, zanim tu trafił.

– Nie pamiętam – wyjąkał zamiast powitania. – Pierwszy raz w życiu czegoś nie pamiętam.

Kobieta roześmiała się i odrzuciła włosy przez ramię miękkim, pełnym wdzięku ruchem. Wraz z poruszonym w ten sposób powietrzem do chłopaka doleciała subtelna nutka perfum.

– Teraz wiesz, co przeżywamy my wszyscy, gdy zawodzi nas pamięć – powiedziała. – Tak to właśnie jest.

– Ale ja nie pamiętam... nic.

– Jak to nic? Nawet kim jesteś? Jak się nazywasz i ile masz lat?

– To na szczęście wiem. – Uspokoił się odrobinę. – Wit Malczyk. Dziewiętnaście lat.

– Świetnie. To teraz po kolei odkrywamy kolejne karty...

– Beata Kremczuk – przerwał jej, bo w jego głowie pojawiło się coś na kształt nagłego błysku. – Już wiem. Pani jest psychologiem.

Radośnie kiwnęła głową.

– Pani jest zła czy dobra?

Dopiero kiedy zadał to pytanie, uświadomił sobie, że nie należało tego mówić. A jednak to go właśnie nurtowało: podświadomie czuł, że przed wypadkiem miał o coś żal do pani Kremczuk, z jakiegoś powodu nie do końca jej ufał. Tylko nie mógł sobie przypomnieć, o co chodziło.

Kobieta spoważniała.

– Dobra, Witek. Jestem po twojej stronie. Uwierz mi, że nigdy nie zamierzałam zrobić niczego, co zaszkodziłoby tobie lub Madelaine.

Madelaine. To imię wydawało się obce. O kim ona mówi? I dlaczego słowa

nie mają barw, co się z nimi stało?!

– Czytałam te listy nie po to, by jakoś je później wykorzystać. Musisz mnie zrozumieć... Ja wraz z wami łamałam prawo. Skoro policja zabroniła wam kontaktu, należało po prostu...

Witek poruszył się niespokojnie, wywołując falę ostrego bólu w okolicach lewego biodra.

– Jakie listy? – zapytał. – Jaka Madelaine?

Beata Kremczuk westchnęła ciężko.

– Chyba powinnam porozmawiać z lekarzem – szepnęła. – Nie jest dobrze. Zaraz tu do ciebie wrócę.

Podniosła się, znów rozsiewając delikatny kwiatowy zapach. Witek zamknął oczy. Był bardzo znużony; uporczywe szukanie w pamięci zagubionych informacji było szalenie męczące.

– Dowiem się... – doleciał go jeszcze kobiecy głos, ale dalszej części zdania już nie usłyszał, bo zasnął twardym snem.

# M

inęły dobre dwa tygodnie, zanim psychiatra dał się w końcu przekonać, że Madelaine Robson nie myśli już o samobójstwie. Że chce jej się żyć, zamierza zacząć wszystko od nowa i widzi w życiu wyraźny cel. Zostanę grafikiem komputerowym, chcę się dostać na studia, recytowała jak z nut wyuczoną kwestię, muszę teraz dużo wkuwać, zwłaszcza matematykę. Mam przyjaciela, który mi w tym pomaga.

Jak było naprawdę? Cóż, bała się znacznie mniej, to było pewne. Zwłaszcza myśl o spotkaniu z jednookim policjantem już nie budziła w niej takiego lęku, odkąd Witek napisał, że rozmawiał z nim o psie Filipiuka, a pani Beata potwierdziła, że cały ten Wańkosz tylko udaje takiego nieprzystępnego.

Najważniejsze jednak było to, co Madelaine usłyszała od pani Kremczuk podczas ostatnich odwiedzin. Witek był w szpitalu, został potrącony przez samochód i choć teoretycznie nic się nie stało – nie miał nawet wstrząśnienia mózgu, tylko się potłukł – coś się porobiło z jego pamięcią.

– To chyba do jakiegoś stopnia normalne po urazie głowy – zauważyła dziewczyna.

– Jeśli można tu mówić o normalności, to pewnie tak – odparła z namysłem pani Beata. – Rzecz w tym, że Witek był... Że on miał pamięć niemal nadludzką. Nie zapominał niczego, rozumiesz? Mógłby ci powiedzieć, co jadł

dokładnie trzy lata temu. Nam, ludziom obdarzonym zwyczajną pamięcią, wydaje się to niemożliwe. Ale tak było. Wit nauczył się funkcjonować w świecie wypełnionym takimi szczegółami. Nie wyobrażam sobie nawet, jak zagubiony musi się czuć teraz, kiedy w jego umyśle pojawiły się czarne dziury.

– Co może mu pomóc? – zapytała cicho dziewczyna. – Są na to jakieś lekarstwa? Zabiegi, rehabilitacja?

– Lekarz powiedział, że nie jest to efekt urazu, bo Witek nie miał obrzęku mózgu, pęknięcia czaszki i tak dalej. A skoro tak, to musi być skutek szoku i po prostu trzeba czekać. Wypisali go już ze szpitala, ale do szkoły jeszcze nie chodzi. W zasadzie głównie leży. Nawet rozmawiać nie chce.

Madelaine pokiwała głową. Wprawdzie nie uzyskała odpowiedzi na swoje pytanie, ale informację o braku urazu głowy uznała za optymistyczną. Doskonale wiedziała, jak destrukcyjną siłę ma szok i jak długo mogą utrzymywać się jego skutki. Pamiętała jednak, że na ogół są odwracalne – natomiast nie była pewna, czy to samo można by powiedzieć o uszkodzeniach mózgu pod wpływem uderzenia. Uwierzyła więc, że wszystko będzie dobrze.

Chciała być przy Witku. Nie miała pojęcia, jak to się właściwie stało, że zakochała się w tym dziwnym chłopaku. Obiecała sobie nigdy do nikogo się nie przywiązywać, nikomu nie ufać – to, co przeżyła w dzieciństwie, było wystarczającym dowodem, że bliscy ludzie ranią najmocniej. Pewnie udałoby się jej dotrzymać słowa danego samej sobie, gdyby chodziło o zwyczajnego nastolatka. Jednak Witek nie był zwyczajny – był jeszcze bardziej samotny i wystawiony na ciosy niż ona. Nie umiał udawać, a przez to stawał się bezbronny.

Na początku po prostu lubiła z nim rozmawiać przez telefon. Wyobrażała sobie wówczas chłopaka stojącego tyłem, żeby nie widzieć jego twarzy. W tych wyobrażeniach był niewysoki i bardzo szczupły, starannie ostrzyżony, w jakiejś interesującej koszuli albo ręcznie dzierganym swetrze. Kiedy dowiedziała się, że jej „Adam” to Przypał, wielki i silny chłopak o mrocznym spojrzeniu, wiecznie



nieostrzyżony i nieogolony, jakby z innego świata niczym bohater powieści fantasy, poczuła głupie rozczarowanie. Siłą woli zmusiła się, by całą rzecz zracjonalizować. To samotny, odrzucony nastolatek, mówiła sobie. Jest tak samo wyobcowany jak ja, tylko ma mniej odwagi, by z inności uczynić swoją tarczę. Albo może nigdy nie wpadł na taki pomysł.

Po śmierci Filipiuka, kiedy chłopak gdzieś zniknął, a Magda tak bardzo potrzebowała jego obecności, zaczęła o nim rozmyślać. Przypomniała sobie różne sytuacje, w których Witek migał jej gdzieś w tle. Dopiero wtedy zrozumiała, że widywała go niemal bez przerwy, ale była to obecność nienachalna, taktowna. On po prostu chciał być blisko. Nie prześladował jej, nie próbował się zbliżyć. Tylko patrzył. Zażenowała się za nim wówczas, początkowo przede wszystkim dlatego, że stał się jej potrzebny: był jedynym sprzymierzeńcem w tym obcym otoczeniu. A jednak zniknął, zostawił ją. Pewnie dlatego tęskniła coraz bardziej.

Bała się przesłuchania na policji, lecz wiedziała, że to konieczne; przecież była u Filipiuka tamtego dnia, gdy został zabity, mogła coś lub kogoś widzieć. Musieli ją przesłuchać jako świadka – tego się spodziewała. Jednak kiedy policjant z nieruchomym okiem dał jej do zrozumienia, że jest podejrzana, wpadła w panikę. Po pierwsze dlatego, że znowu nikt jej nie wierzył. Przypomniały jej się lata dzieciństwa, te okropne dni, kiedy usiłowała dać mamie do zrozumienia, że dzieje się coś złego – zawsze bezskutecznie. Po drugie ten policjant wydał jej się okrutny, a ona bardzo bała się okrucieństwa. Nie rozumiała go. Jej samej trudność sprawiało nawet zabicie komara. Nie mogła patrzeć na krew. Chyba że swoją.

Nie wiedziała, czy zdoła uciec. Niby dokąd? Gdzie poczułaby się lepiej? Ciotka nie przyszłaby jej z pomocą, a poza nią dziewczyna nie miała nikogo. Wreszcie przypomniała sobie, co zrobiła w takiej sytuacji matka. Trzeba udąć samobójcę. Trzeba zrobić sobie krzywdę, ale nie do końca, tyle tylko, żeby nabrudzić i żeby to wyglądało na obłąd. Poskutkowało.



Ze szpitala przywiozła ją pani Beata. Sama to zaproponowała. W ogóle stała się bardzo miła po tym, jak dostarczyła ostatni list; Madelaine czekała na odpowiedź, ale zamiast tego otrzymała informację, że Witek miał wypadek i dlatego nie może odpisać. Zdenerwowała się okropnie, ale pani psycholog zapewniła ją, że nic poważnego mu się nie stało. Dopiero potem wspomniała o tych dziurach w pamięci.

Kiedy jechały do Stawów, Beata Kremczuk opowiedziała Madelaine o tym, jak Witek próbował pomóc w śledztwie.

– Miał rację z tym psem, wyobraź sobie – rzekła. – Początkowo Wańkosz traktował to jako bajdurzenie, ale ostatecznie rozesłał wici i zaczęto szukać. Pracownik nadleśnictwa natknął się na psie szczątki aż pod Konopką.

Madelaine zrobiła minę mówiącą, że kompletnie z niczym jej się nie kojarzy nazwa „Konopka”.

– No tak, skąd masz wiedzieć, przecież mieszkasz tu od niedawna. – Beata Kremczuk westchnęła. – To jest ośrodek wypoczynkowy. Piękne jezioro, wokół lesiste tereny... Obok ośrodka wiele osób ma działki rekreacyjne, ludzie jeżdżą tam na grzyby, wędkują i tak dalej. W każdym razie to jest dwanaście kilometrów od Stawów. Ale poza sezonem Konopka świeci pustkami i to zapewne był powód, dla którego ten człowiek zawiózł psa właśnie tam.

– I co? Zabił go?

– Nie, prawdopodobnie przywiązał do drzewa. Wtedy był jeszcze śnieg, ale potem przyszła odwilż, wszystko stopniało i zapewne psina zdechła z odwodnienia.

– Psina – powtórzyła Madelaine. – Delikatne określenie jak na takiego potwora.

– Rzeczywiście był taki groźny? – zainteresowała się pani psycholog. – Witek mówił o nim tak obrazowo, jak to tylko on potrafi... Sama wiesz. Czerwony bulgot w gardle i tak dalej.

– Coś w tym jest – przytaknęła dziewczyna i żołądek ścisnął się jej na myśl o tym, że niedługo porozmawia z Witkiem. – Czyli on pamięta tego psa? Nie wszystko zapomniał?

– Nie, to nie tak. O psie opowiadał wcześniej, przed wypadkiem. W każdym razie na swój sposób oczyścił cię z zarzutów. Chociaż „zarzuty” to złe słowo, przecież nigdy ci ich nie postawiono. Jednak ta historia z psem odsunęła od ciebie podejrzenia. Po pierwsze to musiał być ktoś miejscowy, skoro znał okolicę. Po drugie zapewne dysponował samochodem. A po trzecie nie zrobiłby tego ktoś, na kogo ten pies rzucał się z zębami. Przesłuchano pracowników Filipiuka, obaj zeznali, że zwierzę było bardzo agresywne wobec obcych, jeden nawet widział cię kiedyś, jak wchodziłaś na te korepetycje i gospodarz musiał przytrzymać psa.

– Tak. To było okropne, zawsze miałam wrażenie, że tym razem go nie utrzyma...

– Najważniejsze, że znaleźli te szczątki, bo w przeciwnym razie to byłaby tylko hipoteza.

– Tak. Witek się ucieszył?

Beata Kremczuk zwróciła na nią nic nierozumiejące spojrzenie.

– Że miał taką intuicję, że jego teoria się sprawdziła – wyjaśniła Madelaine.

– On nie pamięta... Nie wie, o jakiego psa chodzi.

Dziewczyna milczała przez chwilę.

– A mnie? – zapytała. – Mnie też zapomniał?

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem Madelaine zakryła twarz rękami.

– Na początku nie pamiętał także mnie – pocieszyła ją pani psycholog. – A przecież był moim pacjentem od dwóch lat. Nie martw się, przypomni sobie.

Potem nie mówiły już nic aż do samych Stawów.

# D

zien dobry – powiedział Witek i nerwowo poprawił potargane włosy.

Siedział na popielatym tapczanie. Wydał się Madelaine znacznie szczuplejszy niż dawniej. Może dlatego, że nie miał na sobie tych workowatych spodni i wielkiego swetra, tylko zwykłe dżinsy i T-shirt.

– Ładnie tu u ciebie – powiedziała, bo nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. – Widzę, że naprawdę lubisz storczyki.

Na samym parapecie stały cztery, a na biurku i półce jeszcze trzy kolejne. Każdy inny.

– Bardzo lubię – powiedział Witek i schował twarz w dłoniach. – Jestem Witek.

Madelaine nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić – z rękami, z całym roztrzęsionym ciałem. Przyszła do niego w odwiedziny, ponieważ nie mogła się doczekać spotkania. Po powrocie ze szpitala bardziej niż kiedykolwiek wcześniej czuła, że nie pasuje do otoczenia. Poszła do szkoły, lecz Witka nie było, a pozostali omijali ją z daleka, niczym zapowietrzoną. W zasadzie nie przeszkadzało jej to, przywykła jednak do myśli, że ma w Stawach kogoś, komu na niej zależy. Teraz bała się, że straciła nawet i to.

Usiadła obok chłopaka, zachowując jednak pewien dystans. Zapatrzyła się w wiszący naprzeciwko plakat, przedstawiający ścieżkę w lesie. Poszycie było

cudownie zielone od mchu.

– Wiem, że jesteś Witek – odparła i zerknęła na niego z ukosa. – A ja jestem Madelaine. Ale tu w Polsce wszyscy mówią na mnie Magda.

Twarz chłopaka rozjaśniła się na moment.

– Znam cię – szepnął. – To znaczy wiem, że znam Magdę. Czekałem na nią.

– Wiesz – powtórzyła. – Ale tego nie czujesz, prawda?

Witek spojrział na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Podobały jej się jego oczy, takie ciemne, okolone gęstymi, czarnymi rzęsami.

– Nie wiem, co czuję – odparł. – Chyba jestem nieszczęśliwy. Słowa przestały mieć kolor, świat jest teraz jakiś... szary. Nie mogę sobie przypomnieć tylu rzeczy, a jednocześnie tak wiele pamiętam.

– Co pamiętasz? – ożywiła się Madelaine. – Opowiedz mi. Może chodźmy gdzieś na spacer. Kiedyś obiecałeś, że zaprowadzisz mnie do domku dróżnika.

– Obiecałem? – spłoszył się.

– Tak. W liście.

– Dasz mi przeczytać ten list?

Dziewczyna spuściła głowę.

– Zniszczyłam go – wyznała. – Wszystkie twoje listy porwałam na kawałeczki i utopiłam w ubikacji. Bałam się, że znajdzie je policja i będziemy mieli kłopoty.

– Rozumiem. To znaczy... nie do końca rozumiem, ale to chyba wszystko jedno.

Zapadła krępująca cisza. Madelaine najchętniej by teraz uciekła, ale wiedziała, że gdyby znalazła się w swoim pustym mieszkaniu, zaczęłaby tego żałować. Jeśli na czymś ci zależy, walcz o to, powiedziała sobie w myślach. Nie odpuszczaj tylko dlatego, że idzie ci jak po grudzie, a cel... Celu nawet nie widać na horyzoncie.

– Chodźmy na ten spacer – poprosiła znowu. – Jeżeli nie do dróżnikówki, to gdziekolwiek. Tam, gdzie zostawiłam ci klucz od mojego mieszkania, żebyś

zadbał o pana Trawiastogłowego.

Witek poruszył niespokojnie głowę.

– A ja zadbałem? – zapytał niepewnie.

– Zadbałeś. Dziękuję.

– Aha. To dobrze.

Chłopak wstał z tapczanu i założył granatową bluzę. Madelaine pomyślała, że mogłaby zrobić dla niego na drutach sweter. Wyglądałby dobrze w kolorze gorzkiej czekolady. Gruba włóczka, luźny golf, warkocze na rękawach.

– Kiedy masz urodziny? – zapytała.

– We wrześniu. Drugiego.

To świetnie, pomyślała. Zdążę. I jeszcze mogę ci wydziergać szalik, czapkę i ciepłe skarpety. Tylko sobie mnie przypomnij, błagam. Miała ochotę powiedzieć to na głos, ale się nie odważyła.



Szli w milczeniu. Madelaine czuła pokusę, by wziąć chłopaka za rękę, lecz zabrakło jej odwagi. Zaprowadziła go do skrzynki, w której kiedyś ukrył dla niej prezent gwiazdkowy. Witek ze śmiesznie zmarszczonym nosem patrzył długo w stronę torów, jakby miał ochotę pójść nasypem ku zachodzącemu słońcu.

– Chodź – powiedziała Magda. – Teraz pójdziemy do mnie. Zobaczysz pana Trawiastogłowego, może ci się coś przypomni. Zaparzę herbatę i spróbujemy upiec szarlotkę. Dostałam w szpitalu łatwy przepis. Była tam taka jedna miła pielęgniarca...

– Lubię szarlotkę – odezwał się chłopak. – Moja mama piecze. Piekła – poprawił się. – Mamę pamiętam bardzo wyraźnie. W ogóle pamiętam wszystko z dawniejszych czasów. Pani Beata mówi, że moja pamięć zatrzymała się tuż przed twoim przyjazdem.

– A to pech.

W milczeniu weszli do mieszkania Madelaine.

– Poznajesz? – zapytała. – To ty zrobiłeś tu taki porządek.  
Witek tylko pokręcił głową.



To było dziwne popołudnie. Ona piekła ciasto, on siedział na krześle i przyglądał się, jak rozbija jajka, oddziela białka od żółtek, a potem ubija drewnianą łyżką. Dziewczyna próbowała zagadywać ciszę.

– Kiedyś kupię mikser – powiedziała. – Ale teraz muszę sobie radzić ręcznie. Ta pielęgniarka, siostra Iwona, powiedziała, że takie ciasto można nawet byle jak wyrobić, a i tak się uda. Obrałbyś jabłka?

Witek skinął głową. Umył i obrał owoce, a potem upewnił się, jak trzeba je pokroić. Przez jakiś czas pracowali w milczeniu, a potem nagle – zupełnie jakby otworzyły się w nim jakieś drzwiczki – zaczął mówić: – To nie jest tak, że nie pamiętam zupełnie nic. Mam jakieś dziwne wspomnienia, na przykład śmierzący koc i skradanie się w nocy, spanie na gałęziach świerka i uderzenie w głowę. Chyba miałem strup. – Pomacał się delikatnie po głowie. – Ale wiesz, najgorsze jest to, że te przebłyski do niczego mi nie pasują. Zupełnie jakbym znalazł stare, niekompletne puzzle. Chciałbym zobaczyć całość. Wiem, że jesteś tam ty. I wiem, że chodzi o to zabójstwo, bo mi wyjaśniła pani Beata. Mówiła o psie i twoim szpitalu, o całej reszcie. Ale wiem o tym od niej. Nie przypominałem sobie. To okropnie męczy.

– Przypomni ci się – uspokoiła go Madelaine. – Jeszcze trochę i zobaczysz cały obrazek. A wtedy skompletujesz swoje puzzle. Tymczasem dawaj te jabłka, układamy na cieście i wjazd do piekarnika.

– Opowiedz mi.

– Co mam ci opowiedzieć?

– O nas. O naszej znajomości.

Dziewczyna spojrzała na niego z namysłem. Gdybym miała pewność, że nigdy nie odzyska tego utraconego kawałka pamięci, pomyślała, to mogłabym

mu powiedzieć, że jesteśmy parą. Wmówiłabym mu, że mnie bardzo kocha, że jesteśmy ze sobą od samego początku, od mojego przyjazdu. Może to przełamałoby lody między nami. Ale ile warta byłaby taka udawana bliskość?

– Opowiem ci – zgodziła się. – Ale pod jednym warunkiem. Nie mogę na ciebie patrzeć, kiedy jesteś taki kudłaty. Pozwolisz mi się ostrzyć.

Witek schował głowę w ramiona.

– Nienawidzę fryzjera.

– Ale ja nie jestem fryzjerem. Ostrzygę cię tak, że wszystko będzie w porządku, zobaczysz. Nie będę szarpać grzebieniem ani ciągnąć...

– Nie rozumiesz. Ja właśnie... Źle znoszę delikatność.

– Słucham?!

– Źle znoszę delikatny dotyk – powtórzył chłopak. – Trzeba mnie dotykać mocno.

Madelaine zmarszczyła brwi. Nie rozumiała.

– Spróbujmy – powiedziała wreszcie. – Daj rękę, połóż tu.

Położył dłoń na stole. Dziewczyna dotknęła opuszką czubka jego palca wskazującego. Witek zacisnął zęby.

– Nie mogę – szepnął. – Nie wolno mnie głaskać.

– A teraz? – zapytała, kładąc całą dłoń na jego rękę i przyciskając mocno.

– Teraz dobrze.

– Więc nie można cię... – Chciała powiedzieć „pieścić”, ale zawstydziło ją, że w ogóle o tym pomyślała. – Traktować delikatnie? – dokończyła. – A jak przytulała cię mama?

– Mocno. Kiedy płakałem, przyciskała mnie do ziemi i od razu robiło się lepiej. Bezpiecznie.

Madelaine chciała powiedzieć, że to dziwne, ale powstrzymała się od tego komentarza. Sama też była dziwna. A zatem dwoje dziwaków spróbuje być razem, pomyślała.



– Dobrze, więc będę cię szarpać za te straszne włosy – rzekła. – Ale nie odpuszczę. Chodź do łazienki. Najpierw zmoczmy włosy, a potem cię ostrzygę. Ćwiczyłam na Kathryn, jestem w tym niezła. A nawet gdybym nie była, to gorzej już być nie może.

Mina Witka wskazywała, że kompletnie nie wierzy w jej umiejętności fryzjerskie, ale zgodził się w końcu. Posłusznie zdjął koszulkę i pozwolił sobie umyć głowę, nachylając się nad wanną. Potem Madelaine rozczesła mu półdługie kędziory i usadziła chłopaka na krześle w malutkiej łazience. Patrzyła, jak kropelki wody spływają po jego ramionach i myślała o tym, że musi chyba ćwiczyć, bo jest taki muskularny. Podobały jej się jego plecy. Jak to możliwe, myślała, że nie będą się mogła do niego przytulić i pogłaskać go, wodzić palcami po tych mięśniach. Choć dotąd dotyk i seks, przez to wszystko, co spotkało ją ze strony Josha, wydawały jej się czymś obrzydliwym, teraz zapragnęła pieszczot.

Tyle że nie chciała ich brać – chciała dawać.

# A

le co ja mam z tym zrobić według ciebie? – zdenerwował się Paweł.

Beata Kremczuk patrzyła na męża wzrokiem skrzywdzonego szczeniaczka, żeby zmiękczyć jego serce.

– Przemyśleć – odpowiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Pokazałam ci te listy, żebyś wiedział, z jak skomplikowaną sprawą mamy do czynienia. To jest dziewczyna, która nie do końca ogarnia rzeczywistość. Po pierwsze jest emocjonalnie niestabilna. Raz wygania tego chłopaka, raz się do niego garnie.

– To chyba nie tylko ona. Wielu ludzi ma ten problem.

– Bagatelizujesz to, Paweł. Po drugie... daj mi skończyć, ona tu wspomina o morderstwie. Że chciała zabić tego Josha, tylko nie wiedziała, jak to się robi. Ale teraz już wie, prawda? Widziała, jak to zrobiła matka.

– Dorabiasz ideologię. A w ogóle zacznijmy od tego, jakim prawem tych dwoje się kontaktowało?!

Beata spojrzała na niego ze złością. Naprawdę był tak głupi, czy tylko udawał?

– Nie rozumiesz, że pośrednicząc w tej wymianie listów, oddałam wam przysługę? – warknęła. – Dzięki temu wiemy, że nie pisali na temat zabójstwa. Pomyśl, gdyby oboje kłamali, próbowaliby przemycić jakieś treści, uzgodnić wersje...

– Och, Beata, przestań. Nie masz pojęcia, czy nie przemycili. Nad takimi sprawami głowią się czasami specjaliści od szyfrów, a ty rzucisz okiem na list i już wydajesz werdykt...

– Nie. Ale dziewczyna nie miała pojęcia, że ja te jej zwierzenia czytam...

– Bzdura. Jeśli jest choć trochę inteligentna, domyśliła się tego. Nie jesteś jej przyjaciółką, tylko panią psycholog, w dodatku żoną gliniarza. Wróć na ziemię, kobieto!

– Gdyby zakładała, że zajrzę do tych listów, nie pisałaby tak szczerze o wykorzystywaniu seksualnym...

– Moim zdaniem właśnie niekoniecznie pisała szczerze. Napisała to, co chciała, żebyś o niej wiedziała. Może zmyśliła całą tę historyjkę?

– Przecież sam mi mówiłeś o zabójstwie! Że jej matka zabiła męża w afekcie.

– Dobra, dobra. Ja w ogóle nie widzę związku między tymi dwiema sprawami. Filipiuk był paskudną postacią, mógł go zabić jakiś dawny koleś od ciemnych sprawek, mogła to być jedna z dziewczyn, które zatrudniał przy granicy, może też ktoś ze wschodniej Polski, bo i tam miał zatargi...

– Albo Madelaine Robson – dokończyła Beata. – Ponieważ zaczął się do niej dobierać. A ona obiecała sobie, że już nigdy nie pozwoli się skrzywdzić. W dodatku wieczorem się naćpała i nie ma pojęcia, czy nie wychodziła...

– Sama wiesz, że tego typu domniemania są guzik warte, kiedy nie ma żadnych dowodów. Żadnych, rozumiesz?

– Rozumiem.

– W dodatku ten twój genialny Malczyk wydedukował, że to musi być ktoś stąd, prawda? Ktoś zaprzyjaźniony z psem i obeznany z okolicą.

– Więc widzisz, że odpada zemsta dawnego koleśa, panienki z domu uciech albo ruskiej mafii. Przeczysz sam sobie! – zawołała triumfująco Beata. – Nic w tej sprawie nie jest oczywiste. I nic nie jest przesądzone.



Rozmawiali w ten sposób jeszcze przez jakiś czas, lecz dyskusja skończyła się jedynie tym, że w nerwowej atmosferze położyli się spać, a potem długo leżeli, odwrócenii do siebie plecami, zanim w końcu udało im się zasnąć. Beata rozmyślała o tym, że mimo najszczerzych chęci nie zdołała zaufać Madelaine. Była przekonana, że ta dziewczyna coś ukrywa.

Niepokoili ją także utrata pamięci Wita Malczyka. Takie rzeczy nie dzieją się bez przyczyny, przekonywała samą siebie. Skoro nie ucierpiał mózg, czaszka i tak dalej, to skąd te problemy? W dodatku u kogoś, kto przedtem pamiętał dosłownie wszystko! Czy nie jest przypadkiem tak, że Witek usilnie stara się coś wyprzeć, wyrzucić z umysłu informacje, z którymi – jako osoba nieumiejąca kłamać – nie potrafi sobie poradzić?

Z tymi niewesołymi myślami Beata w końcu zasnęła. Śniło jej się, że uprawia seks z Witem Malczykiem, a przez okno przygląda się temu Madelaine Robson.

## W

itek i Madelaine spotykali się codziennie i z każdym dniem czuli się ze sobą coraz swobodniej. Niestety chłopak nadal nie przypomniał sobie, jak poznał Magdę – nie pamiętał pierwszych rozmów przez telefon ani tamtego okropnego dnia w szkole, kiedy dziewczyna zadzwoniła do niego, stojąc zaledwie kilka metrów dalej. Zrelacjonowała mu to wszystko, a on z kolei opowiadał jej o czasach, kiedy mieszkał z rodzicami w Zielonej Górze. Temat jej dzieciństwa nie wrócił w tych rozmowach. Magda uznała, że jeśli chłopak odzyska pamięć, wówczas historia Josha pojawi się w jego głowie. Ona sama nie czuła się na siłach, by opowiadać to wszystko po raz kolejny.

Witek znów zaczął chodzić do szkoły – właściwie wyłącznie dlatego, że dzięki temu zyskiwał dodatkowe minuty spędzone w towarzystwie Madelaine. Oboje stopniowo zaliczali zaległe testy i kartkówki – on szybciej, bo wystarczyło mu tylko przejrzeć notatki, a ona w swoim tempie. Odpytywał ją z niemieckich słówek, czasem też rozmawiali po angielsku i wtedy ona uczyła jego.

Popołudnia spędzali u niej. Niekiedy Witek robił po drodze zakupy i potem pichcili coś razem. Dwa razy wyszła z tego kompletna klapa – najpierw babka drożdżowa z półpłynnym środkiem, innym razem ciastka owsiane tak twarde i przyklejone do blachy, że Witek chciał skoczyć po młotek, żeby je pokruszyć.

Ostatecznie zostały zalane wodą i wspólnie zeszkrobane po kilku godzinach.

Kiedy już się najedli i nauczyli wszystkiego, co było do nauki na następny dzień, kładli się na materacu Madelaine i słuchali muzyki. Początkowo leżeli tak daleko od siebie, jak tylko pozwalała na to szerokość materaca, ale stopniowo odległość między nimi zaczęła się zmniejszać, w miarę jak oswajali swoje dłonie niczym półdzikie, nieufne i trochę przestraszone zwierzątka.

Wreszcie pewnego dnia – a żadne z nich nie umiałyby potem opowiedzieć, jak to się stało – ich małe palce dotknęły się i nie uciekły. Leżeli w ciemności rozjaśnianej tylko przez przejeżdżające z rzadka samochody, których reflektory omiatały na chwilę sufit, i słuchali *Wish you were here*. Witek nie mógł złapać tchu. Gorączkowo zastanawiał się, czy Magda zasnęła i dlatego nie zabrała ręki – jednak właśnie wtedy ona dołożyła do tego małego palca drugi, serdeczny, i wtedy nie mógł już mieć wątpliwości, że to wszystko nie dzieje się przypadkiem.

Piosenka się skończyła, ale żadne z nich nie zareagowało. Dotykali się z takim namaszczeniem, jakby od tego, czy nie pominą żadnego milimetra skóry, zależało coś niezwykle ważnego. Wreszcie Madelaine zdobyła się na odwagę i sięgnęła palcem do ust Witka, obwiodła je opuszką, drżąc z napięcia, bo przecież pamiętała, że on nie znosi delikatnego dotyku. Nie zdążyła jednak zapytać, czy wszystko w porządku, ponieważ chłopak przywarł do niej całym ciałem, dygocząc znacznie mocniej niż ona. Wczepił się w nią, jakby potrzebował ratunku. Domyśliła się, że jej czułość wyzwoliła w nim emocje, z którymi nie umiał sobie poradzić, więc z całej siły objęła jego głowę dłońmi i pocałowała go w czoło. Podniósł twarz, jakby chciał coś powiedzieć, i wtedy zupełnie przypadkiem spotkały się ich usta.

Najpierw pocałunki były ostrożne. Uczyli się dotyku swoich warg, wypróbowywali ich ciepło, smak i miękkość. Potem porwała ich namiętność. Całowali się do rana jak szaleni, niestrudzenie, nie bacząc na to, że skończył się wtorek, a zaczęła środa, że trzeba będzie iść do szkoły, że w ogóle jest jakiś

świat poza nimi. Nawet nie zauważyli, kiedy zaczęło świtać.

– Nie wiem, co ci mówiłem przedtem – wyszeptał Witek, kiedy sygnał budzika w komórce Magdy zmusił ich, by oprzytomnieli. – Czy umiałem wyrazić to, co czułem. W każdym razie teraz nie umiem.

– To nic nie szkodzi – odparła Magda. – Ja przecież wiem.

Podniosła się i poszła do kuchni. Była w legginsach, miała pogniecioną koszulkę i okropnie potargane włosy, a mimo to wydała się Witkowi zjawiskowo piękna.

– Chcesz kawy? – zapytała głośno. – Po takiej nocy chyba nam nie zaszkodzi.

– Nie, skoczę do domu. Spotkamy się w szkole.

Witek wstał i poprawił czuprynę. Nie mógł się przyzwyczaić, że jego włosy są teraz takie krótkie. Magda zajrzała do pokoju. Miała smutne oczy.

– Tylko tyle? – szepnęła. – Spędziliśmy razem noc i już?

– Nie rozumiem.

Naprawdę nie rozumiał. Czego ona oczekiwała? Podszedł bliżej i delikatnie ujął jej twarz w dłonie. Wydawała się krucha, malutka w tych jego rękach wielkich jak bochny chleba.

– Boję się, Witek.

– Czego? – Pocałował kolejno powieki, czoło i nos, a potem przygarnął dziewczynę do siebie. – O co ci chodzi?

– O to, że mnie zranisz.

Jak zwykle, w pierwszej chwili potraktował to dosłownie i instynktownie odsunął się od niej. Dopiero po paru sekundach dotarło do niego, co Magda ma na myśli.

– Dlaczego miałbym cię zranić? Czy wcześniej... Czy przed wypadkiem zrobiłem coś takiego?

– Nie. Nie o to chodzi.

Wróciła do kuchni. Witek poszedł za nią, zakłopotany i zdezorientowany. Nie rozumiał, jaki miała problem z tym, że spędzili razem noc, całując się jak wariaci. To źle? Nie chciała się całować? Zrobił coś nie tak?

– Magda, ja... Jestem kiepski w interpretacji takich rzeczy. Musisz mi mówić wprost, jeśli w jakiś sposób sprawiam ci przykrość.

– Nie o to chodzi! – krzyknęła. – Tylko po prostu... Kocham cię! Rozumiesz?

Rozpłakała się, a on znowu nie rozumiał dlaczego. Jak dawniej, kiedy kompletnie nie wiedział, co zrobić i powiedzieć, w jego głowie pojawiły się fragmenty poezji.

– „Mówisz, że kochasz deszcz, a rozkładasz parasolkę, gdy zaczyna padać. Mówisz, że kochasz słońce, a chowasz się w cieniu, gdy zaczyna świecić. Mówisz, że kochasz wiatr, a zamykasz okno, gdy zaczyna wiać. Właśnie dlatego boję się, kiedy mówisz, że mnie kochasz”.

– Co takiego?!

– To Szekspir.

– Do cholery, po co mi tu wyjeżdżasz z Szekspirem?! Wyznałam ci miłość, wariacie, a ty cytujesz poezję?!

Witek się stropił. Nie miał pojęcia, czy ona się złości, czy żartuje. W oczach wciąż miała łzy, ale trochę się uśmiechała, i dlatego pogubił się całkowicie.

– Czasami, kiedy nie wiem, jak wybrnąć, mówię cytatami – wyjaśnił. – Albo recytuję definicje. Pani psycholog mówiła, że bym tego nie robił, ale to mi się samo nasuwa.

Magda uśmiechnęła się już szerzej. Szybko otarła policzki.

– Pani psycholog miała rację – powiedziała. – Wszystko, tylko nie definicje.

– Dlaczego? – zapytał. Odważył się podejść bliżej i znów ją objął. Pozwoliła się pocałować, a potem ukryła twarz na jego piersi. – Definicje są fajne, tak przejrzyście wszystko porządkują.

– Niektórych rzeczy nie da się przejrzyście uporządkować – zamruczała



Magda i pocałowała go przez koszulkę tam, gdzie biło jego serce. – Ale to nic. W każdym razie z dwojga złego wolę, żebyś cytował poetów.

– Z dwojga złego? Poezja nie jest złem.

– Ty jak zwykle dosłowny do bólu. Tak, nie jest złem, wiem o tym. Wiem też, że zakochałam się w chłopaku, na którego mówią Przypał. Ciekawe, skąd ta ksywka.

Chyba chciał jej odpowiedzieć, ale zamknęła mu usta pocałunkiem, a potem odwróciła się, by wreszcie zalać kawę gorącą wodą.

– Idź już i zjedz porządne śniadanie – powiedziała. – Ja mam w lodówce tylko kawałek starej pasztetowej. Po wczorajszej sałatce nie została nawet brudna miska.

– Bo pozmywałem – odparł Witek takim tonem, jakby czekał na pochwałę.

– Wiem, wiem. Byłeś bardzo dzielny. Idź już. Do zobaczenia w szkole.

Kiedy wyszedł, wypila kawę, parząc obolałe od pocałunków wargi. Potem szybko wzięła prysznic. Chciała wyglądać ładnie i świeżo, chciała pięknie pachnieć – dla niego. Była zakochana, szczęśliwa, pragnęła go i tęskniła za nim każdym kawałeczkiem skóry. Cała jej paskudna historia, wszystkie obrzydliwe wspomnienia związane z Joshem, cały paniczny lęk przed złym dotykiem – wszystko to poszło w niepamięć.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, pomyślała, że Witek wrócił, bo nie mógł się doczekać. Zerknęła na zegar – dochodziło wpół do ósmej. Wariat, pomyślała z uśmiechem, za kilkanaście minut spotkalibyśmy się w szkole. A potem otworzyła drzwi.

W

itek rozglądał się bezradnie po szkolnym dziedzińcu. Dlaczego Magda nie przyszła? Próbował sobie przypomnieć, czy powiedział coś przykrego – czy na przykład czymś jej nie obraził. Zapewne na wyznanie miłości należało zareagować inaczej, niż cytując Szekspira, ale przecież z tak błahego powodu nie opuściłaby dnia w szkole, zwłaszcza teraz, kiedy z takim trudem odrabiała zaległości. Pytanie brzmiało, czy to, co jemu wydawało się błahe, nie było dla niej czymś piekielnie ważnym.

A może zasnęła, pomyślał. Położyła się na chwilę po jego wyjściu i teraz odrabia straty po tej szalonej nocy. Ta myśl uspokoiła go trochę. W pierwszym odruchu chciał zwać z polskiego i pójść do Magdy, ale potem stwierdził, że należy jej się trochę snu. Sam też czuł się dziwnie, jakby wokół głowy miał kokon z niewidzialnej waty. Słowa nauczycieli wydawały się gęste, docierały do niego z opóźnieniem, a na chemii zaczął tak przeraźliwie ziewać, że nauczycielka omal go nie wyprosiła.

Zaniepokoił się ponownie, gdy po długiej przerwie kilkakrotnie zadzwonił do Magdy, a ona nie odebrała. Niemożliwe, żeby spała aż tak twardo, pomyślał. Wreszcie podjął decyzję, że odpuści sobie pozostałe lekcje, i poszedł ją obudzić. Pukał dobrych kilka minut, a gdy nie otwierała, zdecydował się użyć swojego klucza. Mieszkanie było puste. Śpiwór na materacu wymięty, dokładnie tak, jak

go zostawili. Przy zlewie kubek z fusami po czarnej kawie. W łazience wilgotny ręcznik, mokra szczoteczka do zębów. Kurtki ani martensów nie było w przedpokoju. A więc wykąpała się i wyszła.

Wybiegł i pognął tam, gdzie zaprowadziła go podczas pierwszego spaceru – do starej skrzynki pocztowej. Oczywiście niczego tam nie znalazł. Zawrócił, poszedł do szkoły, bo przecież mogli się minąć; pokręcił się trochę po korytarzach, a po dzwonku na przerwę – przekonawszy się, że Magdy nadal nie ma – udał się wreszcie tam, gdzie od początku obawiał się ją znaleźć. Na komisariat.

Dyżurujący policjant wstał i chyba chciał go powstrzymać, lecz Witek poszedł prosto do pokoju, w którym poprzednio rozmawiał z jednookim. Miał rację. Siedzieli tam we czwórkę: Kremczukowie, Wańkosz i wreszcie Magda, blada i jakaś skurczona. Witkowi boleśnie ścisnęło się serce na widok jej wielkich, wystraszonych oczu.

– Ale dlaczego to zataiłaś? – pytał podniesionym głosem Paweł Kremczuk, a z intonacji tego zdania Witek wywnioskował, że nie pierwszy raz zadaje to pytanie.

Nawet gdyby w tym momencie nie przerwało im wejście chłopaka, Magda pewnie i tak by nie odpowiedziała. Kręciła tylko głową. Wyglądała, jakby nie do końca rozumiała, co się wokół niej dzieje.

– Może on coś wiedział. – Beata Kremczuk podniosła się z krzesła i zrobiła krok w stronę chłopaka. Zrozumiał, że liczyła na jego prawdomówność i niezdolność do kłamstwa; przez chwilę żałował, że w ogóle tu przyszedł. – Co było na dysku laptopa?

Witek patrzył na nią osłupiały. Musiała być bardzo zdenerwowana, bo miała drżący głos i rozbiegane oczy.

– Jezu, zapomniałam – jęknęła. – Przecież ty nic nie pamiętasz.

– Dobra, koniec zabawy – odezwał się nagle Wańkosz. – Panienska jest zatrzymana, to już nie przelewki. Są ślady biologiczne, jest próba ukrycia

dowodów w sprawie...

– Witek – szepnęła Magda.

Chłopakowi wydało się nagle, że cały świat gdzieś odpłynął. Była tylko jego dziewczyna i te niebieskie tęczęwki, wpatrujące się w niego z nadzieją. Wierzyła w niego, potrzebowała pomocy, a przecież czuł się tak samo bezradny jak ona.

– Laptop? – zapytał. – Czyj laptop? Magda, przecież ty nie masz laptopa.

– Dobra, dość tego – przerwał Wańkosz. – Pani Madelaine Robson pójdzie z nami. Radziłbym się pożegnać, bo znowu dość długo się nie zobaczycie.

Witkowi pociemniało w oczach. Zamierzali mu zabrać Magdę. Teraz, kiedy po raz pierwszy od tak dawna czuł, że jest ktoś, komu na nim zależy, kto czeka na niego i chce, by zwyczajnie był obok...

– Proszę zaczekać! – krzyknął z rozpaczą. – Ja wiem! Wszystko wiem, tylko gdzieś mi się to pogubiło. Powiedzcie, o co chodzi z tym laptopem!

Paweł Kremczuk spojrział na Wańkosza, a potem obaj skierowali spojrzenie na Beatę.

– To był laptop Filipiuka – powiedziała powoli pani psycholog. – Kojarzy ci się z czymś? Witek?

Chłopak zamknął oczy. Bardzo chciał, żeby mu się z czymś kojarzył, ale nie mógł znaleźć w swojej dziurawej pamięci zupełnie nic, co wiązałoby się z laptopem.

– Znaleziono go na wysypisku – odezwała się Madelaine. – I w środku są podobno moje... coś tam. Odciski palców, naskórek czy coś. A ja go miałam w rękach tylko przez parę minut. Dostałam go od jakiegoś zapyziałego faceta, odniosłam Filipiukowi i tyle. Na pulpicie był film porno, jakieś amatorskie świństwo, nie obejrzałam do końca, kiedy się zorientowałam, co to w ogóle jest.

– Dlaczego przysłał go tobie? – zapytał Kremczuk tym samym tonem, co poprzednio.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparła Magda płacząco.

Witek otworzył oczy, żeby na nią patrzeć. W tej chwili wiedział na pewno,

co należało odpowiedzieć na jej poranne wyznanie: „Ja też cię Kocham. Chciałbym ochronić cię przed całym brudem tego świata”.

– Skąd wiesz, że to porno było amatorskie? – zapytał.

– Co takiego?

– Skąd to wiesz? Kto tam był?

– Nie mam pojęcia. Ale wewnątrz było to samo. Rozumiesz? Film był kręcony w domu Filipiuka.

Policjanci spojrzeli po sobie, ale żaden się nie odezwał.

– Facet filmował sam siebie?

– Witek, nie przyglądałam się! – krzyknęła. – Pamiętam tylko, że była jakaś dziewczyna... Z dużym biustem. – Zaczerwieniła się gwałtownie. – I ze znamieniem na karku. Bo tam było... – Jeśli to w ogóle możliwe, stała się jeszcze bardziej czerwona. – Było od tyłu.

W głowie Witka coś błysnęło, a potem świat zakołysał się nagle i wypełnił kolorami. Zacisnął powieki, bo poczuł się jak kiedyś w dzieciństwie, kiedy matka jedyny raz zabrała go na karuzelę. Wszystko wściekle wirowało, a jemu w głowie migają obrazy, jeden za drugim, jak przewijany w zbyt szybkim tempie film.

– Dzieci, miło posłuchać, jak sobie gawędzicie o seksie – wtrącił Wańkosz głosem zimnym jak lód – ale muszę pannę Robson poprosić, aby udała się ze mną do zupełnie innego przybytku.

– Wiem! – przerwał mu Witek. Kiedy wreszcie otworzył oczy, przez chwilę miał wzrok szaleńca. – Już wiem. Pamiętam. Znamię na karku. Byłem z klasą na basenie w zeszłym roku. I pamiętam odcisk buta w błocie. Wszystko już pamiętam, wiem wszystko – powtarzał gorączkowo. – Czy ja mogę pana prosić na słówko?

Wańkosz przyglądał mu się przez chwilę sceptycznie, ale kiwnął głową.

– Państwo na nas zaczekają – zwrócił się do Kremczuków i wskazał ruchem głowy na Madelaine, jakby ktokolwiek mógł mieć wątpliwości, że ona zostaje z

nimi. – A ty, młody człowieku, chodź ze mną.

Zaprowadził Witka do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie znajdowało się tylko biurko i mnóstwo regałów ze skoroszytami.

– Co ty znowu odpierdalasz? – zapytał, najwyraźniej napawając się reakcją chłopaka na wulgaryzm.

– Czym zabito Filipiuka? – odpowiedział pytaniem Witek.

– Ty mi powiedz – prychnął policjant. – Gdybym to wiedział, już dawno miałbym sprawcę. Ostry przedmiot, idealnie okrągła średnica, czubek na kilka milimetrów, u nasady znacznie grubszy. Zresztą najwyraźniej miał tego więcej, bo rany nie były równe.

– Tak, wiem, już wiem – powiedział Witek trochę nieprzytomnie. – To teraz dobrze by było, gdyby pan ze mną podjechał do domu. To znaczy nie konkretnie do mnie, ale adres ten sam.

# W

ańkosz zaparkował przed kamienicą z czerwonej cegły i wysiadł, patrząc badawczo na Malczyka. Jeśli to taka ściema, myślał, jeśli ta mała zamierza prysnąć, to mam tylko nadzieję, że Kremczuk ma oczy dookoła głowy. Po tych popieprzonych dzieciakach można się wszystkiego spodziewać.

Chłopak skierował się do jednej z dwóch klatek schodowych. Ostrożnie i nieco niepewnie pchnął cienkie drzwi, potem pomyślał chwilę i wreszcie skierował się do mieszkania na parterze.

– Wiedziałem, że ona biega – powiedział ni to do siebie, ni do policjanta. – Nawet trenuje do maratonu. Ale jakim cudem ten pies...?

Marian Wańkosz nic z tego nie rozumiał. Stał w lekkim rozkroku, wciąż przekonany, że chłopak coś knuje, i przyglądał się, jak tamten puka do drzwi.

Otworzyła im wysoka blondynka. Wokół palców miała nawinięte paski srebrnej folii.

– Witek? – zapytała z przestraczem. – I pan...? A ja właśnie zmywam hybrydy.

Policjant kątem oka zauważył, że Malczyk wsunął but między drzwi a futrynę.

– Możemy? – zapytał chłopak. – Tylko na chwilę.

– Ale tata... – powiedziała cicho dziewczyna, wyraźnie zawstydzona – Tata

nie jest w stanie...

– Nie, ja bym chciał z tobą porozmawiać. I pan też.

Zrobiła zdziwioną minę, jednak odsunęła się i wpuściła ich do środka. Przeszli korytarzykiem w głąb mieszkania, w którym unosiła się woń przetrawionego alkoholu. Jakby na przekór temu zapachowi, wszędzie panował nieskazitelny porządek.

– Proszę bardzo, zapraszam. – Dziewczyna zaprowadziła ich do kuchni i usiadła przy stole. – Przepraszam, chwilowo nie zaproponuję herbaty, bo te palce... – Wskazała brodą folię na swoich dłoniach.

– Nie, nie, my nie będziemy pić herbaty – powiedział nerwowo Witek.

Wańkosz zauważył, że chłopak błędził wzrokiem po pomieszczeniu, jakby nie miał odwagi spojrzeć blondynce w oczy. Może to jego była, pomyślał policjant. Może biorę udział w jakimś tandetnym przedstawieniu...

– Chcieliśmy tylko zapytać – podjął Malczyk – jak ci się udało ułamać te sople. Przecież okap tam jest dość wysoko.

Dziewczyna wyraźnie osłupiała. Przez kilka chwil nie mogła wydobyć głosu. Wańkosz był nie mniej zdumiony, ale starał się nad sobą panować.

– Czy może była tam jakaś drabina...? – zapytał jeszcze Witek. – Ale nie, drabiny nie widziałem.

W oczach blondynki zamigotało coś złowrogo.

– Gównu, nie drabina – powiedziała hardo. – Na tarasie stała miotła do liści. Potem tą samą miotłą pozamiatałam ślady i wrzuciłam ją przez ogrodzenie.

– To była zemsta, tak? Za ten film porno?

– Wiesz co? – Ton dziewczyny zmienił się na lodowaty. – Nie muszę ci się spowiadać. Jak już mnie wreszcie macie, to będę rozmawiać tylko w obecności adwokata. Od dawna się na to przygotowywałam. A Karola naprawdę kochałam. Tylko że potem pojawiła się ta twoja tleniona lalunia z Anglii czy skądś tam i zaczął ją podrywać. Zawsze nowe wydaje się bardziej atrakcyjne, no nie?

– I dlatego go zabiłaś? – zapytał Malczyk z bezbrzeżnym zdumieniem. – Z



zazdrości?

Co ja tu, kurwa, robię, pomyślał Wańkosz. Kto właściwie prowadzi to śledztwo?

– Nie z zazdrości. Gnojek jeden po pierwsze dał jej laptopa z naszym filmem. No komu jak komu, ale jej?! A po drugie mnie się tak nie traktuje, Witek. Nie pozwolę się odstawić w kącie jak zepsuta dmuchana lala, z której zeszło powietrze. Poszłam mu to powiedzieć. Był zalany w trupa, *nomen omen*. Wcale nie chciałam go zabić, w każdym razie wtedy o tym nie myślałam. Ale ledwo stał na nogach i bełkotał coś o tym, że dał jej laptopa, a ona mu, suka, odesłała, że niby badziewie. I że jeszcze ją zerżnie tak, że będzie prosiła o więcej. A ja żeby się nie martwiła, bo jakbym się nie dostała na studia, to on ma dla mnie robotę w tym swoim burdelu. Wściekłam się, trochę się poszarпалиśmy, on upadł, walnął głową w ten murek na tarasie. I wtedy mnie poniosło. Obtłukłam miotłą ten sopel i dźgnęłam gnoja w gardło. Raz i drugi, i powiem ci, że poczułam taką euforię, że obtłukłam drugi i jeszcze, i jeszcze. A potem wetknęłam mu w kutasa wkład do długopisu. On czasami fantazjował, żeby coś mu włożyć. No to go zaspokoilałam.

– A pies? – nie wytrzymał policjant. – Jakim cudem cię nie zaatakował...?

– Morris? Przecież on był mój. Karol mi go kupił na urodziny. Tyle że ojciec się nie zgodził na psa, więc tymczasowo musiał mieszkać u Karola.

Wańkosz pomyślał, że należało to nagrywać. Ale w zasadzie nie miało to wielkiego znaczenia. To kompletna wariatka, stwierdził. I tak się pewnie zakończy ta cała historia. W wariatkowie.

– Dosyć! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Resztę nam panienska opowie na komisariacie.

– Ale to już jak tatuś wytrzeźwieje. – Martyna się uśmiechnęła jadownicie. – Mówiłam przecież, że bez adwokata nie będę zeznawać. To tutaj to była jedynie prywatna rozmowa z kolegą z klasy. Wiadomo, trochę koloryzowałam. Dla popisu.



## 45

**I**

zabiła własnego psa? – zapytała Magda z niedowierzaniem.

Leżeli na trawie koło starej, opuszczonej dróżnikówki. Zgodnie z obietnicą, kiedy wiosna rozpanoszyła się na dobre, Witek zabrał tam dziewczynę na długi spacer. Wzięli ze sobą koszyk z jedzeniem i dwie butelki cydru. Magda uwielbiała cydr, a chłopak udawał, że mu smakuje. Zjadłby i wypiłby wszystko, byle sprawić jej przyjemność.

– Wcale nie chciała go zabić – wyjaśnił. – To było tak: kiedy zadźgała Filipiuka, pies był w domu. Bała się, że Morris może zwariować od zapachu krwi, więc zapakowała go do bagażnika i wywiozła na działkę nad Kobyłką.

– Skąd miała samochód?

– No... to było auto Filipiuka. Podobno często dawał jej pojeździć.

– Okej. I co z tą Kobyłką?

– Oni tam mają działkę rekreacyjną i letni domek, wiesz, ten jej ojciec to kiedyś była podobno jakaś sycha. Więc zawiozła psa, wróciła, wjechała do garażu, nakryła zwłoki śniegiem, pozamiatała i już. Nie zostawiła żadnych śladów poza tymi koło furtki. A nawet jeśli zostawiła, to zanim ktokolwiek się zorientował, że Filipiuk nie żyje, przyszała odwilż i woda zmyła to, co ewentualnie przydałoby się policji.

– Tak po prostu zamknęła psa w letnim domku? Zdechłby z głodu.

– Nie zapominaj, że ona trenowała do maratonu. Dla niej przebiec te dwanaście kilometrów w jedną stronę, nakarmić zwierzaka i po odpoczynku wrócić to pestka.

Magda mrużyła oczy, bo raziło ją słońce. Tak dobrze było po prostu leżeć, nigdzie się nie spieszyć, nic nie musieć, niczego się nie bać.

– Więc dlaczego później przywiązała go w lesie? – Wróciła do sprawy, która nie dawała jej spokoju.

– Bo zacząłem ją wypytywać. – Witek wygrzebał z koszyka jabłko i odgryzł kawałek, delektując się jego słodyczą. – Wystraszyła się. Miała nadzieję, że ktoś znajdzie Morrisa i go odwiezie do schroniska. Sama bała się tam pokazywać, żeby nie skojarzono jej z tym miejscem. Zmieniła trasę treningów. Potem przyszło jej jeszcze do głowy, żeby pozbyć się laptopa, usunęła z niego dysk i pobiegła w nocy na wysypisko. Dopiero kiedy znalazł go ten facet, no wiesz, Broda...

– Nie wiem, kto to jest Broda.

– Taki miejscowy dziwak. Szpera sobie w śmieciach i czasami bardzo się przydaje policji. Tym razem też się przydał. A że w laptopie były twoje ślady biologiczne...

– No właśnie, jakim cudem?! – zapytała Magda i aż usiadła na trawie. – Przecież minęło tyle czasu...

– Laptop był zamknięty, więc między klawiszami zachowały się jakieś drobiazgi. Chyba włosy, drobinki naskórka albo coś w tym rodzaju, o ile zrozumiałem. Martyna robiła wszystko w rękawiczkach, to niesamowicie cwana dziewczyna...

– I jaka ładna.

– Co takiego?

– Ładna – powtórzyła. – Wysoka, z biustem i w ogóle. Ja jestem przy niej brzydkie chucherko.

Witek spojrzał na nią poważnie.

– Kocham cię, brzydkie chucherko – powiedział. – Powinienem był powiedzieć ci o tym tamtego dnia, kiedy cię zabrali na policję.

– Ale nie powiedziałaś. Za to cytowałaś Szekspira. I wiesz co? Bardzo mi się to spodobało.

– Teraz mówię. Kocham cię.

– Ja też poczytałam Szekspira, wiesz?

– Kocham cię! Słyszysz?

– Słyszę. I właśnie mam cytaty na tę okoliczność.

– Jaki?

– „Mów szeptem, jeśli mówisz o miłości”.

– Nie znam.

– Nie musisz znać, po prostu się w to wsłuchaj. To chyba najładniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam.

Witek położył się na brzuchu i przyłożył policzek do chłodnej trawy. Magda zrobiła to samo. Leżeli przez chwilę, patrząc na siebie i trzymając się za ręce.

– Kocham cię – szepnął Witek. – Tak bardzo, że aż mnie wszystko w środku boli. Ale nie chcę, żeby kiedykolwiek przestało boleć.

Dziewczyna milczała. Jej tęcza przenikało światło wiosennego słońca, wydobywając z nich magiczne barwy: przemieszane granaty, turkusy i błękity.

– Czy ty, Madelaine Robson, zechcesz mnie, dziwnego i niepasującego do świata Wita Malczyka? I czy przysięgasz, że będziesz mnie kochać?

– *Yes, I do* – odpowiedziała Magda równie cicho. – *I will. Always.*

# Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Karta redakcyjna](#)

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Opracowanie językowe tekstu: Studio Editio Projekt okładki: Łukasz  
Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Aleshyn\_Andrei, inLite studio (Shutterstock.com)  
Copyright © 2019 by Agnieszka Olejnik Copyright © 2019 for the Polish  
edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i  
rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź  
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody  
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2019

ISBN 978-83-66234-29-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)



Na zlecenie Woblink



plik przygotowała Katarzyna Rek